



JOHN ARTHUR LONG

Powrót do początku

*Nie przerwiemy naszej wyprawy
A na koniec wszelkich ekspedycji
Powrócimy do miejsca wymarszu,
Patrząc na nie jakby po raz pierwszy.
Przez nieznaną, pamiętaną bramę,
Gdy na ziemi będzie do odkrycia
Tylko to, co było początkiem...*

T.S. Eliot

Cztery kwartety

przełożył Stanisław Barańczak

PROLOG

Nad sawanną zapadła noc. Pod rozgwieżdżonym afrykańskim niebem pracował wytrwale wysoki wojownik masajski. Jego muskularne, gibkie ciało spływało potem i lśniło w blasku ognia. Wierna towarzysza wojownika, smukła żyrafa, stała nie opodal, przyglądając się człowiekowi tak pochłoniętemu ciężką pracą, że nie zwracał uwagi na odgłosy ciemności dobiegające spoza kręgu światła rzucanego przez ognisko.

Masaj kuł żelazo i szykował nową włócznię. Nie robił tego z ochotą, gdyż członkowie jego plemienia nie trudzili się kuciem żelaza, zajęciem dobrym dla innych plemion, a nie dla szlachetnych Masajów.

Musiał jednak zrobić włócznię, bo tak wywróżyły mu święte kamienie, gdy nimi rzucił. Nie miał wyboru, był Twambą, człowiekiem od urodzenia wyjątkowym wśród swych współplemieńców. Tym, który słyszy szepty wszystkiego, co żyje. Dorastając, nauczył się wsłuchiwać w otaczające go tajemnicze głosy. I nauczył się być im posłuszny, tak jak to czynił w tej chwili.

Dlatego wykuwał włócznię. Na gotowej miał wyciąć święte znaki i poświęcić ją podczas ceremonii, z którą dawno temu zapoznał go inny Masaj, też posłuszny głosom przyrody, przemawiającej do tych, którzy potrafią słuchać.

Niedaleko, niewidoczny w ciemnościach, wyrastał z ziemi ogromny masyw skalny. Twamba znał go dobrze. Często tam chodził.

Dawno temu Wielki Bóg rozgniewał się i zaczął pluć ogniem, potem zaś poskręcane kamienne masy zastygły, tworząc bezkształtne jaskinie i nawisy. Było to miejsce niezwykle. Szukały tam schronienia stare i słabe zwierzęta sawanny, pchane jakimś potężnym instynktem.

Opowiadano, że ściągały one tam na długo przed urodzeniem się Twamby, a nawet przed urodzeniem się jego dziadka. Wtajemniczeni wierzyli, że działo się tak jeszcze przed wybuchem ognistego gniewu Wielkiego Boga, który na zawsze odmienił oblicze tej krainy, tak że stała się pusta i dzika.

Mówiono, że toczyła tu kiedyś swe wody wielka rzeka, wypływająca ze świętego przybytku wiecznie żywych duchów, i że szukające ratunku zwierzęta i pierwotne istoty podążały jej brzegiem aż do źródła. Działo się tak zawsze, od początku świata.

Choć stworzenia nadal szukały tu ratunku, rzadko wracały na wielkie równiny. Ukryte jaskinie i groty, dające schronienie słabym i chorym, stawały się miejscem ich wiecznego spoczynku. Wielkim cmentarzyskiem sawanny.

Wiedząc, że masyw skalny jest miejscem śmierci, Twamba przychodził tu często, by pomagać zwierzętom, które miały szansę na przeżycie. Był nie tylko mocarnym wojownikiem, ale także słynnym uzdrowicielem, obdarzonym wiedzą zielarską.

Ale nawet Twamba poruszał się ostrożnie w tym tajemniczym miejscu, gdyż pewien gatunek zwierząt przychodził tu nie po śmierć, lecz po życie. Mądry wojownik musiał się wystrzegać tych bezlitosnych zwierząt, których watahy włóczyły się po skalistych

płaszczyznach i zboczach.

Nocą czaiły się w mroku, przypadając do skał. Czasem w ciemnościach rozbłyskiwały odbitym blaskiem ich ślepia i lśniły wyszczerzone kły.

Padlinożerne hieny. Dziwnie niezgrabne, prawie jak kaleki, przyprawiające o dreszcz swoim upiornym szczękiem, miały zuchwy silne jak żadne zwierzę. Gdy były wygłodzone, rzucały się na żywe stworzenie, ale najczęściej czekały. Czekały, by wypełnić przeznaczoną im w starannie wyważonym planie natury rolę zjadaczy trupów.

Tej nocy hieny przyglądały się wysokiemu Masajowi, pracującemu przy ognisku. Zaniepokojone widokiem wojownika i dziwnymi dźwiękami, których był źródłem, unosiły łby i wyły urągliwie, nie pojmując tego naruszenia granic swojego terytorium.

Twamba też nie pojmował, dlaczego wykuwa włócznię. Wiedział tylko, że chodząc pośród pradawnych skamielin w otwierającej się ku niebu jaskini za skalną ścianą dostrzegł w ziemi otwór, którego przedtem z pewnością tam nie było, dużą rozpadlinę u stóp drzewa rosnącego pośrodku odkrytej przestrzeni. Dobywały się stamtąd ciepłe opary.

Poruszony tym odkryciem Masaj wyczuł, że to jakiś znak. Odszedł kawałek od masywu skalnego, usiadł i rzucił święte kamienie. Oto jak się dowiedział, że musi wykuć włócznię.

Gdy była gotowa, uniósł ją wysoko i obejrzał w świetle ogniska. Zadowolony ze swojego dzieła, opuścił włócznię niżej. Wykonał swoje

zadanie. Nie miał zamiaru rozstawać się z nią, pewien, że we właściwym czasie okaże się, do czego ma ona posłużyć.

Do tego czasu mógł sobie nie zaprzętać tym głowy. Wystarczyło, że usłuchał przemawiających do niego głosów. Jak zwykle w takich razach, ogarnęło go uczucie niezmaconego spokoju.

ROZDZIAŁ 1

Kathy Sullivan patrzyła oczami przestraszonej dziewczynki i z całych sił starała się krzyknąć, albo przynajmniej zapanować nad dziecięcymi odruchami. Ale jak zwykle nie mogła nic zrobić i śniła dalej sen, który dręczył ją już tyle razy.

Była całkowicie bezradna wobec ściskającego jej gardło strachu i z rosnącym przerażeniem oglądała swój sen z podwójnej perspektywy, dziecka i osoby dorosłej, dobrze wiedząc, jak się on skończy. I że koszmar ten wtrąci ją znowu w otchłań lęku i rozpacz...

Starzec umarł i w środku dnia nagle nastał mrok, który spowił ich kirem smutku. Ale w ciemnościach coś ich wiodło tam, gdzie musieli zanieść starca, by je rozproszyć.

Posuwali się brzegiem wzburzonej, rwącej rzeki, której groźne pomruki wskazywały im drogę. I tylko błyskawice przecinające mrok i ziemię odsłaniały szeroki pas spienionej, rozszalałej wody. Szli pod prąd... ku źródłom rzeki.

O owym miejscu starcy opowiadali gardłowymi głoskami i językiem gestów. To właśnie tam, mówili, przepadła wielka jasność.

Przykryte zwierzęcą skórą i obsypane kwiatami oraz ziołami ciało starca było przywiązane do prymitywnego posłania na dwóch żerdziach, które ciągnęli najsilniejsi mężczyźni. Przy sunących po ziemi marach szła powoli, z pochyloną głową, jego towarzyszka. U jej boku, nie rozumiejąc, dlaczego zrobiło się ciemno, dreptała mała dziewczynka, wystraszona jękami i zawodzeniem.

Pograżona w żalu kobieta najwyraźniej zapomniała o córce, odkąd nastąpiła ciemność. Ale dziewczynka na krok nie odstępowała matki i trzymała się kurczowo jej odzienia z wyprawionej skóry, za żadne skarby nie chcąc rozstać się z jedyną osobą, która broniła jej przed strasznym lękiem czyhającym zewsząd, by ją dopaść.

Prowadził ich wojownik pokryty bliznami, zaprawiony w bojach i niestrudzony. Nad głową trzymał włócznię i ponaglał ich do szybszego marszu. Był najstarszym, od dawna nie widzianym synem zmarłego, dlatego wielu nie poznało go, kiedy raptem wyłonił się z mroku. Ci, którzy go poznali, okazali zrazu niezadowolenie. Teraz jednak podążali za nim wraz z innymi, bo choć wygnano go ze szczepu za zabicie brata, wierzono, że tylko on dzięki swojej sile przeprowadzi ich przez niezbadane ciemności.

Młodszy syn pilnował, by grupa trzymała się razem, i pocieszał przytłoczoną brzemieniem straty kobietę, ku której kierowały się spojrzenia wszystkich obecnych. Ona jedna była ongiś u źródła wielkiej rzeki i wiedziała, kiedy dotrą do kresu podróży. Do

prapoczątku.

Przez cały czas towarzyszył im strach przed krążącymi wokół dzikimi zwierzętami. Słysząc je było w ciemnościach, a światło błyskawic wydobywało z mroku ich kształty, których wciąż przybywało.

Ogarnięta złymi przeczuciami Kathy Sullivan modliła się właśnie, by sen dobiegł końca, kiedy kobieta, na którą patrzyła zdziwionym spojrzeniem małej dziewczynki, przystanęła. Pozostali zatrzymali się w milczeniu, pewni, że ujrzała światło.

Po chwili ujrzeli je także oni - drgający hen daleko jasny promyk.

Mieli tak dość ciemności, że odzyskali energię i mimo lęku przyspieszyli kroku, wzajemnie się popędzając. Starzec nie kłamał: światło istniało naprawdę. Przyzywało ich do siebie. Przyciągało do źródła.

Największa zmiana zaszła w kobiecie. W coraz silniejszym blasku oświetlającym jej rysy aż odmłodziła. Wyprostowała przygarbione plecy, a cierpienie zniknęło z jej twarzy, która rozpromieniła się jak nigdy dotąd.

Wreszcie dotarli do granic złotego światła. Ciągący mary dosunęli je na sam kraj wirującej światłości.

Dziewczynka odważyła się puścić matkę, a nawet uśmiechnęła się, patrząc w zachwycie na rozjarzone, tańczące światło.

Wtedy zaś, w spowijającej ich jasności, wojownik wbił w ziemię włócznię i padł na kolana. Zagrzmiało, ciemne niebo przecięła ognista błyskawica, a ziemia rozstała się z tak strasznym hukiem, że zatkali

uszy. Mary zadrżały na skraju świeżej szczeliny, ześliznęły się do niej i zniknęły.

Dziewczynka instynktownie chciała się ucześcić matki, ale chwyciła tylko powietrze i krzyknęła ze strachu. Kobieta bowiem rzuciła się przed siebie w świetlny krąg i zaczęła już niknąć z oczu, by po chwili przepaść w wirującej jasności.

Wszyscy jęknęli i żałośnie zawodząc padli na kolana przed niebotyczną ścianą światła.

Wszyscy prócz dziewczynki, która krzyczała, bo straciła więcej niż oni. Za nic miała wielki cud, mistyczne wejście do raju utraconego. Była dzieckiem, od którego odeszła matka.

Nagle z tyłu rozległy się paniczne krzyki. Klęczący z przodu odwrócili się i ujrzeli pokryte łuskami potwory, które wyłoniły się z ciemności i gotowały do ataku. Wojownik wstał, wzywając współplemieńców do walki. Tylko dziewczynka nie odwróciła się od światła.

Nie zważając na dobiegające z tyłu warczenie i ryki, próbowała w nie wstąpić. Ale światło zamieniło się w ogromny, ognisty miecz, który zagroził jej drogę i nie pozwolił się zbliżyć.

Tak jak zwykle, kiedy było już za późno, Kathy Sullivan odzyskała władzę nad sobą. Usta dziewczynki otworzyły się i Kathy usłyszała własny krzyk rozpaczony po tym, co bezpowrotnie utraciła.

ROZDZIAŁ 2

Obudziła się w objęciach silnych ramion, które lekko ją kołysały.

- Ciii... Już dobrze, Kathy. Już dobrze - usłyszała głos Zeldy.

Hipnotyzerka siedziała na brzegu łóżka, na którym Kathy zapadła w sen. Kathy przestała szlochać, otarła oczy i rozejrzała się niespokojnie, chcąc się upewnić, że obudziła się naprawdę.

Poznała pokój, który wynajęły w hotelu Norfolk w Nairobi. Zeldą jak zwykle była przy niej, aby ją pocieszyć i służyć w razie potrzeby pomocą.

- Nic mi nie jest, Zeldo... naprawdę - powiedziała zawstydzona, wysuwając się z jej objęć. Odgarnęła z twarzy zwichrzone, rude włosy.

Zelda kiwnęła głową i pogłaskała Kathy po rękę.

- Tak, tak, oczywiście. Znow śniło ci się to samo?

- Tak - odparła Kathy, pocierając twarz wierzchem dłoni. - Boże, zawsze tak głupio się czuję po przebudzeniu, ale we śnie wszystko jest takie prawdziwe.

- Wiem. - Hipnotyzerka przyjrzała się uważnie młodej, przystojnej pacjentce, sprawdzając, czy rzeczywiście dobrze się czuje. Dźwignęła się z łóżka i wygładziła kwiecistą sukienkę, która sfaldowała się na jej mocno zaokrąglonych kształtach. - Podświadomie próbujesz zracjonalizować to, co dzieje się podczas seansu hipnotycznego. Rozumiem twój niepokój, ale wcale mnie nie dziwi, że sen powtarza się tym częściej, im bliżej jesteśmy celu.

- Poradzę sobie z tym - powiedziała Kathy i z ciężkim westchnieniem opadła na łóżko. - Nie będę zasypiać tak długo, aż wyjaśnimy tę zagadkę.

Na twarzy Zeldy pojawił się uśmiech.

- Bogu dzięki, że jesteś zdecydowana i masz silną wolę. Ktoś ze słabszym charakterem dawno by zrezygnował.

Kathy wpatrywała się w sufit.

- To coś więcej niż silna wola, Zeldo, to nieodparta potrzeba. Chyba nie mogłabym zrezygnować, nawet gdybym chciała.

- Mogłabyś - zaproponowała Zelda stanowczo i podparła się pod boki. - Możemy się wycofać w każdej chwili, kiedy uznasz, że masz dość. Mówię poważnie, Kathy.

- Tak, pani doktor - odparła Kathy z udanym namaszczeniem. - Myślisz, że dam za wygraną po tylu staraniach... po tym, jak zaangażował się w to Eddie? Nie mówiąc o kosztach, jakie poniosłaś.

- Mniejsza o koszty. Rodzina tak mnie zaopatrzyła, że do końca życia tego nie wydam. Pieniądze się nie liczą. Już ci mówiłam.

- Wiem, ale...

- Żadnych ale, Kathy! Oboje z Eddiem uważamy, że najważniejsze jest twoje dobro. Badamy nieznane obszary świadomości. Fascynuje mnie to, ale nie zapominam o ryzyku. Możliwe, że mózg płata nam figle i mamy do czynienia z jakąś umysłową manipulacją, o której nic nie wiemy.

- Już to przerabialiśmy, Zeldo. Jak zwykle przyśnił mi się zły sen. Nic mi nie jest, naprawdę. Przyznaj się, ani przez chwilę nie

wierzyłaś, że to sztuczki umysłu.

Zelda potrząsnęła głową i przyglądała krótkie włosy, które i tak leżały gładko.

- Masz rację, nie wierzyłam - przyznała z głębokim przekonaniem. - Wierzę, że dogrzebałyśmy się czegoś niezwykłego i jesteśmy o krok od wielkiego odkrycia. Ale przy całym swoim doświadczeniu nie mogę stwierdzić, co dzieje się w twoim umyśle, Kathy. Tylko tobie jest to dostępne. Znam natomiast twoją motywację. Wiem, na co liczysz, i powtarzam, że szanse zdobycia wiadomości o twojej matce są nikłe, podobnie jak szansa znalezienia jakichkolwiek innych namacalnych dowodów. Jeśli więc te sny zbyt cię dręczą, jeśli nie czujesz się na siłach ciągnąć tego dalej, to powiedz, proszę, a wycofamy się. Dobrze?

Kathy spojrzała na Zeldę, która z zawodową wprawą wyczytała w jej oczach strach i zwątpienie. Ale jeszcze silniej biła z jej twarzy determinacja, by się nie poddać. Cechę tę Zelda dostrzegła w tej młodej kobiecie od razu, gdy ją poznała. Głównie dlatego zdecydowała się na wspólną wyprawę.

- Nie wycofamy się, Zeldo - powiedziała Kathy stanowczo. - Miewam zmienne nastroje, przyznaję, ale dam sobie radę, u licha. - Chwyła starszą od siebie hipnotyzerkę za rękę. - Jeżeli zabraknie mi sił, powiem. Obiecuję.

- Dobrze - odparła Zelda. Położyła drugą rękę na dłoni Kathy i uściśnęła ją lekko. -Dzielna dziewczyna. Wiesz, dzwonił do mnie Eddie. Ma się spotkać z tym zaprzyjaźnionym dziennikarzem. Jeśli

wszystko dobrze pójdzie, wkrótce się tu zjawią. Spotkamy się na dole z panem Guntherem, żeby zaplanować nasze safari. Czujesz się na siłach, czy wolisz odłożyć to na później?

Kathy usiadła na łóżku i, spuszczać nogi na podłogę, przeciągnęła się leniwie.

- Czuję się dobrze. Umyję tylko twarz i doprowadzę się do porządku. Na ile Eddie wtajemnicza tych ludzi w nasze przedsięwzięcie?

- Dziennikarz może spisać dla nas całą tę historię i jest przyjacielem Eddiego. Eddie powiedział, że panu Hicksowi najlepiej od razu wyłożyć kawę na ławę. Natomiast pana Gunthera wynajęliśmy na przewodnika turystycznego safari i tylko od nas zależy, kiedy powiemy mu prawdę.

- Czy Gunther nie zacznie czegoś podejrzewać, kiedy zobaczy mnie w hipnotycznym transie? W obozie trudno będzie to ukryć.

- Eddie uważa, że lepiej nic nie mówić, dopóki nie trzeba.

- Odniosłam wrażenie, że pan Gunther jest gotów na wszystko za odpowiednią zapłatą.

- Pewnie masz rację - przyznała Zelda i zmarszczyła brwi. -

Uważaj na niego. Nie podoba mi się, jak na ciebie patrzy.

- Zauważyłam. Na wczorajszym spotkaniu rozbierał mnie wzrokiem. Lubieżny uwodziciel. Pozwól, że się odświeżę przed przyjściem Eddiego i jego przyjaciela. Braxton Hicks! Wciąż mnie zadziwia to nazwisko.

- Jesteś pewna, że tak samo brzmi ten termin medyczny?

- Oczywiście. Dziwaczny zbieg okoliczności. Ale to mnie przypadnie palma pierwszeństwa za najdziwniejszą historię, kiedy Eddie wyjaśni, do czego zmierzamy. - Kathy przewróciła oczami i weszła do łazienki, nie przestając mówić. - Wiem, co do tej pory odkryliśmy, ale kiedy czasem pomyślę, jakie to niesamowite, zastanawiam się, czy przypadkiem nam nie odbiło.

Zelda odruchowo pokręciła głową i podparła się pod boki, jak zwykle, gdy chciała wyrazić zdecydowany pogląd.

- Trzeba zapomnieć o wątpliwościach, moja droga, i skupić się na dążeniu do prawdy - powiedziała takim tonem, jakby wierzyła święcie w to, co robi, i całkowicie panowała nad sytuacją. Tym stanowczym głosem przeprowadziła niejedną sesję hipnotyczną z Kathy Sullivan w ciągu ostatnich tygodni. - Zawsze się tego trzymaj. Przyrzekam ci, że dotrzemy do prawdy. A kiedy to nastąpi, wątpliwości znikną.

ROZDZIAŁ 3

Braxton Hicks, atletycznie zbudowany dryblas, pociągnął ciężkie drewniane drzwi i z westchnieniem ulgi przekroczył próg Muzeum Narodowego, znajdując ochłodę w jego wnętrzu. Kochał Afrykę, ale nie mógł przywyknąć do żaru lejącego się z nieba na ruchliwe ulice Nairobi, dlatego korzystał z każdej okazji, aby uciec przed spiekotą, choćby stawiając się na tajemnicze wezwanie starego przyjaciela, Eddiego Fitzsimmonsa.

Wszedł do pierwszej sali i stanął. Eddie, jak zwykle w ciemnych spodniach i czarnej koszuli z krótkim rękawem, wpatrywał się w podświetloną gablotę. Tak wychudł, że ubranie wisiało na nim jak na wieszaku.

Braxton uśmiechnął się widząc, który eksponat pochłonął uwagę przyjaciela. To było do przewidzenia. Podeszedł do Eddiego i spojrzał na szklaną gablotę: patrzyła stamtąd dwoma oczodołami czaszka sprzed dwóch milionów lat. Była oznaczona numerem 1470, a znalazł ją przed kilkoma laty członek ekipy Richarda Leakeya na brzegu jeziora Turkana. Braxton wiedział o tym od Eddiego, który pasjonował się paleontologią i oglądał znalezisko wielokrotnie z nie słabnącym zainteresowaniem.

- *Jambo*, ojciec - rzekł przyjaźnie Braxton. - Witaj w cywilizowanym świecie.

- Cześć, Braxton - odparł Eddie, rozjaśniając się na widok

dziennikarza, którego głos wyrwał go z zadumy. - Dziękuję, że przyszedłeś.

Braxton popatrzył zatroskany na wymizerowanego księdza.

- Żaden kłopot. - Wskazał na gablotę. - Słuchaj, Ed, skoro tak cię ten gość fascynuje, może się czegoś od niego nauczysz. Wiesz, dlaczego tak wygląda? Tak mu wystają kości policzkowe? Bo za dużo się martwił o innych, a za mało dbał o siebie. Wyglądasz strasznie, stary. Rób tak dalej, a ja postaram się o specjalną gablotę dla ciebie. *Homo erectus Fitzsimmons*, koniec dwudziestego wieku. Dalibyśmy tu taką tabliczkę. Dobrze by wyglądała, nie uważasz?

- Czy po krótkim powitaniu muszę od razu wysłuchiwać pouczającego wykładu? - spytał żałośnie ksiądz.

- Jeżeli nie wygłoszę wykładu, to niedługo nie będę miał się z kim witać. Wiesz, jak długo tym razem nie dawałeś znaku życia?

- Wiem, wiem. Ale jestem w Nairobi dopiero od kilku dni.

- Nie wiem, co robiłeś, ale z pewnością nie jadłeś i nie spałeś.

Ksiądz z wahaniem przeczesał ręką rzednące, jasne włosy.

- Niestety, nie miałem czasu na odpoczynek - przyznał.

Braxton pokiwał głową.

- Dobrze, koniec wykładu - powiedział. - Cieszę się, że cię znów widzę, Ed, nawet jako kandydata do anoreksji. O co chodzi? Chcesz, żeby pisano o tobie w gazetach? Masz to załatwione. Pomogę ci w miarę sił i możliwości.

- Wątpię, czy ktokolwiek może mi pomóc, Brax - odparł ksiądz i spochmurniał.

Braxton zmrużył oczy, przyglądając się uważnie przyjacielowi. Wyniszczony wygląd nie był niczym nowym. Eddie zawsze sprawiał wrażenie, jakby przydał mu się miesiąc snu i piętnaście porządnych obiadów. Najbardziej zaniepokoiły dziennikarza pełne rezygnacji słowa. Od dawien dawna, odkąd poznali się i dzielili pokój jako studenci, Eddie Fitzsimmons wierzył niewzruszenie, że można ulżyć niedolom ludzkości. Właśnie wiara Eddiego przekonała Braxtona, który nie miał żadnego celu w życiu, by też coś zrobił dla innych. Dlatego przyłączył się do Korpusu Pokoju i razem z przyjacielem wyjechał z misją do Kenii. W końcu obaj tam zostali: Braxton, ponieważ zakochał się w tym kraju, a Eddie, ponieważ wierzył w sens niesienia pomocy potrzebującym. Człowiek taki jak Eddie nie rezygnował bez bardzo ważnego powodu.

- Co mówiłeś, ojcze?

- Tym razem nie występuję w imieniu innych, Braxton.

Przynajmniej niezupełnie. Tym razem ja potrzebuję pomocy. -

Uśmiechnął się blado. - A do kogo najlepiej się zwrócić? Do jedyne go człowieka, jakiego znam, który nie bierze życia serio.

- Daj spokój, Ed. Ja wszystko biorę poważnie, tylko się nad tym nie rozwodzę.

- Jesteś za skromny, mój drogi. - Eddie popatrzył na górującego nad nim, ogorzałego przyjaciela. - Masz rzadką zdolność wspierania bliźnich, połączoną z obiektywizmem. Umiesz zachować dystans.

- Co pozwala wykręcić się od poważniejszych życiowych zobowiązań - dodał zażenowany komplementem Braxton. - Ale

przyznam ci słuszość. Obaj jesteřmy cudowni. Więc o co ci chodzi?

Ksiądz westchnął ciężko i odwrócił wzrok.

- Przydałby mi się urlop, Braxton. Jak to ty mówisz? Kiedy człowiek przez tydzień czy dwa pogapi się na zwierzęta na sawannie albo zanurzony w chmurach wierzchołek Kilimandżaro, świat wydaje się lepszy. Właśnie tego mi trzeba. Miałbyś ochotę wybrać się ze mną?

Braxton rozpromienił się w radosnym uśmiechu i nasunął baseballową czapkę na czoło, zakrywając ciemną czuprynę.

- Naprawdę? Na safari? Ksiądz skinął głową i spytał:

- Możesz wziąć urlop?

- Trudno o lepszy moment. Uwaga całej prasy skupiona jest na Nowym Jorku, gdzie przygotowywane są prośby do ONZ o miliardy dolarów na fundusze pomocy. A u nas wydarzeniem tygodnia było to, że jakiś miejscowy ukradł warzywa na targu, a potem, uciekając przed policją, staranował niesprawną ciężarówką ścianę urzędu pocztowego. W Stanach z pewnością nikt nie czeka z zapartym tchem na taką wiadomość. Nie ma sprawy. Zamelduję w agencji, że jadę zobaczyć, co się zmienia w świecie kenijskiej przyrody. Od lat czekam, aż weźmiesz trochę wolnego, Ed. Mogę jechać w każdej chwili. Zamienisz tylko ten żałobny strój na koszulę khaki i szorty i wyruszamy.

- Zaraz... - rzekł z wahaniem ksiądz.

- Co? Boisz się, że twoje białe nogi nie wytrzymają słońca? No dobra, zamiast szortów weźmiemy długie spodnie.

- Najpierw trzeba omówić kilka spraw ważniejszych od ubrania.

- Oho! - Braxton podejrzliwie przekrzywił głowę. -A ja głupi

myślałem, że ojciec Fitzsimmons potrafi oddać się bez reszty przyjemności wypoczywania. Co się za tym kryje?

Ksiądz odwrócił się do gabloty.

- Polowanie na kości, jak ty to nazywasz - odparł. - Chcę zapolować na jego krewnych.

Braxton kiwnął głową i też spojrzął na czaszkę, której ciemne oczodoły zdawały się w nich wpatrywać.

- No tak, obsesja Fitzsimmonsa. Dobra, nie mam nic przeciwko temu. Ale sawanna jest duża. Masz jakiś cynk czy liczyłeś na to, że ta buźka ci podpowie, gdzie szukać?

- Wydaje mi się, że wiem, gdzie szukać. - Ksiądz rozejrzał się po pustej sali, a potem wyciągnął z kieszeni kartkę papieru, rozłożył ją i podał przyjacielowi. - Zaczniemy od tego. Powiedz, co o tym sądzisz.

Braxton przybliżył kartkę do światła padającego z gabloty. Zobaczył prymitywne rysunki i w pierwszej chwili pomyślał, że są dziełem dziecka, które narysowało ich kilka, jeden na drugim. Po dokładniejszych oględzinach uzmysłowił sobie jednak, że tematyka rysunków jest dojrzała, jedynie ich forma narzuca wrażenie naiwności i prostoty. Spojrzął na księdza.

- Jeżeli to mapa pokazująca, gdzie ukryto skarb, nie liczyłbym na jego odnalezienie.

Eddie uśmiechnął się z trudem.

- Nie wyobrażasz sobie, jak blisko jesteś prawdy, Braxton. Obraz jest jasny i zrozumiały, tylko trzeba umieć go odczytać. Widziałeś kiedyś coś takiego?

- I owszem - odparł Braxton, przyglądając się na nowo rysunkom. - W tym muzeum, na górze.

- Są podobne, ale nie takie same - sprostował Eddie.

- To rysunki naskalne z epoki kamiennej. Co to jest, Ed? Jakieś odkrycie, którego autentyczności nie jesteś pewien?

- Autentyczność nie budzi wątpliwości, ale ten rysunek nie pochodzi z epoki kamiennej. Wykonała go nie dalej jak wczoraj moja znajoma poddana hipnozie. Nie ma żadnego przygotowania antropologicznego ani innego, związanego z prehistorią, a te rysunki wychodzą spod jej ręki jeden po drugim. - Eddie wskazał czaszkę za szkłem. - Mam powody przypuszczać, że są dokładne i mogą wskazać nam drogę do jednego z jego krewnych, a naszego praprzodka.

Ksiądz wziął kartkę i uniósł ją na wysokość oczu Braxtona. Z emocji drżały mu chude palce, a głos wiązał w gardle.

- Mówię o początkach rodu ludzkiego, Brax. O pramatce Ewie! O największym skarbie religijnej spuścizny dziejów. Jeśli się nie mylę, rysunki te doprowadzą nas do grobu Ewy.

- Co takiego!?! - wykrzyknął z niedowierzaniem Braxton.

Wyciągnął rękę i przyłożył księdzu do czoła. - Gorączki nie masz.

Widocznie za dużo przebywałeś na słońcu, Ed. Bądź łaskaw mówić do rzeczy.

- Wiem, co mówię. Wiem też, że to się nie mieści w głowie, ale to, co widziałem w ciągu ostatnich kilku dni, przekonało mnie. Co więcej, ta historia z Ewą nie jest wcale tak nieprawdopodobna, jak ci się zdaje. Posłuchaj tylko. Naukowcy wykorzystali wskaźnik DNA, tak

zwany mitochondrial, i dowiedli, że wszyscy ludzie na ziemi pochodzą od jednego przodka.

Braxton uniósł brwi.

- Nie patrz tak na mnie - zaprotestował ksiądz. - Mówię o faktach, nie domysłach. O naukowo dowiedzionym wspólnym przodku. Dwóch biologów, Cann i Stoneking, ustalili, że początek mutacji dała kobieta, która żyła w Afryce w przedziale czasu od stu czterdziestu tysięcy do dwustu osiemdziesięciu tysięcy lat temu.

- Eddie...

- Posłuchaj mnie jeszcze przez chwilę, Braxton! Mitochondrie, albo inaczej mtDNA, dziedziczy się tylko po matce, a zmiany mutacyjne zachodzą w określonym tempie. Na tej podstawie, cofając się w czasie, naukowcy dotarli do jednego przodka rodzaju żeńskiego, a zatem jakby matki nas wszystkich. Nie muszę dodawać, że wiadomość ta wywołała wielkie poruszenie w środowisku biologów molekularnych i antropologów. Nie wspominając o kreacjonistach. Badacze nazwali tę afrykańską pierwszą kobietę Ewą.

- Dobrze, Ed. Ty się na tym znasz. Ale biologiczna hipoteza to jedno, a odnalezienie grobu Ewy to całkiem co innego.

Twarz Eddiego przybrała wyraz niezachwianej pewności i determinacji.

- Byłem świadkiem hipnotycznych transów, Braxton. Pacjentka przeżywała różne wcielenia, aż do najdawniejszego. Są na to dowody.

Braxton spojrział na kartkę papieru w ręku księdza.

- Masz na myśli te rysunki?

- Tak, ale nie tylko. Dowodów jest znacznie więcej! Ta kobieta, podczas hipnotycznej regresji, wciela się w osobę, która utrzymuje, że jest córką Ewy. Ma obsesję na punkcie tego grobu. Chce go odnaleźć! Odnaleźć grób swojej matki. Jeżeli prawdą jest to, co mówi, istnieje zapomniany grób Ewy! Może także Adama. Tego nie jesteśmy pewni. A ona zachowuje się tak, jakby potrafiła go wskazać. Pomyśl tylko, Braxton! Prawdziwy grób Ewy! Dotąd nie odkryty. Kto wie, czy dziwnym zrządzeniem losu nie natknęliśmy się na brakujące ogniwo. Element, który połączy naukę i religię. Braxton, to wszystko może być prawdą! Dowodem, że Księga Rodzaju nie jest poetycką alegorią, lecz opisem faktów.

Przez chwilę obaj milczeli. Opromienieni łagodnym światłem padającym z gabloty stali w bezruchu i patrzyli na siebie. W końcu Braxton potrząsnął głową, poprawił czapkę i westchnął.

- Eddie, nikt lepiej ode mnie nie wie, jak bardzo kochasz te prehistoryczne starocie. W naszym pokoju w internacie wciąż potykałem się o fragmenty szkieletów. Nie myśl, że zapomniałem, jak wyciągałeś mnie na wykopki w poszukiwaniu kości w wyschniętych łożyskach rzek. Ale hipnotyczna regresja w przeszłość to wierutna bzdura. Nie ma co mówić o dowodach. Wciąż ktoś odkrywa, że jest wcieleniem jakiejś znanej postaci. Tym się karmi brukowa prasa. „Byłem Hitlerem”, krzyczą nagłówki, gdy rzeźnik z Paterson w stanie New Jersey zaczyna w transie mówić po niemiecku. Ale ten przypadek bije na głowę wszystkie. Nie wystarczy już Hester, pomywaczka z dziewiętnastowiecznej Anglii, ani nawet Joanna D'Arc. Nie, jak pragnę

zdrowia, to córka Ewy! Bardzo cię przepraszam, ale to czysta blaga. Mało mnie obchodzi, na co wskazują mutacje DNA, a ty, jeśli wierzysz, że znajdziesz grób pierwszej kobiety, powinieneś zrezygnować z kapłaństwa i zostać reporterem.

- Prosiłem cię o pomoc, Brax - przypomniał ksiądz. W jego niebieskich oczach odmalowała się uraza.

Braxton zacisnął usta, pomyślał chwilę i potrząsnął głową.

- Masz rację, Eddie. Przepraszam. Ale musisz przyznać, że wypoczynkowe safari a poszukiwania grobu Ewy to cholerna różnica.

- Owszem. Nie wiedziałem, jak ci to wyjaśnić. Z trudem się przemogłem, żeby zwrócić się do ciebie. Nie mów mi, że przestałem myśleć. Nie jestem idiotą. Próbowałem zaprzeczać, ale ilekroć widzę, jak Zelda prowadzi seans...

- Zelda to twoja przyjaciółka?

- Nie, hipnotyzerka. Zelda Roote.

- Hipnotyzerka nazywa się Zelda Roote!

- Tak. Wiedziałem, że nie pozostaniesz obojętny na to nazwisko - mówił szybko ksiądz - ale nie osądzaj jej pochopnie. To wspaniała, odpowiedzialna kobieta, której bardzo leży na sercu los Kathy.

Braxton uniósł rękę w obronnym geście.

- Już dobrze, Ed. Staram się być cierpliwy, przysięgam. Więc ta twoja przyjaciółka ma na imię Kathy?

- Tak, Kathy Sullivan. Byliśmy kiedyś sąsiadami.

- Nie wspominałeś nigdy o żadnej Kathy Sullivan - powiedział Braxton z namysłem.

- Nie znałem jej bliżej. Zamienialiśmy parę słów, kiedy natknęliśmy się na siebie, ale kończyło się zawsze na zdawkowej rozmowie. To była po prostu dziewczyna z sąsiedztwa. Mieszkała z ojcem. Matka zmarła przy porodzie. Ojciec rzadko się do mnie odzywał, choć znał mojego ojca. Doktor Sullivan trzymał się z dala od innych. Widocznie nigdy nie doszedł do siebie po stracie żony. Nic nie mów, Braxton. Wiem, że śmierć matki przy porodzie mogła odcisnąć się na psychice Kathy Sullivan, ale ta okoliczność nie wyjaśnia wszystkiego.

Braxton objął serdecznie przyjaciela i poprowadził ku wyjściu.

- Chodź, Ed. Zaczepniemy trochę powietrza, choćby gorącego.

Kiedy wyszli z muzeum, duszny powiew zapał im dech w piersiach. Ruszyli schodami w dół.

- Słuchaj, Ed - zaczął Braxton, mrużąc oczy w ostrym słońcu. Czekali, aż przejadą samochody i będą mogli przejść na drugą stronę ulicy. - Trochę inaczej patrzę na tę historię, ponieważ słyszę ją od ciebie. Wiele to nie zmienia, ale jednak. Mówisz, że mogę pomóc, więc zgoda, postaram się. A jak w ogóle w to się uwikłałeś? Myślałem, że niesiesz pomoc potrzebującym gdzieś przy granicy z Tanzanią.

- Robiłem to - odparł Eddie, przechodząc z Braxtonem przez ulicę. - Parę tygodni temu przyjechał do misji Injai z wiadomością, że niejaka Kathy Sullivan szuka mnie w Nairobi i koniecznie chce się ze mną spotkać. Nie wiedziałem, o co chodzi. Dopiero kiedy Injai powiedział, że była moją sąsiadką, przypomniałem ją sobie i natychmiast przyjechałem, pełen obaw o rodziców.

- Nawet nie przypuszczałaś... - rzekł Braxton z wesołym uśmiechem.

- Właśnie. Kathy Sullivan była mglistym wspomnieniem z młodości, ale w ciągu tych kilku dni dość dobrze ją poznałem.

- I jak ją oceniasz? Poza tym, oczywiście, że w bardzo dawnym wcieleniu była córką Ewy.

Ksiądz puścił mimo uszu uszczypliwą uwagę Braxtona i odpowiedział z zatroskaniem:

- Jest przestraszona, ale pełna determinacji. Bardzo ją polubiłem. Żałuję, że wcześniej nie poznaliśmy się bliżej. Jest taka poważna i dobra. Nie może sobie tylko poradzić ze swoimi niepokojami. Jest przerażona tym, co się dzieje. Czuje się zagubiona i niepewna. Ale cóż... nie ona jedna.

- A co powiesz o hipnotyzerce, pani Roote? Maniaczka wyzywająca się przez manipulowanie umysłem?

- Nic z tych rzeczy - zaprzeczył ksiądz. - Do czegoś takiego nie przyłożyłbym ręki. Zelda kieruje się głębokim przekonaniem. Jej samej trudno uwierzyć w rezultaty prowadzonych przez siebie seansów hipnotycznych, ale jest nimi bardzo podekscytowana. Uważa, że mogą stać się punktem zwrotnym i uprawomocnić hipnozę jako dziedzinę naukową. Dlatego entuzjastycznie poparła pomysł skontaktowania się z tobą, Brax. Chce, żeby ktoś pisał sprawozdanie z tego, co się dzieje.

Eddie doszedł razem z dziennikarzem do kompleksu zabudowań na wprost muzeum. Zrobił zdziwioną minę, gdy Braxton skierował się ku wejściu, wyjął z kieszeni kilka kenijskich dolarów i podał przez

okienko kasjerowi.

- Braxton, co ty robisz?

Braxton uśmiechnął się, przyjmując resztę.

- Idę do pawilonu węży. Zawsze tam zachodzę, kiedy odwiedzam muzeum. Dziś ten wypad wydaje się szczególnie uzasadniony. Chodźmy, ojczy.

Pierwszy raz od początku rozmowy ksiądz roześmiał się głośno. Weszli na teren zoo.

W terrariach po dwóch stronach przejścia prezentowano całe bogactwo afrykańskich węży. Na środku zoo, w ogrodzonym miniaturowym buszu, wiły się wśród gęstej zieleni przeróżne okazy gadów. W południowym upale zwiedzających było niewielu, ale ciszę przerywały od czasu do czasu piski przerażenia i zachwytu wydawane przez grupę Japończyków, oglądających po kolei wszystkie terraria.

- Więc spotkałeś się z Kathy, która zaskoczyła cię opowieścią o Ewie... - rzekł Braxton, opierając się o barierkę biegnącą wokół kępy roślinności.

- I kilkoma rysunkami. Ojciec Kathy nadal mieszka koło moich rodziców, więc kiedy dowiedziała się, gdzie jestem, uznała to za zrządzenie losu i razem z Zeldą przyjechała do Nairobi. Z początku chciała się ze mną skontaktować dlatego, że zostałem księdzem. Potem dowiedziała się o moim zainteresowaniu paleontologią i miała nadzieję, że znajdę racjonalne wytłumaczenie tego, co się z nią dzieje.

- Jak widać, nie znalazłeś.

- Nie. Za to ja... przepadłem z kretelem. Starłem się zachować

obiektywizm, ale kiedy Kathy unosi rękę i zaczyna rysować, szybciej bije mi serce. Okropne jest to uczucie, że nie wspieram Kathy tak, jak powinien to robić ksiądz, i na dodatek wcale się tym nie przejmuję. Powinienem poradzić, żeby szukała pociechy w kościele, ale Bóg mi świadkiem, nie chcę, żeby wycofała się z eksperymentu. Wciągnęło mnie to jak nałóg. Muszę dojść do końca. Jeżeli grób istnieje, muszę go odnaleźć! Tak mnie to opętało, że zacząłem nazywać osobę, w którą wciela się Kathy w hipnozie, Ewą. Ewą z regresyjnego transu. Braxton pokiwał głową.

- Ona myślała, że spotkanie z tobą to zrządzenie losu, a ty? - spytał. - Myślisz, że Bóg poszedł ci na rękę, bo tak wiele zrobiłeś dla innych, a poza tym lubisz szukać starych kości?

Eddie zachmurzył się i odwrócił wzrok.

- Nie owijasz w bawełnę.

- Chcesz, żebym to robił?

- Nie, skądże. Z jednej strony jestem racjonalistą i wiem, że wszystko to nieprawda, ale nie mogę się powstrzymać, nawet jeśli to jakaś wielka próba wiary, piekielna pokusa. Dlatego potrzebuję ciebie, Braxton. Twojego obiektywizmu. Chcę, żebyś pomógł mi odzyskać moją... wiarę.

Braxton nie odpowiedział od razu. Gdy tak stali w milczeniu, przyciągnął ich uwagę szelest wśród tropikalnej zieleni. Małe zielone węże, zaplątane między liśćmi i gałęzmi, trwały w bezruchu, patrząc szklanym wzrokiem. Ale pośrodku kępy coś, co wyglądało jak gruba gałąź, poruszyło się nagle. Wielki wąż, upodobniony barwą do

otoczenia, posunął się powoli, płynnie naprzód i równie nagle zamarł. Uniósł obłą jak pocisk głowę i zasyczał z otwartą szeroko paszczą.

- Symbol w sam raz dla ciebie, Ed - zażartował Braxton, wskazując palcem znieruchomiącego węża. -Może powinniśmy jego spytać o zdanie. A może właśnie je wyraził?

Ksiądz milczał patrząc przed siebie z zaciętą miną, bez uśmiechu. Braxton ściągnął usta, a potem odezwał się z troską w głosie:

- Eddie, zrobiłbym dla ciebie wszystko. Wiesz o tym. Jesteś mi bliski jak brat. Więc jeżeli chcesz, żebym jeździł z tobą po Afryce i szukał jakiegoś mitycznego grobu, w to mi graj. Grunt, że wreszcie wyciągnę cię na safari. Ale bądźmy ze sobą szczerzy. Nie wierzę w istnienie grobu Ewy. Z pewnością tego się po mnie spodziewałeś. Przyznaję jednak, że jestem zaintrygowany. Sam fakt, że taki zrównoważony człowiek jak ty dostaje fioła, budzi moją ciekawość. Może da się wysmażyć z tej zwariowanej historii jakiś artykuł. Ale uprzedzam, opiszę dokładnie to, co zobaczę. W tym wszystkim jest jakiś błąd. Może go nie dostrzegasz, może ja nie od razu go odkryję, ale jest na pewno. Właśnie w ten sposób mogę pomóc: dochodząc, co tu jest nie w porządku.

- Tak, coś tu jest nie tak, Braxton - rzekł Eddie, przyglądając się ponuro zakamuflowanym w listowiu węzom. - Coś poważnego. Z tobą... ze mną... ze wszystkimi. Wiem, że przyprowadziłeś mnie tu dla rozrywki, ale jest źle, a całe zło zaczęło się już na samym początku. Poczucie winy i straty. Nieprzemijający ból. Rozpacz i bezsensowne cierpienia. Księdzu zaszklily się oczy. Wstrząsnął się targany gniewem.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego tak długo przebywam w buszu? Boże mój, tam jest taka straszliwa nędza, że na samą myśl serce mi pęka! To stąd wziął się mój kryzys, z którego nie mogę wyjść. Wiara już mi nie wystarcza! Widziałem tylu starców, kalekich z niedożywienia i żebrzących o marny kęs. Tyle dzieci ze spuchniętymi brzuchami umarło na moich rękach, podczas gdy nie opodał bogaci turyści dla przyjemności zabijają zwierzęta. Niepotrzebna mi wiara! Potrzebne mi fakty. Chcę wiedzieć dlaczego! Rozumiesz? Muszę wiedzieć dlaczego!

ROZDZIAŁ 4

Frank Gunther od dłuższego czasu siedział przy barze hotelu Norfolk, popijał szkocką i rozmyślał. Zbliżał się wieczór i do salonu, usytuowanego na lewo od głównego holu, zaczęli schodzić się goście na pogawędkę i drinka przed kolacją. Frank rozejrzał się z goryczą.

Hotel Norfolk. Kiedyś spotykali się tu uczestnicy najwspanialszych safari. Zbierali się wielcy myśliwi. Frank odwrócił się z niesmakiem tyłem do sali. Teraz zjeżdżali się turyści, którzy chcieli tylko zrobić kilka zdjęć na pamiątkę i ewentualnie zobaczyć z daleka śpiącego lwa.

Przed kilku laty, w Sylwestra, jakiś fanatyk podłożył bombę i wysadził w powietrze jedno skrzydło hotelu. Dla Franka był to

symboliczny koniec odchodzącej ery. Znak, że pora się wynosić. Powędrować gdzieś, gdzie czeka przygoda i można zapolować. Na przykład nad Amazonką. Gdziekolwiek, byle dalej od tej nowej Afryki. Ależ ten świat się zmienia, westchnął w duchu.

Gdy przyjechał do Afryki prosto z Korei, łatwo było o zarobek. Dobrze strzelał, miał myśliwski szósty zmysł i talent do nawiązywania kontaktów z ludźmi, których umiał czarować pięknymi słówkami. W kilka miesięcy po założeniu firmy zasypano go zgłoszeniami na safari. Potem wszystko zaczęło się psuć.

Mau Mau. Wieść rozeszła się jak pożar sawanny podsycany przez zachodni wiatr. Przywódcy ruchu przemawiali, a czarne tłumy słuchały. Potem połała się krew. Wszystko się zmieniło, już bezpowrotnie.

Frank poczuł się nagle białym człowiekiem w kraju rządonym przez czarnych. Surowe przepisy chroniły zwierzynę. Coraz częściej korzystali z usług Franka ludzie polujący nie z bronią, a z japońskimi aparatami w rękę. Dawniej pieniędzy było w bród. Wystarczyło po nie sięgnąć. A teraz, żeby utrzymać się przy życiu, Frank musiał pracować dla takich mięczaków jak ci turyści, którzy go właśnie najęli.

Ale jak tu, do cholery, zacząć nowe życie nad Amazonką, kiedy człowiek ma dobrze po pięćdziesiątce i przepuścił prawie wszystko, co do tej pory zarobił? Frank dopił whisky.

Wystarczyłby jeden duży numer. Musi znaleźć sposób na szybkie zarobienie grubych pieniędzy. Na szmuglu. Narkotykach. Przez te wszystkie lata robił niejedno, ale nigdy nic na wielką skalę. Może więc

czas zaryzykować, pomyślał. Jeden duży numer. Byleby tylko nie dać się złapać.

Stanął przed nim barman Kaba. Frank spodziewał się, że naleje mu whisky, ale Murzyn postawił na barze telefon.

- Do ciebie, Frank - powiedział. - Dziewczyna z biura.

Frank skrzywił się, podziękował skinieniem głowy i wziął słuchawkę.

- Co tam masz dla mnie, Shirley?

- Frank, przyszedł do ciebie pan Bassett. Czy miałeś go jutro zabrać?

Frank klepnął się ręką w czoło i zaklął.

- O cholera! Dog. Psiakrew, wiedziałem, że mam coś jeszcze zaplanowane na ten tydzień.

- Jestem pewna, że nie ma go na liście.

- Tak, wiem. Spotkaliśmy się przypadkiem miesiąc temu w schronisku Tsavo. Diabli nadali. Starzeję się, Shirl. Zupełnie zapomniałem, że się umówiliśmy.

- Co chcesz zrobić? Odwołać tę grupę, którą przyjąłeś wczoraj?

- Nie mogę ich odwołać. Mam się z nimi spotkać. Lada chwila będą w hotelu. Zresztą przygotowałem już wyjazd z Westwood Park. Cholera. No dobrze. Daj Bassetta do telefonu. Muszę wypić piwo, które nawarzyłem.

Czekając, aż w słuchawce odezwie się Bassett, Frank skinął na barmana, żeby go obsłużył. Usiłował wymyślić jakieś wyjście z niezręcznej sytuacji, a nic mu nie przychodziło do głowy. W końcu

usłyszał chłodny, opanowany głos Bassetta.

- Frank?
 - Aaa, Dog. Jak leci?
 - Zapomniałeś, Frank, przyznaj się. Mówiłem, że potwierdzę termin, a ty zapewniałeś, że nie ma potrzeby.
 - Dobra, Dog, jestem twoim dłużnikiem.
 - Chcesz przez to powiedzieć, że przy najbliższej okazji będziesz moim przewodnikiem za darmo?
 - Nie licz na to, stary. Nie czuję się aż tak bardzo winny.
- Dog Bassett odchrząknął.
- Musisz mnie gdzieś wcisnąć, Frank, i to niedługo. Mam umowę.
 - Jaką?
 - Rogi nosorożca. Kilku nadzianych Japończyków pragnie osiągnąć szczyty rozkoszy, a ja mam im w tym pomóc, dostarczając odpowiednich ingrediencji.
 - Nie mam pojęcia, skąd ty ich wytrzaskujesz, Dog. Nie przypuszczałem, że jeszcze jacyś Japończycy wierzą w te bzdury. Ile masz na to czasu?
 - Niewiele. Chcieliby na wczoraj, gdyby to było możliwe.
- Frank potarł twarz i zastanawiał się jeszcze przez chwilę.
- Wiesz co? Jutro wyruszam z grupą turystów z Westwood. Może do nich dołączysz, jeśli się zgodzą? Zniżka za to, że nawaliłem.
- W słuchawce zapadło milczenie.
- Znają przepisy.? - spytał po chwili Dog.

- Nie ma obawy. Są z Nowego Jorku. Zieloni jak trawa. Dwie kobiety i facet chucherko. Przekłęta wycieczka krajoznawcza, ale przynajmniej bez tych poobwieszanych aparatami żółtków.

- A kobiety jakie?

- Wybij to sobie z głowy, stary. Możesz liczyć tylko na nosorożce. Jedna to gruba krowa, a druga ładna, ruda Irlandka z niezłymi płucami i zgrabniutkim tyłeczkiem. Już ją namierzyłem, Dog. Zanim wrócimy do Nairobi, zamierzam sprawdzić, ile warte jest stare powiedzenie.

- Jakie?

- Ruda na górze, ruda na dole - odparł Frank i zarechotał.

Dog nie roześmiał się, ale on nigdy nie śmiał się głośno. Słuchając ciężkich dowcipów Franka, najwyżej uśmiechał się półgębkiem. Frank jednak lubił zabierać go na wyprawy. Dog płacił dobrze i na czas, dla zysku chętnie obchodził przepisy i był prawdziwym myśliwym.

Dog Bassett miał byczy kark i składał się prawie z samych mięśni. Nikt z nim nie zadzierał. Każdy, kto na niego spojrzał, wiedział od razu, że miałby małe szanse zostać przy życiu, gdyby wszedł mu w paradę. Nikt też nie żartował z jego imienia. Kiedy Frank raz go o nie spytał, Dog popatrzył na niego z kamienną twarzą i błyskiem okrucieństwa w oku, powiedział, że zawsze tak go nazywano, i na tym się skończyło. Dog Bassett był twardzielem, ale najbardziej Frank podziwiał jego umiejętności strzeleckie i rywalizował z nim na tym polu, co pomagało mu utrzymać się w formie. Często się o coś

zakładali, a Dog był jednym z tych, co potrafią skaczącej gazeli wpakować kulę w dziurkę pod ogonem przy pierwszym wystrzale.

- Jaką dostanę zniżkę, Frank?

- Dwadzieścia procent. I możesz sobie wziąć tę gru-bą bez dopłaty - dodał Frank uśmiechając się do słuchawki, w której rozległy się pomruki Doga. - Dobra oferta, Dog. Radzę skorzystać.

- Dobrze. A teraz ty posłuchaj mojej, Frank. Przekonasz ich, żeby wzięli mnie z sobą, i jeżeli będą nosorożce, zapłacę pełną stawkę. Jeśli coś nie wyjdzie i wrócimy bez rogów, to pozwolisz, że i ja się dobiore do tej rudej ze zgrabnym tyłkiem.

- Czy ja cię kiedyś zawiodłem, Dog? Będziesz miał swoje nosorożce. Nie martw się.

- Umowa stoi, Frank?

Do salonu weszły Kathy Sullivan i Zelda Roote. Frank pomachał do nich, posyłając szeroki uśmiech wielkiego, białego łowcy. Starsza kobieta mimo luźnej sukienki wyglądała jak szafa, a młodsza ubrana była w nową spódnicę i bluzkę safari, które leżały na niej jak ulał. Na widok zbliżającej się zgrabnej Irlandki, Frank poczuł dreszcz podniecenia.

- Do zobaczenia w Westwood, Dog. Za półtorej godziny - powiedział do telefonu, nie odrywając wzroku od Kathy Sullivan. Odłożył słuchawkę, dopił whisky i wstał, żeby się przywitać.

ROZDZIAŁ 5

Braxton zsunął na tył głowy baseballową czapkę z napisem New York Yankees i napił się piwa, które podał mu Frank Gunther. Słuchał pilnie Gunthera, który krążąc wokół ogniska objaśniał, jak będzie zorganizowany obóz, ale w głębi ducha odczuwał niezadowolenie. Uważał, że Eddie popełnił duży błąd, zatrudniając tego przewodnika.

Kilka miesięcy wcześniej Braxton wysłał do agencji prasowej w Stanach artykuł o białych myśliwych w Kenii, wciąż polujących według starych zasad. Frank Gunther wyróżniał się wśród najgorszych. Nie liczył się z dobrem dzikich zwierząt i łamał nowe prawo, słowem robił, co chciał. Eddie oczywiście nie wiedział o tym. Wybrał doświadczonego przewodnika z listy dostarczonej przez biuro turystyczne. Ostrzeżenie go teraz nic nie da. Kontrakt został podpisany.

Na dodatek ten Bassett, czyli Dog, jak go pieszczotliwie przedstawił Gunther. Okaz do kolekcji. Boże, ten człowiek nawet się nie uśmiechnął, kiedy go przedstawiano. Z kamienną twarzą świdrował wszystkich zimnym wzrokiem. Gunther właściwie nie poprosił o zgodę, tylko poinformował, że Dog zabiera się razem z nimi. Eddie nie był zadowolony, ale nie protestował. Trudno, pomyślał Braxton, to przecież ich wyprawa. Nawet jeśli godzą się na towarzystwo osobnika o wyglądzie psychopaty, który zbiegł z oddziału zamkniętego, nie mogą się sprzeciwić.

Najbardziej jednak niepokoił go przyświecający wyprawie cel. Za

nic nie mógł uwierzyć, że w słowach, które wypowiedział Eddie w muzeum, kryje się choćby odrobina prawdy. Przynależał sobie jedynie, że postara się zachować obiektywizm. Eddie i te dwie kobiety uległy jakiejś fascynacji, co do tego nie miał wątpliwości. Zachowywali się jak uczestnicy seansu spirytystycznego, którzy ujrzeni unoszący się nad podłogą stolik i chcą zobaczyć to jeszcze raz.

W całej tej historii był jeden jasny punkt. Braxtonowi od pierwszego wejrzenia spodobała się Kathy Sullivan. Nie miała seksapilu, nic z tych rzeczy. Gdyby ktoś chciał określić jej wygląd, powiedziałaby raczej: miła i sympatyczna niż: uderzająco piękna. Miała w sobie coś nieokreślonego, co sprawiało, że była atrakcyjna. Od chwili, gdy poznali się w hotelu Norfolk, Braxton wciąż łapał się na tym, że ukradkiem na nią zerka, tak jak w tej chwili. Kierowca Gunthera, młody Murzyn Sammy, pokazywał właśnie obu paniom, jak rozstawia się namiot.

Po drugiej stronie ogniska Injai pomagał przy namiocie Eddiemu. Injai był drugim wielkim plusem wyprawy. Przydzielono go Eddiemu do pomocy, gdy przyjechał do Afryki i zaczął pracować w misji. Od tamtej pory tubylec wiernie towarzyszył księdzu. Wesóły i beztroski Injai służył nieocenioną pomocą jako tłumacz, a także objaśniał Eddiemu i Braxtonowi miejscowe obyczaje i wierzenia. Przyjemnie było mieć w pobliżu kogoś, kogo nie opuszczał dobry humor. Po zakończeniu służby w Korpusie Pokoju Braxton widywał go rzadko, ale zawarta dawniej przyjaźń pozwalała im teraz żartować i śmiać się przy każdej okazji.

Poza tym w skład grupy wchodził zatrudniony przez Gunthera Dingo, kucharz i służący w jednej osobie. Dingo niewiele mówił, a gdy ktoś go zagadnął, uśmiechał się całą gębą odsłaniając żółtkłe, krzywe zęby.

Frank Gunther skończył wstępne objaśnienia, podszedł bliżej ogniska i przykucnął. Skinął na pozostałych i rozłożył przed sobą na ziemi wielką mapę.

- Teraz pokażę, jakie trasy mamy do wyboru. -Przesuwając szybko rękę wskazał różne punkty na mapie, po czym stuknął palcem w czarną kropkę oznaczoną napisem Nairobi. - Jesteśmy w obozowisku Westwood tuż pod miastem. Jak widać, w okolicach Nairobi jest kilka rezerwatów przyrody. Każdy z nich ma piękne widoki i bogatą faunę. Gdybyśmy pojechali na północ, moglibyśmy najpierw zobaczyć jezioro Nakuru. Gniazdują tam setki ptaków. Przelatujące nad wodą wielkie, białe stada to niezapomniany widok. Następnie moglibyśmy odwiedzić słynne wodospady Thomsona. Tubylcy opowiadają, że mieszka tam diabeł, więc na pewno nie zechcą państwo przepuścić takiej atrakcji.

Gunther powiedział to dla żartu i zdziwił się, widząc poważne miny klientów. Tylko ten nowy, Hicks, lekko się uśmiechnął. Gunther wzruszył ramionami i kontynuował objaśnienia.

- Dalej na północ, w rezerwacie Samburu, są znakomite warunki do obserwowania lwów. Potem wrócilibyśmy koło masywu wulkanicznego Kenia, przez schronisko Treetops do Nairobi. - Umilkł czekając na uwagi. Ponieważ nikt się nie odezwał, wyjaśniał dalej. - Moglibyśmy również wyruszyć na południe. Park narodowy Amboseli

jest pełen wszelkiej zwierzyny. W słoneczny dzień widać górę Kilimandżaro. Dalej są rezerwaty Tsavo, słynne z różnorodności krajobrazów, a potem, na południowy wschód, przylądki Malindi i Mombasa.

Zelda Roote pochyliła się nad mapą.

- A gdzie jest Wielki Rów Wschodnioafrykański, o którym tyle się słyszy? Tutaj?

- Nie, to Masai-Mara. Tu również moglibyśmy się wyprawić. - Przewodnik przesunął rękę od góry do dołu mapy. - Wielki Rów Wschodnioafrykański przebiega przez środek Kenii i poza jej granice, do Etiopii i Tanzanii. Zarówno na północy, jak na południu mógłbym państwu pokazać skalne urwiska biegnące wzdłuż tego wielkiego rowu tektonicznego. Decyzja należy do państwa. - Wzruszył ramionami i z uśmiechem wskazał stojącego z tyłu potężnego Doga Bassetta. - Dog zabiera się na przejażdżkę. Jemu jest wszystko jedno. A państwo dokąd chcieliby pojechać?

Nikt się nie odezwał. Frank przeciągnął się, wstał i spojrzał porozumiewawczo na Doga. Pozostali skupili uwagę na Kathy, która uporczywie wpatrywała się w mapę.

- Panie Hicks - powiedział Frank, zwracając oczy na Braxtona. - Podobno był pan już na safari. Może zechce pan pomóc w dokonaniu wyboru.

- Proszę mi mówić Braxton - odparł dziennikarz wstając. Wskazał Eddiego i dodał: - Decyzja nie należy do mnie.

Eddie skinął głową i też wstał.

- Tak, to my musimy podjąć decyzję - rzekł.

- Przepraszam za ten brak zdecydowania - dodała Zelda i podeszła do Eddiego, zostawiając Kathy pochyloną samotnie nad mapą. - Proszę nas zrozumieć, panie Gunther, do tej pory myśleliśmy przede wszystkim o tym, żeby tu dojechać. Po pańskich wyjaśnieniach najchętniej omówilibyśmy wybór trasy między sobą, a potem...

Zelda nie dokończyła. Odwróciła się raptownie do Kathy, która puknęła palcem w mapę wołając:

- Tutaj!

Kathy stukała wciąż w ten sam punkt na mapie. Wszyscy pochyłili się, wpatrując jak urzeczeni we wskazane miejsce.

- Tutaj! Tu pojedziemy!

- Jesteś pewna? - spytała cicho Zelda, przyglądając się badawczo nie mapie, lecz twarzy młodej kobiety. - Moglibyśmy omówić to wieczorem i podjąć decyzję rano.

- Nie! - zaprotestowała głośno Kathy. - To na pewno tutaj! Braxton podejrzliwie zmarszczył brwi, nie odrywając wzroku od Kathy Sullivan. Próbował podchwycić spojrzenie Eddiego, ale ksiądz, tak jak wszyscy pozostali, pochłonięty był Kathy.

Jej głos zabrzmiał dziwnie. Dziwny też miała wyraz oczu, gdy na nich spojrzała.

Naprzeciw Braxtona siedział na kłodzie drzewa Injai. Już się nie uśmiechał, tylko przyglądał z zaciekawieniem. Dingo przestał zmywać naczynia koło namiotu i patrzył w ich stronę, podobnie jak kierowca Sammy, który stał oparty o mikrobus.

- Amboseli. Dobry wybór - ucieszył się Frank Gunther, może nieco zbyt entuzjastycznie. - Chyba nigdzie nie ma tylu gatunków zwierzyny. Wyśmienity początek.

- Zatem Amboseli - powtórzyła Zelda. Ujęła Kathy za rękę i pomogła jej wstać. - Dziękuję ci, Kathy, za podjęcie decyzji, gdy my wszyscy dreptaliśmy w kółko.

Braxton przyglądał się uważnie twarzy młodej kobiety. Czar prysł. Wyglądała normalnie. A może tamto było przywidzeniem? Może kapryśny blask ognia i nagłość decyzji sprawiły, że dopatrywał się czegoś niezwykłego w tym, co zaszło? Ale przynajmniej Zelda i Eddie byli zadowoleni z wyboru.

- A więc się zgadzamy - rzekł serdecznie Frank Gunther, zwracając się do wszystkich, choć patrzył tylko na Kathy. Opuścił wzrok na jej bluzkę, by po chwili z uśmiechem spojrzeć w oczy. - Dog i ja wybieramy się na drinka do baru. To niedaleko. Zapraszamy miłe panie z nami.

- Dziękuję - odparła Kathy uprzejmie, lecz chłodno. - Skoro mamy wstać o świcie, pora udać się na spoczynek.

- Może więc innym razem - powiedział nie zrażony. Na wzmiankę o barze raz dwa znalazł się u jego boku Dingo. Kierowca pozostał jednak przy mikrobusie i Frank zwrócił się do niego. - Idziesz, Sammy? - Murzyn potrząsnął głową i machnął ręką na znak, żeby szli bez niego. - Jak sobie życzysz. - Frank ruszył za Dogiem Bassettem i Dingo, którzy poszli już w stronę drogi, i rzucił na odchodnym: - Łazienki są niedaleko, w betonowym pawilonie w głębi. Najlepiej,

żeby panie poszły razem. Zwykle jest tu bezpiecznie, ale nigdy nic nie wiadomo. Dobranoc. Proszę pamiętać o zasunięciu moskitier.

Eddie przeszedł kilka kroków za Guntherem, który wraz z pozostałymi dwoma znikł w ciemnościach, potem zerknął na mikrobus, w którego wnętrzu schronił się Sammy, zawrócił do ogniska i usiadł przy Braxtonie.

- Nic nie mów, Brax. Błagam. W biurze turystycznym powiedzieli, że Gunther jest jednym z najlepszych.

- A nie powiedzieli, w czym? - odpowiedział pytaniem Braxton i pokręcił głową. - Szkoda, że nie porozumiałeś się najpierw ze mną, Ed. Nie zdradz mu przypadkiem, gdzie pracuję. Rozpracowałem jego i paru innych, przygotowując w zeszłym roku artykuł o białych myśliwych w Kenii. Zadzwoił z pogrózkami, że poda mnie do sądu. Aż trudno uwierzyć, że nie przypomniał sobie mojego nazwiska, kiedy mnie przedstawiłeś.

- Może przypomniał - wtrąciła Zelda, podchodząc do nich razem z Kathy.

Braxton potrząsnął głową.

- To by się rzuciło w oczy. Nie pamięta mnie i miejmy nadzieję, że tak pozostanie.

- Za to jego przyjaciel wydaje się całkiem miły, nie uważacie? - powiedziała Kathy.

Spojrzeli na nią z niedowierzaniem i wszyscy jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

Braxton uśmiechnął się do Kathy zachwycony nie tylko jej

żartem, ale perlistym śmiechem i błyszczącymi w świetle ogniska oczami. Zdumiewały go własne reakcje. Czuł się jak podekscytowany nastolatek za każdym razem, kiedy na nią spojrzał. Poprawił czapkę i zażenowany odwrócił wzrok. Co się z nim dzieje, u licha?

- Owszem, Dog wygląda na świetnego faceta - podchwycił. - Gotów wszystko dla ciebie zrobić.

- Albo ciebie zabić - wtrąciła Zelda. - Jak myślicie, po kiego czorta Gunther ściągnął tego okropnego człowieka?

Braxton spojrzał na Eddiego.

- Gunther o niczym nie wie, prawda? Ksiądz potrząsnął głową.
- Więc zapewne zawarli osobną umowę. Mała fucha na boku.
- Czy powinniśmy pozwolić, żeby jechał z nami? - zastanawiał się Eddie. - Nie byłem pewien, jakie tu panują obyczaje.

- Obawiam się, że właściwy moment na odmowę już minął i Dog zabiera się z nami. Nie ma co rwać sobie włosów z głowy z powodu Gunthera. Nie jest wprawdzie najmiłym człowiekiem pod słońcem, ale zna Afrykę, organizował setki safari i na pewno zaprowadzi was tam, gdzie zechcecie. Uprzedzam jednak: najlepiej wyłożyć kawę na ławę, bo głupi to on nie jest. Pewnie w tej chwili rozmawiają o tym, co zdarzyło się przy mapie. Przygotujcie się do udzielenia jakichś wyjaśnień.

- Tak, zgoda - rzekł Eddie. - Porozmawiam z nim rano, kiedy wyruszymy.

- A ty, Braxton? - spytała Kathy z miłym, niewymuszonym uśmiechem, znów przyciągając jego wzrok. - Wiem, że Eddie z grubsza

wyjaśnił ci, co zamierzamy, ale z pewnością masz jakieś pytania.

- Owszem, znalazłoby się parę wątpliwości - rzekł Braxton z udaną bez troską.

- No to strzelaj - zachęciła Kathy. - Skoro masz o nas pisać, to powinniśmy od samego początku dołożyć starań, żebyś jak najlepiej wszystko zrozumiał.

- Dobrze - powiedział Braxton. - Zacznijmy od mapy. Dlaczego wybrałaś właśnie Amboseli?

Kathy, nim odpowiedziała, zerknęła niespokojnie na Zeldę.

- Nie jestem pewna. Okazuje się, że teraz, nawet bez słownych sugestii Zeldy, potrafię wpaść w rodzaj transu, kiedy mocno się skoncentruję. Zdaje się, że to właśnie nastąpiło.

- W czasie przeprowadzania regresji hipnotycznej - wyjaśniła Zeldę - wyłania się osoba, która wprawdzie sama do nas nie przemawia, ale jest połączona jakąś niezrozumiałą więzią duchową z Kathy i komunikuje nam za jej pośrednictwem swoje uczucia i pragnienia. Dzięki temu doszliśmy do punktu, w którym się znajdujemy. Na podstawie rysunków przedstawiających te okolice przed wiekami i rozmów z Kathy nabrałyśmy przekonania, że miejsce, którego szukamy, znajduje się gdzieś w Wielkim Rowie Wschodnioafrykańskim.

- Czyli właśnie tam, gdzie badacze DNA umiejscawiają naszą pramatkę i gdzie zdaniem wielu archeologów pojawili się przodkowie *Homo sapiens* - wtrącił Eddie i skinął na hipnotyzerkę.

- Czyżby Eden? - spytał Braxton, unosząc brwi.

- Może - odparła Zelda. - Niczego nie możemy być pewni, jak sam się niebawem przekonasz. Nauczyliśmy się żyć z tą niepewnością. Chciałabym zweryfikować decyzję podjętą przy mapie i przy okazji pokazać ci, jak wygląda seans hipnotyczny, jeżeli Kathy wyrazi zgodę.

- Gdy Kathy skinęła głową, Zelda spytała: - Nie uważasz, Eddie, że tak byłoby najlepiej?

Ksiądz spojrział w stronę drogi.

- Tak. Dobrze. Injai też z wielkim zainteresowaniem oczekuje seansu. Z pewnością to najlepszy sposób zapoznania ich z sytuacją. Z Guntherem wolałbym jednak najpierw porozmawiać. Nie byłoby dobrze, gdyby nam przerwał.

- Frank Gunther nie wróci po jednym drinku, Ed - zapewnił Braxton. - A jego kierowca poszedł już spać. Widziałem, jak wsiada do mikrobusu i zamyka drzwi.

Spojrział w stronę kłody, na której siedział, przysłuchując się w milczeniu, wierny pomocnik księdza. - Co powiesz, Injai? Jesteś gotów?

Injai błysnął zębami w uśmiechu.

- O tak, Buddy. Ojciec Eddie opowiadał mi o cudach. O tym, jak Bóg przekazuje to, co chce nam powiedzieć. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę seans.

Braxton skinął na stojącą przy Kathy hipnotyzerkę.

- A więc jest nas dwóch. Rób swoje, Zeldo. Będę się przyglądał z uwagą.

ROZDZIAŁ 6

Hipnoza nie polega tylko na tym, że jakiś osobnik o powierzchowności Rasputina kołysze wahadłem i szepcze: „patrz mi w oczy...” Braxtonowi nie trzeba było tego tłumaczyć. Napisał kiedyś artykuł na ten temat i wiedział, że hipnoza to medytacyjny stan psychiczny, wywoływany i w różnym stopniu kontrolowany przez czynniki zewnętrzne. A każdy, kto praktykuje medytację, uprawia pewien rodzaj autohipnozy.

Nie ulegało wątpliwości, że obiekt hipnozy wchodzi w odmienny stan świadomości. Braxtona niepokoiło, że nikt właściwie nie wie, co się wtedy dzieje. Stan hipnotyczny nie polega ani na zapadnięciu w sen, ani na snuciu marzeń na jawie. Nie jest także normalnym stanem świadomości.

Absurdem jest przypuszczać, że ktoś w tym stanie może cofnąć się w czasie i wcielić w innego człowieka. Zapewne umysł podatny na sugestię zaczyna pod jej wpływem wyprawiać harce.

Fakt faktem, że Braxton nigdy nie był świadkiem regresji hipnotycznej, więc kierował się uprzedzeniem. Dlatego przyglądał się uważnie Zeldzie, która zaczęła hipnotyzować Kathy. Technika hipnotyzerki miała mu zdradzić, czy jest to osoba wiarygodna.

I to go właśnie zmyliło. Nie posiadając się ze zdumienia, stwierdził brak jakiegokolwiek techniki. Zelda zrelaksowała Kathy i uprzedziła, że odliczy od dziesięciu do zera, a potem dotknie jej ręki. Kathy miała wówczas znaleźć się „tam”. Wrócić do prapoczątku.

Zelda wyjaśniła potem, że umysł poddany hipnozie cechuje wyjątkowa zdolność: raz doprowadzony do wybranego miejsca, nie wymaga później ponawiania wstępnych zabiegów. Wystarczy proste polecenie i umysł natychmiast przeniesie się tam, gdzie mu każą. To, co Braxton oglądał w wykonaniu Zeldy, wydawało się jednak zbyt proste. Nie mógł uwierzyć, że siedzący z nim przy ognisku ludzie dali sobie wmówić możliwość przywoływania minionych istnień w zahipnotyzowanej świadomości.

Zelda dotknęła ręki Kathy.

Nic się nie wydarzyło. Wszyscy trwali w bezruchu, a z otaczających ich ciemności dobiegały nocne odgłosy. Kątem oka Braxton dostrzegł jakiś błysk. Obejrzał się i zobaczył, że w mikrobusie zapaliło się światło, a kierowca Gunthera, Sammy, siedzi na swoim miejscu, spoglądając przez boczne okno w kierunku ogniska. Eddie też zauważył zapalone światło i spojrzał z niepokojem na Zeldę, ale hipnotyzerka potrząsnęła głową. Za późno. Nie mogli się teraz wycofać.

Wtem Kathy drgnęła.

Nie poruszyła się gwałtownie, tylko wyprostowała i pochyliła lekko do przodu. Oczy miała wciąż zamknięte, ale już nie była rozluźniona. Coś się w niej zmieniło.

Braxton wpatrywał się w Kathy i też nachylił w jej stronę, usiłując dociec, na czym ta zmiana polega.

Powiedział sobie, że wszystkiemu winna jest atmosfera. Nocne odgłosy. Cienie rzucane przez ognisko. Cholernie sugestywny nastrój.

Odwrócił na chwilę wzrok i znów spojrział. A niech to, wcale mu się nie wydawało. Siedząca na kempingowym stołku dziewczyna naprawdę była kimś innym, choć nie chciał tego uznać. A przecież Zelda odliczyła tylko od dziesięciu do zera, nic więcej, u licha. Chwileczkę. Trzeba patrzeć. To niemożliwe. Po prostu pod wpływem hipnozy Kathy Sullivan była... inna.

- Gdzie jesteś, Kathy? - spytała cicho Zelda. Jej głos zabrzmiał miękko, ciepło, kojąco.

Kathy nie odpowiedziała. Niepostrzeżenie zmieniając ułożenie tułowia i rąk, coraz bardziej się naprężyła. I jeszcze jedno - wydawała się silniejsza. Braxton doznał olśnienia. Zahipnotyzowana dziewczyna przybierała postawę istoty prymitywnej, reagującej instynktownie jak zwierzę w obliczu zagrożenia.

- Czy jesteś w znajomym miejscu, Kathy? - spytała Zelda od niechcena, jakby prosiła o podanie soli przy stole. - Wystarczy, jeśli skiniesz głową. Cofnąłaś się w czasie? Wróciłaś do tego szczególnego miejsca?

Z zamkniętymi oczami Kathy odwróciła się do Zeldy, ale zamiast kiwnąć głową, jak spodziewał się Braxton, pokręciła nią przecząco. Potem znieruchomiła z twarzą zwróconą do ognia, który przyciągał ją jak magnes.

Niesamowite. Tak należało to określić. Wbrew racjonalnym przekonaniom, Braxton był pod wrażeniem. Ciarki go przechodziły, gdy patrzył na napięte ciało, głowę odwracającą się do Zeldy, a potem znów do ognia.

- Jeżeli twoja odpowiedź brzmi „nie”, to gdzie jesteś, Kathy? - spytała Zelda. - Rozejrzyj się i powiedz, co widzisz.

Znów ten sam ostrożny, przeczący ruch głową z zamkniętymi oczami, i powrót do sztywnej pozycji twarzą do ogniska.

- Powiedz, co widzisz! - powtórzyła Zelda. Kathy powiedziała coś cicho, niemal szeptem.

- Przepraszam, Kathy, nie usłyszałam. Gdzie jesteś? - ponowiła pytanie Zelda.

Nie musiała pytać po raz trzeci. Kathy odwróciła raptownie głowę do hipnotyzerki.

- Wengahhhthaaa!

Niezrozumiały okrzyk wyrwał się z gardła Kathy niespodziewanie głośno i donośnie.

Eddie i Zelda spojrzeli szybko po sobie, a Kathy tak jak przedtem odwróciła się do ognia. Przed seansem Eddie naszykował blok rysunkowy, węgiel i kolorowe flamastry. Teraz wziął leżący na bloku ołówek, napisał coś u góry dużej kartki i pokazał Braxtonowi, rzucając znaczące spojrzenie.

Braxton szybko przeczytał: „Dzieje się coś nowego. Nic nie mów”, i skinął głową.

Wokół ogniska wyczuwalnie wzrosło napięcie. Braxton słyszał je także w głosie Zeldy. Hipnotyzerka starała się zachować spokój, ale po okrzyku Kathy nie mogła już mówić od niechcienia.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Jeśli mówię do kogoś innego, rozumiesz mnie poprzez Kathy. Chcesz jeszcze dalej cofnąć się w

czasie?

Po chwili Kathy zaprzeczyła, kręcąc głową jak robot.

- W porządku. Więc kim teraz jesteś? Jesteś wciąż Kathy?

Pytanie Zeldy wywołało taką samą reakcję jak przedtem. Z ust Kathy wyrwał się okrzyk, tym razem dłuższy. Braxton odgadł natychmiast, że nie są to nieartykułowane dźwięki, gdyż miały zróżnicowaną formę i swoisty układ, jak głoski służącej porozumiewaniu się mowy. Najdziwniejsze jednak było to, że niezrozumiałe dźwięki wydały mu się znajome, próbował więc usilnie przypomnieć sobie, gdzie słyszał coś podobnego.

Strumień słów urwał się nagle. Kathy odwróciła się od Zeldy, ale tym razem nie w stronę ognia, i otworzyła oczy.

Braxton nabrał pewności, że Eddie nie żartował. Działo się coś niezwykłego. Kiedy Kathy otworzyła oczy, ksiądz aż podskoczył ze zdumienia. Zelta zaczęła klepać ją po ręce, usiłując zapewne przywrócić do poprzedniego stanu, pograćzyć w transie. Braxton zaś poczuł nerwowe podniecenie. Te oczy, które nagle przejrzały, patrzyły prosto na niego.

Wpatrywał się w nie bez zmrużenia oka i pojął, że dłużej nie może się oszukiwać. Nie miał pojęcia, czyje to oczy, wiedział jedynie, że nie należą do Kathy Sullivan. A raczej były to oczy Kathy, ale spoglądał przez nie ktoś inny. Właśnie tak: spoglądał przez nie ktoś inny.

A więc koniec z żartami na temat obsesji hipnotycznej, jakiej dali się opętać ci ludzie.

- Już dobrze, Kathy - powiedziała Zelda. - Odpręż się i zamknij oczy.

Braxton wpatrywał się w Kathy jak urzeczony. Powieki wcale jej nie opadły, widocznie więc hipnotyzerka nie miała na nią wielkiego wpływu.

- Kathy, musisz odpocząć - rozkazała Zelda. - Zamknij oczy i usiądź wygodnie. Usiądź wygodnie i odpręż się.

Kathy obejrzała się na Zeldę i wstała.

Świetnie panujesz nad sytuacją, Zeldo, pomyślał Braxton. Poczul jeszcze silniejszy dreszcz podniecenia, gdy Kathy znów skupiła uwagę na nim i patrząc w oczy podeszła bliżej. Zelda nic nie mówiła, tylko obserwowała ją, nie ruszając się z miejsca.

Kathy stanęła tuż przed Braxtonem. Pochyliła się i zaczęła mu się przyglądać z rozdętymi nozdrzami. Po chwili niespodziewanie odwróciła się, odeszła na swoje miejsce, usiadła na stołku i zamknęła oczy.

Braxton pokręcił głową. Znów próbował przekonać sam siebie, że przez cały czas miał do czynienia z Kathy. Wszystkiemu winna siła sugestii, tak jak od początku myślał. Ktoś patrzący przez oczy Kathy - toż to niedorzeczność.

- Dobrze, Kathy - powiedziała Zelda ostrożnie. - Zamknij oczy i odpocznij. Chcesz, żebym cię obudziła? Chcesz, żebym pomogła ci powrócić do nas?

Znów ten sam przeczący, mechaniczny ruch głową.

Powoli, jakby ktoś pociągał za sznurek, prawa ręka Kathy uniosła

się w górę i zawisła w powietrzu. Zadrżały jej palce.

- Aha, rozumiem - szepnął Eddie do Braxtona. - Chce rysować. Może teraz potwierdzi się decyzja podjęta przy mapie.

Braxton słuchał przyjaciela, ale myślał o czymś innym. Przypomniał sobie nagle, gdzie słyszał tajemniczą mowę, którą posłużyła się niedawno Kathy.

- Eddie, te dziwne okrzyki...

- Wiem, Brax - przerwał mu Eddie i skinął głową. Pospiesznie zebrał przybory do rysowania i podszedł do kobiet.

Przyklęknął trzymając przed Kathy blok, a Zelda wsunęła do jej uniesionej ręki węgiel. Kathy zacisnęła palce jak małe dziecko, które chwytą ołówek całą dłonią. Pochyliła się i zaczęła rysować z otwartymi oczami.

Przez kilkanaście minut kreśliła po papierze szybko i niestarannie. Przerwała tylko raz, by napisać coś czerwonym flamastrem, który potem upuściła, sięgając znów po węgiel. Wreszcie cofnęła rękę, która zawisła niepewnie w powietrzu i po chwili opadła bezwładnie do jej boku.

W tym momencie Kathy zamknęła oczy, wyprostowała się i rozluźniła. Eddie odwrócił blok do siebie, a Zelda, rzuciwszy okiem na rysunki, wysunęła węgiel z palców Kathy i położyła rękę na jej dłoni.

- Wspaniale - powiedziała łagodnie. - Wspaniale. Wkrótce znów porozmawiamy. A teraz chcę, żebyś się odprężyła. Będę cię budzić. Nie poczujesz żadnych przykrych następstw. Żadnych przykrych następstw. Poczujesz się lepiej niż przedtem. Tak dobrze, jak dawno się

nie czułaś. Nie będziesz mogła sobie przypomnieć, kiedy tak wyśmienicie się czułaś. Będziesz pamiętała, co się działo przed przebudzeniem, ale nie sprawi ci to przykrości. Będziesz jak zwykle obiektywna. Dobrze samopoczucie i spokój będą ci towarzyszyć długo po przebudzeniu. A teraz chcę, żebyś się odprężyła. Odpręż się. Kiedy policzę do trzech i klepnę cię w rękę, będziesz znów z nami, całkowicie wolna. Nie otwieraj od razu oczu, kiedy cię obudzę. Rozluźnij się i otwórz je, kiedy będziesz miała na to ochotę. A teraz odpręż się... raz... dwa... trzy. - Mówiąc „trzy”, Zelda klepnęła lekko Kathy w rękę.

Po kilkunastu sekundach Kathy zamrugła oczami i przeciągnęła się, jakby budząc z głębokiego snu. Popatrzyła na Eddiego i Zeldę, a potem uśmiechnęła się łagodnie do Braxtona. Odpowiedział jej uśmiechem i gestem oznaczającym, że wszystko gra. Kiedy spojrzeli sobie w oczy, zrozumieli, że coś się po tym seansie zmieniło. Zadzierzgnęła się między nimi jakaś więź, której przedtem nie było.

Eddie podszedł z tyłu do Kathy, żeby rozmasować jej kark, a Zelda pogłaskała ją serdecznie po ręce.

- Dobrze się czujesz, Kathy? - spytała.
- Świetnie. Tym razem było inaczej, prawda?
- Tak - rzekł Eddie.

Braxton spojrział na siedzącego na pniaku pomocnika księdza. Injai wytrzeszczał oczy na Eddiego i kobiety.

- Co o tym myślisz, Injai? - spytał Braxton. Injai w milczeniu potrząsnął głową.
- Sam nie wiem, Buddy - powiedział stłumionym głosem. -

Ksiądz uprzedzał mnie, że wiele jest rzeczy niepojętych.

- Delikatnie mówiąc - rzekł Braxton.

- Jeszcze nigdy nie słyszeliśmy mowy - powiedział Eddie. - Obaj byliście świadkami czegoś, co zdarzyło się po raz pierwszy.

- Ed, zdaje mi się, że wiem, co to za język. Ty chyba też.

- Owszem. Byłem ciekaw, czy pamiętasz.

- A ja nie mam zielonego pojęcia - wtrąciła Zelda. - Może któryś z was zechce mi to wyjaśnić.

- Słyszałem coś podobnego tylko raz - odparł Braxton. - Na spotkaniu charyzmatyków, na które zaprosił mnie Eddie. Kiedy Kathy uniosła rękę, wszystko mi się przypomniało.

- Niektórzy nazywają to mówieniem językami - wyjaśnił Eddie. - Słyszałaś kiedyś kogoś mówiącego w ten sposób, Kathy?

- Nie słyszałam, choć wiem, że coś takiego istnieje.

- Tak właśnie przypuszczałem - rzekł Eddie. - Ponoć zdarza się to, gdy kogoś napęlnia Duch Święty. Modląc się, charyzmatycy unoszą rękę i w przypływie euforii zaczynają mówić nieznanymi językami.

Zazwyczaj uważa się to za bełkot. Kto wie, czy nie jesteśmy na tropie odkrycia, które pozwoli rozwiązać jedną z zagadek przeszłości.

- Na jakim tropie, Eddie? - spytała Kathy, marszcząc czoło. - Dlaczego raptem zaczęłam mówić jakimś dziwnym językiem?

- Łatwiej odpowiedzieć na to drugie pytanie - rzekł podekscytowany ksiądz. Oczy mu błyszczały. - Dlatego, jak przypuszczam, że zbliżamy się do celu naszej wyprawy. Zastanówmy się chwilę. Może niezrozumiała mowa to nie bełkot, a pierwszy język

ludzkości. Pierwsze Słowo. Wielki dar boży. Może ludzie zatopieni w modlitwie wpadają w trans podobny do hipnotycznego, a to z kolei pozwala dotrzeć do tego pierwszego języka. Języka, który istnieje cały czas, zakodowany w naszych genach, ale można go odzyskać tylko poprzez szczególne emocjonalne napięcie. Będziemy oczywiście musieli dowiedzieć się więcej, ale z pewnością warto podążać tym tropem. Jedno jest pewne: im dalej brniemy, tym więcej wyłania się pytań.

- A rysunek? - spytała Kathy. - Czy przedstawia mapę? Czy ma coś wspólnego z tym niezrozumiałym językiem? Jeszcze nigdy nie kierowała moją ręką tak potężna siła.

- To również miałem na myśli, mówiąc o wyłaniających się pytaniach - rzekł Eddie. - Proszę. Spójrz tylko.

Uniósł blok tak, żeby Kathy mogła go obejrzeć równocześnie z Zeldą. Po chwili Kathy pojęła treść rysunku. Wbiła pełen niedowierzania wzrok w kartkę papieru, a potem z przestrawieniem i niepokojem spojrzała na Braxtona.

- O Boże, Braxton...

Braxton zmarszczył brwi i wstał. Nie rozumiał, co się dzieje. Wszyscy troje wpatrywali się w niego, jakby zobaczyli ducha.

- Co jest? Coś z mapą? - spytał.

- Wiemy z doświadczenia, że najlepiej nie omawiać od razu przebiegu seansu, tylko dać każdemu czas na zastanowienie się - wyjaśnił Eddie. - Emocje wtedy opadają i możemy racjonalnie podejść do tego, co się wydarzyło. Sporo dziś przeżyłeś, Braxton. A ten rysun-

nek... Sam nie wiem, co o nim myśleć. Wydaje się nam, że podejmujemy decyzje, a może my tylko kroczymy ścieżkami przeznaczenia. - Eddie podszedł do przyjaciela i podał mu blok. - Zostawiam to w twoich rękach. Jutro porozmawiamy tak długo, jak zechcesz, ale teraz trzeba iść spać.

Braxton z pewną podejrzliwością i rozbawieniem spojrzął na księdza, a potem na blok.

Prymitywny szkic przypominał rysunek pokazany mu przez Eddiego w muzeum. Była to uproszczona, niestaranna kopia dolnej części mapy, którą objaśniał im Gunther. Mniej więcej we wskazanym przez Kathy miejscu widniało coś, czego nie było na mapie Gunthera. Ledwie widoczny, prostokątny zarys.

Braxton przechylił blok do światła padającego od ogniska i wówczas zrozumiał niepokój i przestrach pozostałych. Prostokątny zarys przedstawiał jakieś zagłębienie, dziurę w ziemi. Może grób. W jego obrębie naszkicowano prostymi kreskami dwie sylwetki. Kobieta można było poznać po długich włosach, pokolorowanych na czerwono. Mężczyzna miał na głowie coś uderzająco podobnego do baseballowej czapki Braxtona.

W głębokich ciemnościach, z dala od oświetlonej drogi, stał Frank Gunther obserwując, jak garstka ludzi przy ognisku rozchodzi się do namiotów. Zaklął pod nosem.

- Co to za gusła, do ciężkiej cholery — szepnął nachylając się do swoich dwóch towarzyszy. - Co im odbiło, Dog?

- Nie mam pojęcia, Frank - odparł Dog Bassett, wzruszając ramionami. - To twoje zmartwienie. Mnie interesują tylko nosorożce. - Wskazał mikrobus nie opodal ogniska. Właśnie zgasło w nim światło. - Zdaje się, że twój kierowca wszystko widział. Może coś ci opowie.

Frank splunął i potrząsnął głową.

- Ten drań nic mi nie powie. Nie rozumiemy się już tak jak dawniej. Zachowuje się, jakby zapomniał, że jest czarny. Zatrudniłem go, bo zna angielski. Liczyłem na jego dobry kontakt z klientami. Z początku mnie słuchał, ale przestał. Uważa, że nie jest gorszy ode mnie, bo liznął trochę nauki w Stanach. Miałem się go pozbyć przed tą wyprawą, ale nie mogłem znaleźć nikogo na jego miejsce. Dingo tak marnie prowadzi, że zaraz by nas wpakował na jakieś drzewo. Sammy nic nam nie powie, bądź pewien. Na złość będzie trzymał język za zębami. - Frank znów splunął i popatrzył przez chwilę na opustoszały plac wokół ogniska. - Chodźcie - powiedział do Doga i Dingo. - Wracamy. Nie martwcie się, jutro z rana dowiem się, o co tu chodzi.

- Ja się wcale nie martwię, Frank - rzekł Dog Bassett.

- Coś ci powiem, Dog. Na moim safari nie będą odchodziły żadne podejrzane numery, chyba że osobiście wyrażę na nie zgodę.

ROZDZIAŁ 7

Woda nie była ani trochę ciepła, ale Kathy tkwiła pod prysznicem w betonowej kabinie, licząc, że chłód pomoże jej rozładować wewnętrzne napięcie. Tryskające nierówno strugi, raz mniej, raz bardziej zimne, uderzały w kark i plecy, a mimo to napięcie wywołane przez sen, który obudził ją nad ranem, nie ustępowało. Kiedy nie mogła już dłużej wytrzymać, zakręciła kurek, odsunęła plastikową zasłonkę i szcękając zębami ściągnęła z kamiennej ławy ręcznik. Zimny prysznic niestety nie pomógł.

Jak zawsze, zachowała w pamięci niezwykle wyraźnie treść snu. Niemal do końca przebiegał według utrwalonego schematu, lecz w momencie straszliwej rozłuki raptem się zmienił. Gdy ruszyła ku ścianie płomieni, które pochłonęły jej matkę, ktoś chciał ją powstrzymać. Odwróciła się i ujrzała Braxtona Hicksa z wyciągniętymi do niej rękoma. Nie do wiary, stał w tej swojej głupiej czapeczce i próbował ją ratować - wołał jej imię, gdy wyrwała mu się i z krzykiem runęła w ogień.

Potrząsnęła zakłopotana głową i energicznie wytarła się. Eddie ma rację. Wszystko coraz bardziej się gmatwa. Dlaczego na wykonanym w transie rysunku znalazł się raptem przyjaciel księdza? Dopiero co go poznała. A po seansie, gdy spojrzeli na siebie, wyczuła coś nowego. Intuicja podpowiedziała jej, że Braxton też to poczuł. Podświadomą więź. Jakiś prąd, który między nimi przepłynął i

popchnął ich ku sobie. Niewyrażoną, instynktowną bliskość.

- Jesteś gotowa, Kathy? - zawołała z sąsiedniej kabiny Zelda.

- Zaraz wychodzę - odpowiedziała rzucając ręcznik i sięgając po ubranie. Przypadkiem jej wzrok padł na popękane lustro. Z twarzy, którą w nim ujrzała, wycierał niepokój. Kathy poczuła ucisk w dołku, przeszył ją lęk. Ubrała się szybko. Nim wyszła, wykrzywiła się groźnie przed lustrem.

- Nie myśl, że zrezygnuję - powiedziała do swojego zakurzonego odbicia. - Słyszysz? Wytrwam do końca, choćby nie wiem co.

Napięcie odrobinę zelżało. Kathy uśmiechnęła się zdecydowanie, ukłoniła w stronę lustra, chwyciła ręcznik, żeby wytrzeć włosy, i wyszła.

Przed łazienką czekała na nią Zelda, a drogą zbliżał się ku nim Eddie z przyjacielem. Kathy spojrzała na Braxtona Hicksa i serce jej drgnęło.

Nie jest wcale taki przystojny, orzekła patrząc na nadchodzących. Dziennikarz z uśmiechem pomachał jej ręką. Nie wyglądał ani zabójczo, ani chłopięco. Za to miał twarz z charakterem i wyrazistą mimikę. Brwi skakały mu w górę i w dół, a z ust niemal nigdy nie znikał lekko ironiczny uśmieszek. Najwięcej wyrazu miały jednak oczy. Tak, to te oczy. One nadawały jego twarzy szczególnego uroku. W jasnym, porannym słońcu Kathy dojrzała w nich zawadiackie błyski.

Co jeszcze dostrzegła w tych oczach zeszłego wieczoru po seansie, gdy przez chwilę wpatrywali się w siebie? Smutek? Ból? Refleks głębokiej tęsknoty?

W obozie stojący przy ognisku Injai uniósł do góry filiżankę z kawą i zawołał:

- *Jambo*, Buddy. Pospiesz się. Śniadanie prawie gotowe.
- *Jambo*, Injai - odpowiedział Braxton i pomachał ręką. - Zaraz przyjdę.

Braxton z przyjemnością zauważył, że Kathy nawet bez upięknień, ubrana w koszulę safari i szorty i wycierająca ręcznikiem kręcone rude włosy, wygląda pięknie. Zelda stała obok w workowatej sukience, z turbanem z ręcznika na głowie. Mimo wczesnej godziny, obie były rozbudzone i pełne zapału.

- *Jambo*, drogie panie - powitał je Braxton, podchodząc razem z Eddiem. - Prawdziwe z was skowronki.

- Tak - powiedziała Kathy, potrząsając głową i roztrzepując włosy. - Życie na kempingu nam służy.

- Jak najbardziej - dodała Zelda i z dumą wskazała ułożony w zgrabny stos obozowy ekwipunek. - Zwinęliśmy namiot i jesteśmy gotowe do drogi.

- Zauważyliśmy, Zeldo - rzekł Eddie z uśmiechem.
- Gdzie jest Gunther? - spytał Braxton.
- Pojechał ze swoim przyjacielem i Sammym na targ kupić żywność na pierwszy etap wyprawy - wyjaśnił Eddie. - Wyruszyli, kiedy poszedłem cię obudzić, Brax. Przynajmniej jeden nasz problem został rozwiązany. Pan Gunther czekał rano przed moim namiotem i zażądał wyjaśnień. Widocznie wczoraj wieczorem wrócił z baru na tyle wcześnie, że zobaczył część seansu.

- Mówiłem, że Frank Gunther to chytra sztuka. I co powiedziałaś?

- Prawdę - odparł Eddie. - Że korzystając z hipnozy próbujemy zlokalizować najstarszy zabytek świata.

- I?

- Zapytał, oczywiście, co to za zabytek. O dziwo, wcale się nie śmiał. Obiecał nawet, że nam pomoże. Nie za darmo.

- A za ile?

- Dwadzieścia procent dodatkowo za wszelkie usługi nie przewidziane w umowie.

- Dość drogo - zauważył Braxton.

- Nie tak bardzo - powiedziała Zelda. - Przynajmniej wszystko wyszło na jaw i wiemy, na czym stoimy. W razie potrzeby chętnie pokryję koszty.

- A ty, Braxton? Zostaniesz z nami? - spytała Kathy. - Czy po głębszym zastanowieniu doszedłeś do wniosku, że postradaliśmy zmysły?

Braxton spojrział na nią ze szczerym uśmiechem.

- Nie mam pewności co do stanu zmysłów, ale chyba wytrwam do końca.

- Cieszę się - rzekła Kathy. - Trochę się obawiałam, że uznasz wczorajszy seans za niewart opisania.

- Skądże znowu. Przede wszystkim dałem Eddiemu słowo, że go nie opuszczę. A poza tym, niezależnie od ostatecznego wyniku tej wyprawy, wczorajszy wieczór przekonał mnie, że na pewno będzie o

czym pisać.

Zelda wskazała ręką w stronę ogniska.

- Trzeba się ruszyć. Injai znów na nas kiwa.

- Idźcie we dwie na śniadanie - rzekł pogodnie Eddie. - O nas się nie martwcie. Będziemy w porę gotowi do odjazdu, choć jeszcze nie zwinęliśmy namiotów w takie zgrabne pakunki.

Jak się okazało, nie musieli się spieszyć. Zdążyli nie tylko zjeść solidne śniadanie, ale jeszcze wypić drugą filiżankę kawy w czasie zwijania obozu. Kiedy wreszcie wrócił Gunther, przeklinając tłok na targu i stracony przez to czas, wszyscy pomogli załadować ekwipunek na dach mikrobusu, gdzie Sammy i Dingo porządnie go zabezpieczyli. Zrobiło się wyraźnie cieplej, a wielka, żółta kula słońca wspięła się ponad wierzchołki drzew, gdy wsiedli do środka. Sammy zamknął drzwi i wyjechał z Westwood w ślad za jadącymi jeepem Guntherem i Dogiem Bassettem.

Braxton wyjął z futerału aparat fotograficzny, odłożył futerał na półkę i usiadł koło Kathy z tyłu mikrobusu. Eddie i Zelda, siedzący z przodu, omawiali z Sammym trasę, jaką mieli do pokonania. Injai przycupnął tuż za kierowcą i wyglądał przez okno.

Braxton rozerwał opakowanie kolorowego filmu, otworzył tylną pokrywę aparatu i włożył kasetę z filmem do lewej komory.

- No, Kathy - powiedział zaczepiając koniec filmu na szpuli do nawijania. - Jedziemy na spotkanie czarnoksiężnika.

Kathy oderwała wzrok od przedmieść Nairobi, przez które przejeżdżali, i spojrzała na niego.

- Szalony pomysł, prawda? Rzucić się na takie przedsięwzięcie ze ślepą wiarą. Nie wiedząc, co się wydarzy, ani co zacznę wygadywać.

- Zgadzam się całkowicie - rzekł Braxton z wesołym uśmiechem. Zatrzasnął pokrywę aparatu i dwa razy nacisnął spust migawki, żeby przesunąć film do przodu. - To najbardziej szalona rzecz, w jaką kiedykolwiek się wdałem.

- No widzisz. - Kathy poderwała rękę do ust i zaczęła nerwowo obgryzać paznokcie. - A jeżeli jestem zwyczajnie stuknięta? To przecież możliwe.

- Owszem. - Braxton wycelował aparat na przód mikrobusu i nastawił ostrość. - Myślę jednak, że nie. Chociaż mam zastrzeżenia do twoich prymitywnych malunków.

- O Boże, ten rysunek. Wierz mi, byłam nie mniej zaskoczona niż ty. Niczego takiego się nie spodziewałam, przysięgam.

Braxton opuścił aparat.

- Wiem - powiedział. - Obserwowałem cię wczoraj bardzo uważnie, Kathy, i wiem, że niczego nie udawałaś. To było autentyczne. I dlatego tak mnie fascynuje. -Z uśmiechem pogładził się po czubku głowy. - Głupi nie jestem, więc kiedy poszłicie wczoraj spać, wrzuciłem moją baseballową czapkę do ognia.

- Coś ty!

- Żartuję - przyznał uśmiechając się. - Jeden obrazek to za mało, żeby mnie zmusić do rozstania z moim ulubionym nakryciem głowy. Uczciwie uprzedzam, że nie przyłożę ręki do spełnienia tej rysunkowej przepowiedni. Nawet jeśli cię lubię, to nie znaczy, że mam ochotę lec z

tobą w grobie.

Kathy roześmiała się cicho.

- Wyobrażam sobie, jak cię to niepokoi. Wszystko wydaje się takie dziwaczne. Jestem ci wdzięczna, że zgodziłeś się prowadzić notatki o nas, i... cieszę się, że z nami jedziesz.

- Ja też - zapewnił Braxton, patrząc jej w oczy.

- Piękny kraj - powiedziała, wyglądając znów przez okno.

- O tak - rzekł z przekonaniem. Minęli ostatnie zabudowania i po obu stronach drogi rozpościerała się teraz otwarta równina. - Nawet jeśli wrócimy z pustymi rękami, zapewniam cię, że zyskasz spokój ducha. Te wielkie przestrzenie działają silnie na psychikę. Człowiek od razu widzi świat z właściwej perspektywy. Poczekaj, aż popatrzysz na sawannę albo kenijskie niebo nocą. To bardzo pomaga. Będziesz też oglądać dzikie zwierzęta i robić fantastyczne zdjęcia.

- Kochasz ten kraj, prawda? Czytam to w twojej twarzy. Braxton skinął głową.

- Nie przeczę. Może cię nudzę, ale w tej dżicy naprawdę robi się lżej na duszy. Nie potrafię tego inaczej określić.

- Mam nadzieję, że twoje słowa się sprawdzą. Przydałoby się, żeby ktoś podniósł mnie na duchu. - Kathy pokazała przez okno na kroczącego dumnie sporego ptaka z wystającym ponad głowę wachlarzem piór. - Spójrz. Co to za ptak?

- Sekretarz.

- Naprawdę? Tak się nazywa? Dlaczego?

- Prowadzi notatki dla innych ptaków i zwierząt. Kathy

roześmiała się.

- Nie żartuj. Dlaczego tak się nazywa?

- Nie mam pojęcia. Ale trzymaj w gotowości aparat. Niedługo zobaczymy więcej ciekawych okazów.

Kathy sięgnęła do torby podróźnej, którą miała przy sobie, i wyjęła mały aparat z automatyczną regulacją ostrości.

- Jestem gotowa. Myślałam, że jeszcze dość długo nie zobaczymy zwierząt.

- To jest właśnie wspaniałe w Kenii. Wyjeżdżasz z Nairobi i od razu jesteś wśród dzikich zwierząt, na łonie natury. Popatrz tam. - Pokazał w lewo. W oddali wynurzała się z kęp trawy smukła żyrafa z głową zwróconą w stronę mikrobusu.

- Żyrafa po lewej! - zawołał z przodu Injai. - Widzisz? Będę wypatrywał dla ciebie zwierzyny, Buddy.

Braxton pomachał ręką.

- Widzę, Injai. Dziękuję. A gepardy? Injai obejrzał się ze śmiechem.

- Mignęło mi kilka, ale nie chciałem nic mówić, żeby zachować coś na potem.

- Dzięki za troskliwość.

Injai znów się roześmiał. Żyrafa pozostała w tyle.

- Mam nadzieję, że wyjdzie na zdjęciu - powiedziała Kathy i opuściła aparat.

- Tutaj trudno zrobić złe zdjęcie. Zresztą będzie jeszcze mnóstwo okazji. Poluj na wielkie koty. Niektóre są bardzo rzadkie. Injai od lat

obiecuję, że wypatrzy rodzinę gepardów, ale jeszcze nigdy jej nie widziałem. Ciągłe z tego żartujemy.

Kathy położyła aparat na kolanach.

- Dlaczego mówi do ciebie Buddy? - spytała.

- Kiedy przyjechałem z Eddiem do Afryki, Injai nie mógł zapamiętać mojego imienia. Blokada pamięci czy coś w tym rodzaju. Powiedziałem, żeby mówił do mnie Buddy, to znaczy przyjaciel. I tak już zostało.

- Masz niezwykle nazwisko i imię. Wiedziałaś, że to termin medyczny?

Braxton zacisnął szczęki, aż zadrgał mu mięsień.

- Tak - odparł.

- Byłam pewna, że ktoś już ci to powiedział. Czy Braxton to imię używane w twojej rodzinie?

- Nie. - Braxton otrząsnął się ze smutku, który nim zawładnął na wzmiankę o nazwisku, i poprosił: - Opowiedz mi trochę o sobie. Czym się zajmujesz, kiedy nie szukasz zaginionych skarbów przeszłości?

- Jestem pielęgniarką.

- Naprawdę? Nie przyszłoby mi to do głowy.

- Naprawdę - rzekła Kathy ze wzruszeniem ramion.

- W szpitalu nowojorskim. Tam właśnie poznałam Zeldę.

Chodziłyśmy razem na kurs masażu leczniczego, a kiedy się zaprzyjaźniłyśmy, Zeldę zaprosiła mnie na seans regresji hipnotycznej. Zostałam pielęgniarką chyba dlatego, że miałam ojca lekarza, choć nie byliśmy sobie bardzo bliscy. Matka umarła, kiedy się urodziłam, a

ojciec zamknął się w sobie i jest odludkiem.

- Eddie wspominał, że nie znasz swojej matki.

- A powiedział ci, że mój udział w wyprawie jest szaloną próbą dowiedzenia się o niej czegoś więcej? - spytała Kathy z pochmurną miną.

- Owszem, ale nie użył słowa „szalona”. Wyjaśnił tylko, że wciąż gnębi cię jej śmierć, bo masz poczucie winy i odczuwasz ból po jej stracie.

Spokojna i rzeczowa odpowiedź Braxtona udobruchała Kathy.

- To był powód, dla którego poddałam się regresji

- przyznała z lekkim skinieniem głowy. - Myślałam, że może... dowiem się czegoś o niej. Że ból po jej stracie stanie się mniejszy. Poczucie winy też mnie nie opuszcza. Ale najbardziej dotkliwie jest uczucie okropnej pustki.

Łzy wezbrały w jej oczach, ale potrząsnęła głową i zapanowała nad sobą.

- Tak to się ułożyło, że właściwie straciłam oboje rodziców. Tata dawał mi wszystko, czego potrzebowałam, ale zawsze był jakiś daleki. Może nawet miał do mnie żal. Ale nauczyłam się z tym żyć. Nie mogę się pogodzić jedynie z tym, że nie znałam matki. Nie masz pojęcia, co to znaczy nie znać własnej matki.

Braxton westchnął i potrząsnął głową, wskazując palcem Eddiego, który siedział w przedzie i rozmawiał z Sammym.

- Nasz przyjaciel, ojciec Fitzsimmons, nie zdradził ci, jaka nas łączy ironia losu.

- O czym ty mówisz?

- Zna i twoją, i moją historię życia. Niezależnie od tego, jak bardzo czujesz się pokrzywdzona, zawsze znajdzie się ktoś, komu jest gorzej. Tak już jest. Pytałaś mnie, czy Braxton to imię używane w mojej rodzinie. A ja tak naprawdę nie mam rodziny. Imię i nazwisko nadała mi pielęgniarka z oddziału położniczego, opiekująca się podrzutkami.

Kathy popatrzyła na Braxtona ze szczerym współczuciem.

- Tak jest, nazwisko nie jest przypadkowe. Podarował mi je ktoś wykonujący twój szlachetny zawód. Chłopak sprzedający gazety usłyszał mój krzyk i znalazł mnie w pojemniku na śmieci. Przypuszczam, że urodziłem się gdzie indziej, tylko zostałem wyrzucony w kilka godzin po tym fakcie.

- Och, Braxton. To okropne. Nie wiedziałam.

- Nie opowiadam o tym na przyjęciach ani nie piszę w życiorysie. Sprawdziłem oczywiście to nazwisko, gdy po raz pierwszy usłyszałem o jego medycznym znaczeniu. Termin ten oznacza lekkie skurcze przedporodowe. Wczesne skurcze Braxtona Hicksa, o ile dobrze rozumiałem, wzmacniają mięśnie macicy, przygotowując ją do porodu. - Kathy skinęła głową, a Braxton roześmiał się gorzko. - Może tamta pielęgniarka nazwała mnie tak dla żartu, a może podobało jej się brzmienie tych słów. Kto wie. Rodziną jest dla mnie Eddie. Nie zawsze się zgadzamy, ale odkąd go poznałem, jest dla mnie niczym brat. Jadę z wami przez wzgląd na niego. Dla niego zrobiłbym wszystko. On jeden stabilizuje moje życie. No co, nie czujesz się lepiej? To raczej ja

powinienem poddać się regresji, bo ty wiesz przynajmniej, kim jesteś. - Zażenowany, Braxton odwrócił wzrok i przeczesał ręką włosy. - Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nigdy nie opowiadam tej historii. Nikomu! A tu raptem zwierzam się komuś, kogo znam od dwóch dni!

Spojrzał na Kathy. Zrozumiała, co ich połączyło, a co oboje instynktownie wyczuli minionego wieczoru. Widziała to w jego oczach.

Ten sam ból, tę samą straszną, dokuczliwą samotność, która towarzyszyła jej od najwcześniejszego dzieciństwa i osnuwała mgłą rozpaczycie całe życie. Nie znajdując właściwych słów dla wyrażenia współczucia, Kathy odruchowo wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni Braxtona.

Po jaskrawoblękitnym niebie płynęły gdzieniegdzie długie, pierzaste chmury. Płowa równina rozpościerała się aż po horyzont, usiana kępami parasolowatych akacji i niskich krzewów.

- Nikt nie jest tak wyjątkowy, jak mu się zdaje, tylko ogrom naszych problemów wywołuje w nas takie wrażenie - powiedziała Kathy wyglądając przez okno. Twarz jej złagodniała. - Może masz rację. Może wystarczy mi pobyt na łonie natury. Niebo jest takie czyste. Ziemię widać na wiele kilometrów. I do tego tak ostro, wyraźnie.

- Powietrze jest tu bez zanieczyszczeń - rzekł Braxton.

Kathy uśmiechnęła się, oparła głowę na podglówku i zamknęła oczy.

- Ach, żeby to była zwykła wycieczka krajoznawcza. Ale kto

wie... może oboje coś na tym zyskamy.

Braxton w milczeniu popatrzył na rękę Kathy, leżącą na oparciu,, a potem na miękkie rysy jej twarzy. Zdumiewało go, że w tak krótkim czasie tak mocno się do kogoś przywiązał.

Ni stąd, ni zowąd przypomniał mu się ulubiony niegdyś przebój Simona i Garfunkela. Ciche, dwugłosowe unisono: „Jestem zgubiony, Kathy, powiedziałem, wiedząc, że śpi...”

A potem wibrujący tenor Arta Garfunkela: „Czuję pustkę i ból, nie wiem dlaczego...”

ROZDZIAŁ 8

Południe dawno minęło, ale spiekota nie ustępowała i Frank Gunther był zły. Nie znosił takich dni. Zazwyczaj późnym popołudniem robiło się chłodniej. Tego dnia jednak upał ani trochę nie zelżał, a ciężkie powietrze nie przynosiło ulgi. Jeep posuwał się mozolnie przez porośnięty rzadko busz w kierunku rezerwatu Amboseli.

Umieściwszy Dingo jako obserwatora na dachu samochodu, Frank zjechał w południe z głównej drogi, licząc, że wypatrzą samotnego nosorożca na początku wyprawy. Miałby wówczas spokój z Dogiem i mógłby obmyśleć, jak obrócić na swoją korzyść nowe okoliczności. Po zastanowieniu uznał jednak, że Dog Bassett, handlarz

afrykańskimi trofeami nie zważający na wymogi prawa, może się przydać jako partner, jeśli ci ludzie naprawdę są na jakimś tropie.

Zerkając we wsteczne lusterko Frank upewnił się, że Sammy nadała mikrobusem. Poprawił się na siedzeniu z nieznośnym uczuciem, że koszula klei mu się do pleców, i otworzył pokrywę podręcznej chłodziarki. Wyjął butelkę piwa z lodu, który już prawie się rozpuścił, i zwrócił się do swojego sąsiada.

- Chcesz jeszcze piwa, Dog? - spytał. - Cholernie gorąco.

Nieprędko rozbijemy obóz. Głowę dam, że nie zobaczymy nosorożca w taki skwar. Te grubasy nie ruszają się przy takiej pogodzie.

- Napiję się- powiedział Dog.

Frank kiwnął głową, wyciągnął otwieracz z kieszeni kamizelki i zdjął kapsel. Potem walnął parę razy w dach i zawołał:

- Obudź się, leniuchu!

Za oknem pokazała się roześmiana gęba Dingo, który zajrzał do kabiny przekrzywiając głowę. Frank podał mu drugą otwartą butelkę piwa.

- Masz i miej oczy otwarte.

- Nie ma *kifaru*, *Bwana*. Gorąco! - odparł Dingo biorąc piwo i z wdzięczności uśmiechając się od ucha do ucha.

- Tak czy owak miej oczy otwarte, słyszysz? Dingo skinął głową i znikł.

Frank pociągnął haust piwa, skrzywił się lekko i beknął.

- Smakuje, jakby pochodziło z drugiego końca słonia, zwłaszcza kiedy się ociepli - powiedział.

Dog spojrzał na niego.

- To żart, Dog. Miałem na myśli szczyzny.

- Zrozumiałem, Frank - odparł znudzony Dog. Popijając piwo, Gunther rozglądał się po buszu. Postanowił wypróbować partnerski grunt.

- Co sądzisz o tym, co ci dziś powiedziałem? - spytał. - Myślisz, że oni nie oszukują? Naprawdę są na tropie grobu? Dog popatrzył na Franka z kamiennym wyrazem twarzy, ale odzywając się zmrużył oczy.

- Myślałem o tym, Frank. Ile według ciebie ten grób byłby wart, gdyby rzeczywiście istniał i gdyby go odnaleziono?

Frank uśmiechnął się szeroko. Oho! - pomyślał. A więc Dog Bassett jest zainteresowany.

- Podobasz mi się, Dog. Myślisz jak ja. Przypuszczam, że takie odkrycie byłoby cholernie opłacalne. Odpowiednia osoba dałaby majątek za szczątki pierwszego człowieka albo coś innego znalezione w takim miejscu. Zysk byłby duży nawet po podziale na pół.

- Jeżeli to wszystko prawda.

- Żeby się przekonać, trzeba dotrzeć do końca wyprawy. Jesteś zainteresowany?

- Może - odparł Dog, patrząc przed siebie. - Zobaczę.

- *Kifaru... mbele... kushoto!* - zawołał Dingo na dachu.

Frank pochylił się do przodu, wskazując coś przez przednią szybę, i odruchowo zwolnił.

- Niech mnie diabli, to chyba twój szczęśliwy dzień, Dog - rzekł

nie wierząc własnemu szczęściu. Zgasił silnik. Z tyłu Sammy poszedł za przykładem szefa. - Przed nami i trochę w prawo. Widzisz?

Dog skinął głową i na jego kamiennej twarzy wreszcie zakwitł uśmiech. Nosorożec był okazały. Sammy wysunął się cicho z mikrobusu i podszedł ostrożnie do jeepa.

- W porządku, Sammy - powiedział Frank. Sięgnął do tyłu, wziął z półki sztucer i podał Dogowi. Potem z wyższej półki zdjął mniejszego winchestera dla siebie.

- Zabieraj się stąd i powiedz tamtym, żeby siedzieli cicho i nie wysiadali. Za chwilę będą mieli rzadką okazję ujrzenia dwóch prawdziwych myśliwych w akcji.

Sammy spojrzał na Gunthera i wskazał przed siebie ponad maską jeepa. Frank zrozumiał wymowę spojrzenia i gestu. To była samica. Dostrzegł ją, zanim Dingo krzyknął. Zauważył też małego, schowanego teraz za wielkim cielskiem matki, która słysząc warkot motoru wysunęła się do przodu. Oslaniając swoje młode, uniosła z zaciekawieniem głowę i patrzyła krótkowzrocznymi oczami w ich stronę.

Frank całkiem zignorował wymowne spojrzenie Sammy'ego. Nic go nie obchodziło, co to był za nosorożec. Grunt, że miał wielkie rogi, takie, jakich chciał Dog. Ostatnimi czasy nie widywało się takich opasów na pęczki. Obecność małego tłumaczyła ruchliwość matki w taki upał. Samica musiała znaleźć pożywienie.

Sammy nie mógł już jednak zatrzymać klientów w mikrobusie. Właśnie wysiadali i naśladując jego ruchy podkradali się do jeepa.

- Jesteś pewien, że możemy polować na ich oczach?
- spytał Dog, stając koło Franka. - Nawet jeśli są zupełnie zieloni, to przecież każdy wie, że nie strzela się do nosorożców.
- Więc wciśniemy im trochę kitu, powiemy, że zwierzę jest groźne i napada ludzi - syknął Frank. - Chcesz go czy nie? Dog Bassett wzruszył ramionami, ale nie zdążył odpowiedzieć, bo obstąpiło ich całe towarzystwo.
- Nie zamierzacie chyba zabijać tego nosorożca? - spytał Braxton, który doszedł do nich pierwszy.
- Musimy - odparł Frank. - Ostrzegano nas przed nim. Władze rezerwatu rozesłały wiadomość, że atakuje i zabija. Otrzymaliśmy polecenie odstrzału.
- Na pewno widziałam tam jedno młode - powiedziała Kathy.
- Słyszysz pan, panie Gunther? - rzekł Braxton. - To samica z małym, a nie żadna rozjuszona bestia.
- Zdarzają się też rozjuszone samice z małymi - odparł Frank bezczelnie. - Nie jestem kłamcą, panie Hicks. Rozumie pan? I proszę nie mówić, co mam robić. Proszę zawrócić i zachować ciszę. - Odwrócił się twarzą w stronę Doga. - Chcesz go, to bierz. Będę cię asekurował.

Zniecierpliwiony Braxton przywołał na pomoc stojącego z tyłu przyjaciela.

- Eddie?
- Czy masz pewność, że on kłamie, Braxton?
- Nie, ale...

- Biorę go - rzekł Dog do Franka, nie czekając na decyzję Eddiego.

Frank skinął głową i położył lufę winchestera na masce jeepa. Dog Bassett przeszedł na drugą stronę, oparł się o tył samochodu i uniósł sztucer do ramienia.

Zelda Roote podparła się pod boki zaciskając pięści i zrobiła krok do przodu.

- Panie Gunther, niech pan przestanie - zażądała głośno, czerwieniejąc ze złości. - Nie będę obojętnie patrzeć, jak pan strzela do tego nosorożca.

Gunther obrzucił hipnotyzerkę rozbawionym spojrzeniem.

- To nie ja będę strzelał, miła pani, tylko Dog. Szczerze mówiąc wątpię, czy może pani cokolwiek na to poradzić.

- Chwileczkę - zaprotestował Eddie, mijając Zeldę i podchodząc do Gunthera.

Dog Bassett nie słuchał ani nie czekał. Przycisnął kolbę do ramienia i nachylił się, szykując do śmiertelnego strzału. Wtem popołudniową ciszę przeszył śpiewny okrzyk, wołanie na trwogę.

Nosorożec rzucił się do ucieczki, a przenikliwy zew z oddali zabrzmiał po raz drugi i trzeci, jakby dla pewności. Ziemia dudniła pod wielką samicą, za którą gnało ile sił w krótkich nóżkach jej młode.

- A nie mówiłam? Patrz! - zawołała Kathy do Zeldy, wskazując małego nosorożca pędzącego za matką.

Dingo zerwał się na równe nogi na dachu jeepa i zapatrzył w dal. Frank Gunther, domyślając się, kto wydał ostrzegawczy okrzyk, zaklął

pod nosem i walnął pięścią w karoserię.

- Twamba... *Bwana* - powiedział Dingo. - Twamba *hapa!*

- Wiem, Dingo - warknął Frank. Dog podszedł do niego. -

Przecież słoń tak nie ryczy, do cholery. Idzie tutaj?

- *Ndiyo* - rzekł podniecony Dingo. - Tak, Twamba idzie tutaj.

Jest jeszcze daleko, ale idzie szybko.

- Sam?

Dingo spojrział z góry na Franka i potrząsnął głową, odsłaniając krzywe zęby w szerokim uśmiechu.

- Jest z nim Twiga. Chodzi za nim jak pies. Bardzo wyrosła.

Frank splunął na ziemię.

- Dobra, obserwuj go. Jak zauważysz coś dziwnego, powiedz, zanim tu dojdzie.

- Do diabła, kto to jest Twamba? - spytał Dog ze złością, patrząc za umykającą zdobyczą.

- Tubylec - odparł Frank, siląc się na niedbały ton. - Nie ma się czym przejmować.

- Bardzo wysoki - powiedział Injai, patrząc na sawannę. - Widać to nawet z daleka. Wygląda na olbrzyma, ale porusza się szybko i zwinnie. Idzie do nas, a za nim żyrafa.

Eddie spojrział na Braxtona i zrobił krok w stronę Gunthera.

- Słyszałem o Twambie, ale nigdy go nie widziałem. Dlaczego krzyczał, panie Gunther? Czyżby Braxton miał rację i Twamba słusznie wystraszył zwierzynę?

- Nie, Hicks nie miał racji - warknął Frank. - Twamba wtyka nos

w nie swoje sprawy i właśnie pomógł uciec niebezpiecznemu nosorożcowi, który może znów poranić niewinnych ludzi. - Nie spojrział nawet w stronę, skąd nadchodził wysoki Murzyn, wziął sztucer od Doga i podał Sammy'emu, który odłożył broń na półkę w jeepie. - Dalej tu idzie, Dingo? Dingo skinął głową.

- Prosto na nas. Twamba chce się z tobą widzieć, *Bwana*.

Frank oparł się o maskę jeepa nie wypuszczając z ręki winchestera i spojrział drwiąco na Sammy'ego.

- Słyszałeś? Zaraz zobaczysz go z bliska, jak ci się zawsze marzyło.

- Kto to właściwie jest? - spytała Zelda.

- Może byś opowiedział o Twambie, Sammy - zachęcił Frank, nie spuszczać oka z kierowcy mikrobusu. - Dla ciebie to cholerny bohater. - Zapatrzony w dal kierowca odwrócił się do swojego pracodawcy, ale nie mówił nic. - Śmiało, do diabła - ponaglił ostro Frank. - Pani pytała o Twambę. Odpowiedz.

Sammy rozejrzał się nerwowo i zrobił niepewny krok naprzód. Wiedział, że Frank Gunther jest wściekły, widywał go już w takim humorze. Względny spokój i opanowanie musiały w końcu prysnąć pod naporem złości. Przeszując z nogi na nogę Sammy zastanawiał się, co powiedzieć.

- Twamba jest Masajem - rzekł z podziwem, którego nie umiał zataić. - Masajskim wojownikiem, a właściwie kimś więcej. Wielkim uzdrowicielem, który zna się na ziołach i duchach.

- Tak mi mówiono - wtrącił Eddie. - Nieraz Twamba pomagał

chorym w wiosce, zanim dotarliśmy tam z żywnością i lekarstwami. Tubylcy uważają go za cudotwórcę.

Frank odchrząknął i splunął, ale Sammy przestał się wahać i mówił dalej:- W przeciwieństwie do tych z nas, którzy przejęli zwyczaje białych, Twamba żyje w zgodzie z naturą. Podobnie jak zwierzęta, jest częścią tej ziemi i jest wolny. Przypomina wszystkim czarnym ich tradycje i styl życia, od którego już odeszli.

Trzymając niedbale strzelbę, Frank bawił się bezpiecznikiem.

- Powinien jeszcze pilnować swojego nosa - powiedział.

- Twamba troszczy się o zwierzęta - odparł szybko Sammy. - On żyje inaczej niż my.

- Dlaczego ta żyrafa za nim chodzi? - spytał Injai, nie posiadając się ze zdziwienia.

- Nikt nie wie na pewno, ale podobno Twamba znalazł ją, kiedy była jeszcze mała - ciągnął Sammy z podziwem. - Nogi jej uwięzły pod ciałem matki, którą ktoś zastrzelił dla rozrywki i pozostawił na żer sępom. Twamba uratował półżywą żyrafę, włożył jej połamane nogi w łupki i wyleczył ziołami. Teraz żyrafa nie odstępuje go na krok.

Twamba znacznie się zbliżył. Przestał biec i szedł równym, pewnym krokiem; niosąc włócznię i tarczę. Żyrafa kołysała długą szyją, podążając tuż za smukłym wojownikiem masajskim.

- Ale to zwierzę jest dorosłe - powiedziała Zelda. - Czy to możliwe, żeby dojrzała żyrafa trzymała się człowieka, nawet jeśli o nią dba?

- Nie jest łatwo oswoić Twigę - rzekł Sammy z uśmiechem. - Ale

ten człowiek to ktoś niezwykły. To Twamba! Frank naprężył się, odsunął od jeepa i stanął prosto.

- Gówno prawda, Sammy - huknął. - Twamba niczym się nie różni od innych czarnych. Nie bądź idiotą. Myślałem, że masz wykształcenie. Przygotuj się do odjazdu. - Obdarzył swoich klientów uśmiechem doświadczonego łowcy. - Proszę wsiadać, drodzy państwo, odjeżdżamy.

- Nie porozmawia pan z Twambą? - zapytał Eddie.

- Strata czasu - odparł Frank i uśmiechnął się. - Mógłbym mu jednak dać nauczkę, żeby nie przeszkadzał białemu w polowaniu. - Uniósł strzelbę patrząc na zbliżającego się Masaja i dodał cicho: - Mam ochotę ustrzelić żyrafę. Za dużo się ich namnożyło.

Idący do mikrobusu Sammy stanął jak wryty.

- Nie możesz tego zrobić - zaprotestował. - Porozmawiaj z nim. Ostrzeż. Ale nie strzelaj.

- Mówiłem, do cholery, żebyś wsiadł do mikrobusu - zezłościł się Frank. Odbezpieczył broń i położył palec na spuście. - Więc zrób to. A ty, Dingo, leż płasko na dachu. Masajowie nie chybają rzucając włócznią.

- Poczekaj, Gunther - nie wytrzymał Braxton. - Dość tego. Kierowca ma rację. Nie wolno ci zastrzelić tej żyrafy.

Ze zręcznością zawodowca Frank Gunther wyciągnął wolną ręką pistolet z kabury i podał Dogowi Bassettowi. Spojrzał mściwie na Braxtona.

- Mówiłem ci, Hicks, żebyś nie próbował mi rozkazywać. Dog,

jeżeli ten sukinsyn albo ktokolwiek inny spróbuje mi przeszkodzić, strzelaj. Zrozumiałeś?

- Ty tu jesteś szefem - odparł Dog i wziął pistolet z kamiennym wyrazem twarzy.

- Nie do wiary - wybuchnęła Zelda. - Nie może pan...

- Myli się pani - przerwał jej Gunther z okrutnym uśmieszkiem. - Mogę robić, co chcę. To mój teren i ja tu ustalę zasady. Żaden czarny nie będzie mi przeszkadzał w polowaniu!

Na oczach zdumionych uczestników safari, Frank Gunther jednym płynnym ruchem przyłożył gładką kolbę winchestera do ramienia, lewą ręką objął lufę i wycelował w głowę żyrafy, biorąc poprawkę na jej rozkołysany chód.

W końcu ani Braxton, ani rozgniewana Zelda nie przeszkodzili Guntherowi, natomiast uczynił to jego kierowca Sammy.

Nie myśląc o konsekwencjach postąpił, jak mu serce dyktowało. Nie potrafił obojętnie stać i patrzeć, jak Frank Gunther strzela do żyrafy Twamby. W chwili, gdy palec łowcy naciskał na spust, Sammy krzyknął w języku suahili:

- Twamba, *hatari!* Niebezpieczeństwo! Zatrzymaj się, Twamba. *Simama!*

Ostrzeżenie nie mogło przeszkodzić tak wyćwiczonemu strzelcowi jak Gunther, ale nastąpiło w samą porę. Masaj zatrzymał się i zmylił krok żyrafie, a w ułamek sekundy potem huknął strzał. Kula chybiła celu, przelatując tuż koło uniesionej wysoko głowy z dwoma różkami.

Dog bez namysłu wycelował pistoletem w Sammy'ego, ale nie strzelił, nie wiedząc, czy polecenie Gunthera obejmowało również jego kierowcę.

- Ty skurwielu - warknął Frank przez ramię. Przykląkł i zarepetował broń.

Twamba zareagował na odgłos wystrzału ze zdumiewającą prędkością i zręcznością. Wszyscy patrzyli oszołomieni.

- Patrzcie, dosiadł żyrafy - krzyknął podniecony Injai. - Nie do wiary, on jeździ na żyrafie.

Sammy też nie wierzył własnym oczom, ale to była prawda. Przestraszona hukem żyrafa skręciła w bok, a Masaj błyskawicznie chwycił ją za szyję, wskoczył na pochyły grzbiet, objął nogami i w dziwnej, półsiedzącej pozycji odjechał z tupotem kopyt.

Frank Gunther pozostał obojętny na to widowisko i przygotował się do oddania drugiego strzału. Skierował lufę w lewo i czekał, aż uciekające zwierzę ukaże się w celowniku.

- Patrz uważnie, chłopcze - powiedział. - Za chwilę będzie się trzymał wiatru, a żyrafa zamieni się w mięso!

Nic już jednak nie mogło powstrzymać Sammy'ego. Ostrzegając Twambę przekroczył pewną granicę i już nie miał odwrotu. Zbyt długo znosił obelgi Gunthera, miarka się przebrała. Nie zamierzał pozwolić, by ten człowiek dalej go obrażał. Nie zważając na nic, nawet na pistolet Doga Bassetta, z dziką radością, jaką daje uwolnienie się od krępującego przymusu, młody Murzyn doskoczył do swojego szefa.

- Powiedziałem nie! - krzyknął.

Szlachetny zamiar niestety nie zwiększył jego szans wobec groźnego przeciwnika. Frank Gunther, w codziennych sytuacjach powolny i rozluźniony, w razie potrzeby przemieniał się w niebezpiecznie szybkiego i zręcznego łowcę.

Dostrzegłszy kątem oka napastnika, Frank opuścił strzelbę, obrócił się całym ciałem i wziął szeroki zamach, klnąc przez zaciśnięte zęby: „Cholerny draniu”. Sammy odchylił się, żeby uniknąć ciosu, ale Frank wziął poprawkę na unik i stalowa rura trzasnęła kierowcę w głowę, aż chrupnęło.

Mimo przeszywającego czaszkę bólu, rozwścieczony Sammy znów rzucił się na Gunthera. Stracił zdolność myślenia i miotał się dziko, łapiąc Franka za kurtkę. Gdy próbował wykorzystać przypadkowy chwyt, Frank zdzielił go winchesterem po raz drugi i Sammy z cichym jękiem bezwładnie osunął się na ziemię.

Frank bez chwili namysłu powrócił do poprzedniej pozycji, przypadając na kolano i unosząc broń do ramienia. Zmrużył oko patrząc w celownik, ale zobaczył tylko poruszający się w oddali punkcik.

Powoli wstał i spojrzał na osłonecznioną sawannę. Popołudniowe słońce chowało się za kępy akacji, rzucając cienie na rozległą równinę. Stado antylop gnu i kilka zebra pasło się nie przerywając wędrówki, a lekki wietrzyk łagodził upał. Pot lśnił na twarzy Franka, który znieruchomiał tak, jakby nie widział otaczającej go scenerii ani nie czuł zmiennych powiewów.

Z twarzą zastygłą w grymasie nienawiści obejrzał się na swoich

klientów, którym groził pistoletem Dog. Odwrócił się raptownie i z całych sił kopnął leżącego bez ruchu kierowcę.

- Dureń - wrzasnął i kopnął jeszcze raz.

Kathy krzyknęła rozdzierająco, Zelda wydała jęk przerażenia, Braxton ruszył do przodu, a tuż za nim Eddie i Injai. Złapali Gunthera za ręce i odciągnęli od bezwładnego ciała.

- Dość tego - rzekł stanowczo Eddie do wrywającego się Franka. - Choćbyś do nas strzelał, nie pozwolimy, żebyś pastwił się nad tym człowiekiem.

- Puście mnie, do jasnej cholery! - wycharczał Gunther i szarpnął się tak gwałtownie, że uwolnił się z uchwytu. Eddie nachylił się nad Sammym. Frank wycelował w pozostałych dwóch i wycofał się do jeepa. - Dingo, złaż z góry, poprowadzisz mikrobus. Sammy już u mnie nie pracuje!

Dingo zlaźł z dachu jeepa i popędził do drugiego pojazdu, a Zelda i Kathy pobiegły pomóc Eddiemu przy rannym. Nie spuszczać oka z Braxtona, który przeszywał go wzrokiem, Frank wziął pistolet od Doga Bassetta i podał mu winchestera.

- Wsiadaj i odłóż go na półkę - powiedział.

Dog Bassett obszedł jeepa od drugiej strony, a Frank wsunął pistolet do kabury. Cały czas mając na oku Braxtona, zwrócił się do kobiet:

- Odjeżdżamy, miłe panie. Radzę szybko wsiadać.

- Nie może pan zostawić tego człowieka - zaprotestowała Kathy.

- Jest ranny.

- Nikt mi nie będzie rozkazywał - odparł Frank, otwierając drzwiczki i wsiadając do jeepa. - Jedziecie czy nie?

Zelda porozumiała się spojrzeniem z Eddiem, wstała z klęczek i stanęła hardo obok Braxtona.

- Nie odjedziemy bez rannego, panie Gunther.

- Jak chcecie - rzekł Frank i odwróciwszy się krzyknął: - Dingo, zrzuć z dachu ich bagaż. Zostają. I nie zapomnij bambetli ze środka. Nikt mnie nie będzie skarżył o kradzież!

Zelda nie wierzyła własnym uszom.

- Nie ośmieli się pan tego zrobić! Nie może pan ot tak nas zostawić. Podpisaliśmy umowę.

- Dokonała pani wyboru - warknął Gunther. - Nie będę prosił dwa razy.

- Jeśli nas zostawisz, Gunther, stracisz licencję pilota - rzekł Braxton. - Dopilnuję, żeby tak się stało, daję słowo.

Frank parsknął śmiechem. Dingo wdrapał się na dach mikrobusu i zaczął zrzucać na ziemię pakunki.

- Na jakiej podstawie? Że ukarałem niezdyscyplinowanego pracownika? Mowy nie ma. Skoro postanowiliście nie wsiadać, nie mogę was do tego zmuszać. Powiem wam jednak, że ponad kilometr stąd, na zachód, jest schronisko. Za tymi wzgórzami znajdziecie drogę, która tam prowadzi. Radzę niedługo ruszać. Zbliża się pora, kiedy drapieżniki wychodzą na żer, a smakuje im każde mięso.

- Zasługuje pan na najwyższą pogardę, panie Gunther - powiedziała Zelda. Obróciła się na pięcie i podeszła do Eddiego, który

podtrzymywał głowę kierowcy, podczas gdy Kathy badała Jakich doznał obrażeń.

- Nikt nie jest bez wad - odparł Frank i wyszczerzył zęby w złym uśmiechu. Dingo wysiadł z mikrobusu i dorzucił kilka mniejszych sztuk bagażu do leżącej na ziemi sterty. - To wszystko, Dingo?

- *Ndiyo, bwana!*

Frank zatrzasnął drzwiczki samochodu i wyjrzał przez okno.

- Życzę udanego safari - powiedział. Braxton zrobił krok w stronę jeepa.

- Mówię poważnie, Gunther. Twoje dni pilota są policzone. Eddie nie wspominał, że pracuję dla gazety w Stanach, gdzie już ukazał się artykuł demaskujący ciebie i paru innych przewodników. Kiedy z tobą skończę, nie poprowadzisz safari do końca życia.

Gunther przestał się uśmiechać i wychylił się bardziej.

- A więc to ty napisałeś tamten bzdet! Niech mnie diabli. Od początku coś mi się w tobie nie podobało, Hicks. A teraz mam cię gdzieś. Coś ci powiem. Zapomnij o pogroźkach, a kiedy znów się spotkamy, spieprzaj w przeciwną stronę. Jeśli raz mnie tkniesz, zabiję. Gówno mnie obchodzi, za kogo się uważasz i dla kogo pracujesz.

Nie czekając na odpowiedź, Frank Gunther wrzucił bieg. Ruszył ostro, wzbijając kurz, a za nim odjechał mikrobusem Dingo.

Uczestnicy safari patrzyli w milczeniu za oddalającymi się pojazdami, aż zniknęły za horyzontem.

ROZDZIAŁ 9

- Co z nim? - spytał Eddie, przyglądając się Kathy badającej obrażenia Sammy'ego.

- Nieźle oberwał, ale jego życiu nic nie grozi - odparła Kathy, przyciskając rękę do rozcięcia na głowie nieprzytomnego kierowcy. - Rana jest mniej niebezpieczna, niż się wydaje. Pod uciskiem przestała krwawić. Dowiemy się więcej, kiedy Sammy się ocknie.

- Jak myślisz, Ed? Czy teraz zaczniesz nam się lepiej układać? - spytał Braxton, przyklękając obok przyjaciela.

Eddie ze znużeniem potrząsnął głową, a na pytanie odpowiedziała Zelda.

- Ja się cieszę, że Gunther odjechał. Nigdy nie spotkałam równie odrażającego typu. Lepiej nam będzie bez niego.

- Myślę to samo o Guntherze, Zeldo, ale nie wiem, czy nam będzie lepiej - rzekł Eddie i spojrzał nad sawanną na pomarańczową kulę słońca, które chowało się powoli za horyzontem. - Co teraz zrobimy? Myślisz, Braxton, że mówił prawdę o tym schronisku?

- Taką mam nadzieję - odparł dziennikarz z troską w głosie. - Wiem, że nie kłamał mówiąc o zwierzętach wyruszających przed zmierzchem na żer. Musimy coś postanowić, i to niezwłocznie.

- Mógłbym spróbować dotrzeć do schroniska przed zmrokiem, ojciec - powiedział Injai. - Musi tam być ktoś, kto nam pomoże.

- Dziękuję - rzekł Eddie, spoglądając z wdzięcznością na

pomocnika. - Ale nawet nie znasz drogi. Musimy poczekać, aż ten człowiek odzyska przytomność.

Wtem Zelda spazmatycznie wciągnęła powietrze, jakby się przeraziła. Braxton obejrzał się i zobaczył stojącego tuż za nimi olbrzyma. Poznał, że to Masaj, choć tak wysokiego człowieka jeszcze nigdy nie widział. Ale nawet tego olbrzyma pomniejszała towarzysząca mu żyrafa.

Pokryty pyłem tubylec przewiązany był w pasie czerwoną materia, której koniec przerzucił przez ramię. Sznury koralików ozdabiały mu szyję i przekłute uszy o płatkach wydłużonych pod ciężarem ozdób. Cienkie warkoczyki na głowie połyskiwały od potu. W lewej ręce Masaj trzymał malowaną tarczę, długą i wąską, a w prawej bogato zdobioną i groźnie wyglądającą włócznię. Gdy zrobił krok naprzód, zadźwięczał cicho mały dzwoneczek zwieszający mu się z lewego ucha.

- Zdaje się, że Twamba postanowił złożyć nam drugą wizytę - szepnął Braxton, uśmiechając się do poważnego wojownika. - Chyba nie myśli, że to my do niego strzelaliśmy, co?

- Miejmy nadzieję - odparł cicho Eddie. Z uśmiechem podniósł się z klęczek. - *Jambo*, Twamba.

Przyglądając się Twambie z bliska Braxton spostrzegł, że Masaj jest starszy, niż można by sądzić patrząc na szczupłą, dobrze umięśnioną sylwetkę. Jego wiek zdradzała czerstwa, pomarszczona twarz. Nie był to młodzik wracający z pierwszych samodzielnych łowów na lwa, wymaganych w rytuale inicjacji, lecz doświadczony i

mądry Masaj.

Nie odpowiedziawszy na pozdrowienie, wojownik minął księdza oraz Braxtona i spojrzał na nieprzytomnego Murzyna. Mruczając coś niezrozumiale, dał znak kobietom, żeby się odsunęły, odłożył broń na ziemię i ukląkł przy rannym.

Delikatnie dotykając jego głowy obejrzał ranę i skórę wokół. Spojrzał na Kathy i chrząknął z aprobatą. Następnie wsunął ręce pod kark leżącego i zaczął go masować. Po chwili Sammy z jękiem otworzył oczy.

- *Usismame* - rzekł cicho Twamba do rannego, który rozglądał się niespokojnie i trząsł z przerażenia. - Nie ruszaj się.

Dopiero teraz Sammy spostrzegł, kto przy nim klęczy. Spojrzał nieco przytomniej i uśmiechnął się słabo.

- Twamba - szepnął z ulgą, z trudem dobywając głos.

Masaj uniósł głowę w stronę Kathy. Zadzwieczał dzwoneczek w uchu.

- *Maji*.

- Prosi o wodę - wyjaśnił Braxton. Podeszedł do rzuconych na ziemię bagaży i przyniósł stamtąd termos.

Masaj obmacał szyję, ramiona i klatkę piersiową rannego.

- *Wapi panauma?* - spytał.

Braxton dostrzegł, że Twambie brakuje dolnych siekaczy, które zgodnie ze zwyczajem wyrywa się wszystkim masajskim dzieciom.

- Pyta, gdzie boli - przetłumaczył, podając Twambie kubek wody.

Sammy całkiem oprzytomniał, z trudem podparł się na łokciu i rozejrzał.

- Wszędzie. - Skrzywił się z bólu i unióśł rękę do głowy. - Gdzie Gunther?

- Odjechał - powiedział Eddie, klękając koło Twamby.

- Zostawił was? - zdumiał się Sammy.

- Na to wygląda - rzekł Braxton, wskazując stertę bagaży.

- Przepraszam, to przeze mnie - powiedział Sammy i spróbował wstać, ale zdołał tylko usiąść.

- Bzdura - odezwała się Zelda. - Gdyby nie ty, to któreś z nas próbowałoby go powstrzymać. Wykazałeś się wielką odwagą.

- Bardzo boli? - spytała Kathy.

- Mogłoby mniej - odparł Sammy.

Twamba wydobył z fałd czerwonej materii woreczek, rozwiązał go i wsypał trochę jakiegoś proszku do wody. Zamieszał długim, kościstym palcem i podał kubek Sammy'emu, przykładając dłoń do ust.

Sammy wziął kubek i skrzywił się, widząc ciemne okruchy pływające w kółko na powierzchni zmętniałej wody. Twamba kiwnął zachęcająco głową i poklepał się po ustach. Sammy niechętnie unióśł kubek do ust i wypił do dna.

- *Asante sana* - powiedział z uśmiejchem i oddał kubek.

- *Vizuri* - odparł Twamba. Schował woreczek z ziołami, zwrócił kubek Braxtonowi, podniósł broń z ziemi i wstał.

Kierowca znów spróbował stanąć na nogi, ale Eddie go powstrzymał.

- Spokojnie. Musisz dojść do siebie.

- Nie możemy tu zostać - upierał się Sammy. - Niedługo zrobi się ciemno.

Braxton i Eddie z ociąganiem pomogli mu wstać.

- Gunther powiedział, że jest tu w pobliżu schronisko - rzekł Braxton. - Czy to prawda?

- Tak. To niedaleko. Zaprowadzę was tam i wezwiemy pomoc. Czy dalej chcecie jechać na safari?

Zelda porozumiała się spojrzeniem z przyjaciółmi i odparła:

- Chyba tak. Musimy, oczywiście, wrócić do Nairobi i zacząć od nowa. Czy sprawę Gunthera można zgłosić władzom?

- Niewiele to pomoże - odrzekł Sammy. - Gunther daje łapówki wysoko postawionym ludziom, żeby nikt się go nie czepiał. - Po chwili zastanowienia Sammy powziął decyzję. Potrząsnął głową, wyprostował się i zrobił krok naprzód, stając o własnych siłach. - To wszystko moja wina. Nie powinniście wracać do Nairobi. Zawiozę was, gdzie zechcecie. Mogę sprowadzić autobus, mam krewnych, którzy mi pomogą.

- Nie, Sammy - sprzeciwił się Eddie. - Nie bądź śmieszny. Słyszałeś, co mówiła Zelda. W niczym nie zawiniłeś.

- Nie chcecie, żebym was poprowadził? Nie wierzycie w moje umiejętności?

- Ależ skąd, nie o to chodzi. Jesteś ranny i... Sammy potrząsnął głową, przerywając Eddiemu.

Przyłożył rękę do rany i pokazał otwartą dłoń.

- To nic poważnego. Widzicie? Już nie krwawi. Miewałem już gorsze rany. Niedługo dojdę do siebie. Już mi lepiej.

Twamba machał włócznią i ponaglał do wymarszu. Opanowując ból, Sammy podszedł do sterty bagaży, wziął torbę i dał znak, aby reszta poszła za jego przykładem.

- Twamba mówi, że musimy iść. Doprowadzi nas bezpiecznie do schroniska. Chodźcie. O tej porze zwierzęta wychodzą na żer i na otwartej sawannie jest niebezpiecznie.

- Dobrze, ale oddaj mi to - powiedział Eddie, podchodząc do kierowcy i odbierając mu torbę. - Nie powinieneś nic nieść, nawet jeśli lepiej się czujesz.

Ksiądz podał torbę Injaiowi, który wziął ją razem z dwiema innymi. Pozostali zaczęli podnosić z ziemi resztę bagaży.

- Dobrze - ustąpił Sammy, chwiejąc się na nogach. - Ale niedługo odzyskam siły. Lek Twamby ma wielką moc. - Kierowca spojrzał na Eddiego i Zeldę, a potem na stojącego obok Kathy Braxtona. - Czy wszyscy są gotowi?

- Jeśli inni się zgodzą, nie mam nic przeciwko temu, żebyś wziął nas pod swoje skrzydła - powiedziała Zelda. - Pod warunkiem, że czujesz się na siłach. Oszczędziłoby nam to trudu i czasu. Eddie?

- Zgoda - odparł ksiądz. - Injai jest świetnym kierowcą. Mógłby prowadzić.

- A więc postanowione - rzekł Sammy. - To mój obowiązek po przykrościach, na jakie was naraziłem. Więcej nawet, to dla mnie zaszczyt. Muszę wam coś wyznać. Słuchałem z zainteresowaniem, o

czym była mowa wczoraj wieczorem. Słyszałem też, jak Gunther wyjaśniał Dogowi Bassettowi, że chcecie odnaleźć grób sprzed wieków. Jeżeli on istnieje, to pierwsi rodzice są też przodkami czarnych, prawda?

- Oczywiście. - Eddie pokiwał głową.

- Bardzo chciałbym brać udział w tak wielkim odkryciu - zapewnił Sammy. - Kiedy dotrzemy do schroniska, sprowadzę pojazd i prowiant, a potem będę waszym przewodnikiem.

Gunther patrzył, jak jadący z tyłu mikrobus gwałtownie skręca. Zaklął głośno.

- Ten głupi Dingo za chwilę przekoziółkuje na dach, jeżeli nie będzie uważał. Wiedziałem, że nie umie prowadzić. Cholerny Sammy. Stawiał się, frajer, ale radził sobie ze wszystkim, co jeździ na kółkach.

- Co teraz, Frank? - spytał beznamiętnie Dog. - Gonisz Masaja?

- Akurat go złapię. Twamby już dawno tu nie ma. Możesz być pewien.

- No to co? Uspokoileś się i zawracasz po klientów?

- Nie, tego nie zrobię - odparł Gunther z chytrą miną. - Coś mi się zdaje, że mój zbuntowany kierowca oddał nam przysługę. Możemy zostać z tyłu i mieć wszystko na oku.

- To znaczy?

- Zastanówmy się chwilę. Co z nimi będzie? Przede wszystkim wiem, że nie zabiłem tego czarnucha. Oddychał, więc dojdzie do siebie. Powiedziałem im o schronisku, więc dotrą tam bez większych

trudności. Jak myślisz, co zrobią? Zrezygnują? Pojadą do domu? - Frank potrząsnął głową. - Mowy nie ma. Albo pojadą dalej sami, albo znajdą innego przewodnika. Może nawet Sammy podejmie się ich poprowadzić. Jeśli go za mocno nie stuknąłem. Zawsze chciał drań zająć moje miejsce. Upierał się, że po kraju czarnych powinien oprowadzać czarny.

- Do czego zmierzasz, Frank?

- Jeżeli ci ludzie naprawdę są na tropie grobu naszych przodków, to dla nas wymarzona sytuacja. Możemy ich śledzić. Śledzić tak długo, aż we właściwym momencie bez trudu odbierzemy im skarb, jak zabawkę dziecku. A ta zabawka może być wiele warta. Nie wiem jak tobie, ale mnie przydałby się solidny zastrzyk gotówki. Byłbym głupcem, gdybym nie skorzystał z okazji, jaka sama się nawinęła. Moja propozycja brzmi tak: jeżeli grób się znajdzie, podzielimy się po połowie.

- A jak się postarasz, żeby jego zawartość trafiła w nasze ręce?

- Zostaw to mnie. Tylko pamiętaj: kiedy zaczniemy, nie ma odwrotu. Ja postaram się o łup, a ty pozbędziesz się go z ogromnym zyskiem. Ale mogę też potrzebować twojej pomocy przy jego zdobywaniu. Umowa stoi?

Dog przyglądał się chwilę Frankowi z kamienną twarzą.

- Czy naprawdę chciałeś, żebym zastrzelił któregoś z tych ludzi?

- spytał.

- A gdybym chciał, zrobiłbyś to? Dog chrząknął.

- Trudno powiedzieć. Dobra, Frank, jedźmy za nimi.

Zobaczymy, co będzie. Ale z nosorożca nie rezygnuję.

- Do diabła, Dog. Znajdę ci nosorożca z największym rogiem w całej Kenii. - Frank machnął lekceważąco ręką.

- A więc umowa stoi, Frank. - Dog uderzył dłonią stojący między nimi pojemnik. - Masz jeszcze trochę tych szczyń słonia?

- Jasne - odparł Frank ze śmiechem. Otworzył pokrywę i wyjął dwa piwa. Zdjął kapsle, podał jedną butelkę Dogowi, a drugą wznosił toast: - Za pomyślność i duży zysk ze wspólnego przedsięwzięcia.

ROZDZIAŁ 10

Na drugi dzień koło południa przed schronisko Amboseli zajechał rozklekotany turystyczny mikrobus -odpowiedź na telefoniczne wezwanie Sammy'ego z poprzedniego wieczoru. Wuj Sammy'ego, siwy Chegee plemienia Kikuju, nie tylko przyprowadził pojazd, ale zgodził się zostać kucharzem wyprawy.

Sammy, tak jak przewidywał, zdumiewająco szybko nabierał sił, a Kathy wyraziła chęć poznania sekretu uzdrawiającego napoju Masaja. Wszyscy byli zachwyceni Sammym, który tak się troszczył o swoich podopiecznych, że wydawał się aniołem w porównaniu z Frankiem Guntherem.

Twamba nie doszedł do schroniska. Wraz z nieodłączną żyrafą doprowadził grupę turystów do drogi, o której mówił Gunther, i

towarzyszył im jeszcze kawałek, czujnie się rozglądając. Gdy ujrzeli schronisko, wojownik porozmawiał chwilę z Sammym, uniósł włócznie w pożegnalnym geście i odszedł.

Pobył w schronisku nie był tani, ale wszyscy rozkoszowali się wygodnym noclegiem i wyśmienitym wiktem. Wypoczywali rozmawiając beztrosko i grając w karty. Nazajutrz, gdy odjeżdżali, Injai uśmiechał się od ucha do ucha za kierownicą, a jego pasażerowie tryskali dobrym humorem. Incydent z Frankiem Guntherem pozostał jedynie nieprzyjemnym wspomnieniem.

Chegee usadowił się za Injajem. Eddie i Zelda zajęli miejsca na przodzie, blisko Sammy'ego, który stał w zagłębieniu koło drzwi. Mniej więcej w połowie mikrobusu usiedli Braxton i Kathy, od dwóch dni trzymający się razem. Rozmawiali, śmiali się i oglądali przyrodę.

Niebawem podszedł do nich Eddie z Zeldą i Sammym.

- Sammy chciałby zadać parę pytań - wyjaśnił Eddie i usiadł na najbliższym siedzeniu. - Uznałem, że to dobry moment na rozmowę. Sammy, może najpierw spytasz o hipnozę Zeldę.

- Kiedy chodziłem do szkoły w Ameryce, wiele się nauczyłem - rzekł młody człowiek. - Słyszałem też o hipnozie. Pod jej wpływem ludzie podobno przypominają sobie rzeczy, które zapomnieli. Czy to prawda?

- To jeden ze sposobów wykorzystywania hipnozy - odparła Zelda, siadając koło Eddiego. - Niedawno odkryto, że za pomocą hipnozy można pomóc ludziom cofnąć się do wydarzeń z przeszłości. Od dawna wiemy, że cechy takie jak kolor włosów czy budowa ciała są

dziedziczne. Najnowsze odkrycia wykazują, że dziedzicznym nieporównanie więcej. A hipnoza pomaga nam dociec, co możemy dziedziczyć.

- I właśnie w ten sposób zdobyła pani informacje, o których mówił Gunther?

- Tak. Stało się to przypadkiem. Poddawałam Kathy regresji hipnotycznej, to znaczy cofałam ją w czasie, gdy nagle zaczęła mówić o pierwszych ludziach. Zachęcaliśmy ją, oczywiście. Potem odkryliśmy, że Kathy może w transie rysować, i z rysunków dowiadaliśmy się coraz więcej.

- Rysunki! - krzyknął Sammy z błyskiem zrozumienia w oczach.
- To właśnie tym się zajmowaliście w obozowisku Westwood.

- Właśnie. Kathy, poddana regresji, zaczyna automatycznie rysować i w ten sposób się porozumiewamy.

- I dzięki tym rysunkom macie nadzieję dokonać archeologicznego odkrycia?

- Tak - wtrącił Eddie. - A także przy pomocy Kathy. Po seansie Kathy zdumiewająco dobrze pamięta i rozumie, co się wydarzyło. Pomaga objaśnić rysunki i zinterpretować pragnienia osobowości, która wyłania się podczas hipnozy.

Sammy zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem. To znaczy, że w czasie hipnozy porozumiewa się z wami ktoś inny?

- I tu zaczynają się schody, Sammy - powiedział z uśmiechem Braxton. - Ja też nie mogę się w tym połapać. Na razie nie główkuj.

Poczekaj, aż zobaczysz seans.

Sammy popatrzył na siedzących naprzeciw i poważnie skinął głową.

- Twamba, który pospieszył mi z pomocą, jest mędrce i rozumie wiele rzeczy, których inni nie dostrzegają. Rzeczy świata duchowego. Zawsze chciałem je pojąć, ale byłem na nie ślepy. Wiem jednak, że ten, kto dąży do prawdziwej mądrości, musi mieć umysł otwarty na wszystko. Uczę się tego. Bardzo chciałbym zobaczyć hipnozę w praktyce.

- Na pewno zobaczysz - zapewniła Kathy. - Mamy bardzo ogólne pojęcie o miejscu, którego szukamy. Trzeba będzie przeprowadzić wiele seansów, żeby zdobyć jakąś pewność.

- Dziś chyba zrobimy taki seans - dodała Zelda. - Zapraszamy.

- Dziękuję, będę czekał niecierpliwie - odparł Sammy. Skinął głową, odwrócił się i poszedł na przód mikrobusu.

Koło południa, mimo otwartych okien, pojazd tak się nagrzał, że trudno było wytrzymać. Sammy dał znak kierowcy, że pora się zatrzymać. Injai zjechał pod drzewa i zgasił silnik. Sammy otworzył drzwi i odwrócił się do pasażerów, którzy wstawali i przeciągali się znużeni podróżą.

- Zatrzymamy się tu i rozbijemy obóz - powiedział.

- W największy upał lepiej nie jechać. - Injai i Chegee wysiedli i zaczęli odwiązywać bagaże na dachu. - Proszę rozbić namioty w cieniu pod drzewami, żeby tworzyły półkole skierowane na sawannę - polecił Sammy.

- W środku półkola Chegee przygotowuje ognisko, żeby żadne ciekawskie zwierzę nie weszło nocą do obozu.

Zelda podniosła głowę znad torby, do której pakowała aparat fotograficzny.

- Czyżby zwierzęta naprawdę wchodziły na teren obozu?

- Takie przypadki się zdarzają. Proszę pamiętać, że to zwierzęta są u siebie, a nie my. Chegee i Injai będą podawać z góry bagaże. Kiedy rozbijemy obóz, zjemy lekki lunch.

- Popieram ten pomysł - rzekł Eddie, przechodząc koło przewodnika do wyjścia. - Do roboty, drogie panie. Jeżeli nie jesteście zbyt zmęczone.

- Depczemy ci po piętach, Ed - powiedziała Zelda, podążając szybko za księdzem. - Nie zapominaj, kto szybciej uwinął się z pakowaniem pierwszego dnia.

- Uwaga! - krzyknął z góry Injai, gdy Eddie stanął w progu.

Eddie spojrzał na ziemię i w ostatniej chwili uniknął wdepnięcia w duże brunatne kopczyki.

- O, niewiele brakowało - rzekł. - Dziękuję za ostrzeżenie.

Braxton wyjrzał przez okno.

- Temat na zdjęcie, Zeldo. Okazałe odchody zwierzęce.

- Imponujące - przyznała Zelda, wysiadając ostrożnie z mikrobusu. Z torby na ramieniu wyjęła aparat.

- Chyba nie uwiecznisz czegoś takiego na zdjęciu? - powiedziała z niedowierzaniem Kathy.

- Ależ tak. O takich rzeczach wcale się nie słyszy. Nikt mi nie

uwierzy. Spójrz, jakie wielkie.

Rzucając rozbawione spojrzenie na młodszą koleżankę, Zelda uniosła aparat do oka. Zaszumiał mechanizm i z przegródki wysunął się kwadratowy kartonik. Wszyscy obstąpili Zeldę zaciekawieni, jak wyjdzie zdjęcie.

- Nieźle - powiedziała z uznaniem, gdy wywołał się obraz.

- Jasne i wyraźne - rzekł Braxton.

- Nie spodziewałeś się, że to zrobię, co? - spytała Zelda z filuternym uśmiechem.

- Spodziewałem się, Zeldo. Liczę na odbitki dla wszystkich. Z żadnego safari nie mam takiej pamiątki.

- Z przyjemnością. Jakie zwierzę zostawiło ten ślad? Braxton przez chwilę przyglądał się pozostałościom na ziemi.

- Bez wątplenia lew. Wyobrażasz sobie, jaki był wielki?

Injai roześmiał się nad ich głowami. Powiedział kilka słów w języku suahili, wywołując wesołość Chegee.

- Braxton żartował, Zeldo - wyjaśnił Sammy, podając Eddiemu zrolowany namiot. - Odchody zostawiły słonie. Widocznie dziś rano tędy przechodziły. Radzę patrzeć pod nogi, bo takich niespodzianek może być więcej.

- Słuszna uwaga - rzekł Braxton. Wziął namiot od Eddiego i przekazał go Kathy. - Proszę. Paniom z pewnością się spieszy. - Kathy z uśmiechem przyjęła pakunek. - Pewnie myślałaś, Zeldo, że w Nowym Jorku jest źle. Niedługo przekonasz się, jak jest tutaj. Reklamy

turystyczne nie mówią wszystkiego o życiu na safari. Gwoździem wieczornego programu przy ognisku jest oskrobywanie podeszew butów z tego, co do nich przywarło.

- Sammy, mam do ciebie poważne pytanie w niecierpiącej zwłoki sprawie - powiedział Eddie, biorąc drugi namiot.

- Ja chyba chcę spytać o to samo - wtrąciła Zelda. - Zanim rozbiję namiot. *Kipo wapi choo*. Dobrze powiedziałam?

- Znakomicie - zapewnił Braxton. - Widzę, że studiowałaś pilnie bedeker. Niestety, czeka cię rozczarowanie. Do celu, o którym mówisz, najlepiej nada się tamta wysoka trawa za naszym przyszłym obozowiskiem.

- Jeżeli mówimy o toalecie, to ja też chętnie bym z niej skorzystała - powiedziała Kathy.

- Rozmawiamy raczej o braku toalety - rzekł Braxton.

Sammy zszedł z bagażnika na dachu i też wskazał w lewo.

- Braxton słusznie radzi korzystać z tych chaszczki. Injai ustawi mikrobus tak, żeby je zasłonić. Kobiety powinny chodzić razem, na wszelki wypadek...

- Na jaki wypadek? - zaniepokoiła się Zelda.

Po wyładowaniu ekwipunku Injai cofnął mikrobus i ustawił go we wskazanym miejscu.

- Na wypadek, gdyby to, co pozostawiło te ślady, kręciło się gdzieś w pobliżu - rzekł z udaną powagą Eddie, pokazując na ziemię. - I wracajcie szybko, jeżeli chcecie utrzymać pierwsze miejsce w stawianiu namiotów.

- Na pewno nie będę siedzieć w tych chaszczach dłużej niż trzeba - odparła Zelda. Pogrzebała w podręcznej torbie i wyjęła rolkę papieru toaletowego. -Chodź, Kathy.

- Zostawiamy tam papier? - zdziwiła się Kathy.

- Chyba że chcecie przynieść go z powrotem - powiedział Braxton z wesołym uśmiechem. - Uważajcie na węże - rzucił za odchodzącymi. - Patrzcie, gdzie kucacie.

- Kto zaprosił tego człowieka na nasze safari? - zawołała przez ramię Zelda.

Braxton ze śmiechem rozwiązał i rozwinął przed sobą namiot.

- Pomóż mi, Ed - powiedział. - Najpierw postawimy twój.

- Chwileczkę - odparł Eddie, potrząsając głową. -Ja nie żartowałem. Skoczę do lasku, skoro panie odeszły. Czy naprawdę są tu węże?

- Myślisz, że bym kłamał? - Braxton złożył dwie części środkowego masztu i chciał zawołać żartobliwie za czmychającym między drzewa księdzem, gdy wtem zza mikrobusu dobiegł krzyk. - To głos Zeldy! - zawołał, wypuszczając z rąk namiotowe płótno, które opadło miękko na ziemię. Rzucił się biegiem w kierunku, skąd dochodził krzyk.

Przerażona hipnotyzerka wybiegła zza mikrobusu przytrzymując jedną ręką szerokie spodnie, a drugą klepiąc się rozpaczliwie po udach.

- Zdejmij je ze mnie! - zawołała błagalnie, wpadając na Sammy'ego. - O Boże, zdejmij je ze mnie!

- Co mam zdjąć? - spytał przewodnik nie wiedząc, jak ma

pomóc.

Braxton podbiegł do Zeldy i chwycił ją za ramiona.

- Co się stało, Zeldo? Co ci jest? - spytał.

- Robactwo! - pisnęła Zelda, wzdrygając się z obrzydzenia. -

Chodzą mi po nogach, pod spodniami. -Mówiąc to, wciąż uderzała ręką w uda.

Zza mikrobusu wyłoniła się Kathy.

- To chyba kleszcze - powiedziała podając białą rolkę przewodnikowi. - Popatrz. Zelda odłożyła papier na chwilę na ziemię. Tu z boku chyba siedzi taki jeden.

Injai, który podszedł razem z Chegee, zajrzał Sammy'emu przez ramię.

- O tak - oznajmił radośnie. - Na pewno kleszcze. To jest kleszcz. O tej porze roku jest ich najwięcej. Ciepło i wilgoć. Szybko się mnożą.

- Kleszcze! - wrzasnęła Zelda. - Kleszcze! O Boże! Mam w spodniach kleszcze!

Sammy strącił palcem maleńkiego pajęczaka z rolki papieru.

- Na pewno pospadały, kiedy biegłaś. Widzisz, jak łatwo je strzepnąć. Nic ci nie jest, Zeldo, jestem pewien.

Spomiędzy drzew wybiegł Eddie i dołączył do grupy.

- Co się stało? - spytał zdyszany.

- Zelda ma w spodniach kleszcze - poinformował rzeczowo

Braxton.

Hipnotyzerka odskoczyła od niego ze złością.

- Ostrzegam cię, Braxton. Nie jestem w nastroju do żartów. -
Wstrząsnęła się. - Przepraszam, że wpadłam w panikę, Sammy, ale...
Tak się brzydzę tych małych krwiopijców. Chyba wolałabym węże.

- Rozumiem - rzekł ze współczuciem Sammy. -Kleszcze nie
stanowią wielkiego zagrożenia. Trzeba tylko często sprawdzać, czy się
ich nie ma. Gorzej, jeśli któryś wkręci się w skórę. Ale takie są uroki
życia pod namiotami.

- Rozumiem - powiedziała prostując się Zelda. - Jeszcze jeden
drobiażdżek, o którym nikt nie uprzedza. Dlatego mnie to zaskoczyło.
Ale dam sobie radę.

- Na pewno - pocieszyła ją Kathy. - Ja też nie przepadam za
kleszczami. - Wskazała namiot, który zdążyli rozbić Chegee i Injai. -
Możemy skorzystać z namiotu?

- Oczywiście - odparł Sammy. Kathy wzięła starszą koleżankę za
rękę.

- Chodź, Zeldo. Sprawdzimy, czy nie mamy nieproszonych
gości. Obie poczujemy się lepiej.

- Dobrze. - Zelda podciągnęła wyżej spodnie. -I tak muszę
gdzieś się poprawić. To nie do wiary.

- Może rozstawić wam namiot? - zawołał Braxton.

- Ani mi się waż - zabroniła Zelda. - Niech nikt go nie rusza.
Sama to zrobię, do licha!

- Dobrze... dobrze - rzekł Braxton unosząc ręce, jakby się
poddawał. Obaj z Eddiem uśmiechnęli się do siebie. - Chciałem tylko
pomóc.

- Możecie się od razu przebrać - powiedział Sammy. - Jest za gorąco na wycieczkę, więc po lunchu pójdziemy popływać.

- To nie jest mój dobry dzień - szepnęła pulchna hipnotyzerka do Kathy, całkiem tracąc humor. - Nie znoszę robactwa, ale jeszcze bardziej nie znoszę pokazywać się w kostiumie kąpielowym.

ROZDZIAŁ 11

Wczesnym popołudniem Sammy zaprowadził ich do jeziora ze źródlaną wodą. Cichy zakątek był tak malowniczy, że upał mniej się tu dawał we znaki. Zupełnie jak w raju, pomyślał Braxton, stojąc nad połyskliwą taflą wody. Uznał jednak, że lepiej nie wypowiadać tych słów na głos.

Omszały, skalisty brzeg wtapiał się w ciemnozielony kobierzec trawy, poprzecinany wijącymi się we wszystkie strony strumyczkami, które wypływały z jeziora. Soczysta zieleń kontrastowała z pobrązowiałym poszyciem sawanny. Małe gazy Thompsona skubały delikatne listki i kręciły krótkimi białobrązowymi ogonkami, trzymając się w bezpiecznej odległości od zgromadzonych nad wodą ludzi.

- Źródło pod skałami obniża temperaturę wody, która jest bardzo orzeźwiająca - wyjaśnił Sammy. - Przez kilka dni nie będziemy mieli okazji się wykapać, więc proszę korzystać. - Wskazał oka czystej

wody, jakie potworzyły się w sieci strumyczków. - Tam można zrobić pranie. Ja pojedę do pobliskiego schroniska dowiedzieć się, gdzie ostatnio widziano zwierzynę, żebyśmy mogli wybrać się później na bezkrwawe łowy. - Sammy wsiadł do mikrobusu, gdzie siedział już Chegee, i zawołał przez okno: - Niedługo wracamy. Bawcie się dobrze.

Eddie pomachał odjeżdżającym i zaczął rozpinać koszulę.

- Wspaniały pomysł z tą kąpielą. Mam już dość upału. Nie mogę się doczekać, aż wskoczę do wody. Kto ze mną? Injai?

- Może nieco później, ojciec - odpowiedział Injai, dźwigając przyniesiony z mikrobusu toboł. - Sammy kazał mi zrobić pranie. Ale proszę skakać.

- Właśnie taki mam zamiar - odparł Eddie i zrzucił spodnie. Stał na skraju wody w kwiecistych kąpielówkach.

- Brawo, Ed! - krzyknął Braxton i gwizdnął. - Szkoda, że nie widzą cię ludzie z twojej misji.

- Mówiłeś, że powinienem oderwać się od swoich spraw i odpocząć, więc się staram. - Ksiądz uśmiechnął się do zdejmujących ubranie przyjaciół, ugiął kościste kolana, pochylił chude ciało, odbił się i zanurkował w roziskrzanej wodzie niemal bez rozbryzgów. Po kilku sekundach wysadził głowę nad powierzchnię z okrzykiem radości.

- Fantastycznie! - zawołał. - Kapitalnie! Na co czekacie?

- Zimna woda? - spytała Kathy. Miała na sobie bladozielony, jednoczęściowy kostium, uwydatniający zgrabną figurę, co nie uszło uwagi Braxtona. Złożyła starannie ubranie, nachyliła się nad wodą i zanurzyła rękę.

- Mam nadzieję, że zimna - krzyknął Braxton, podrzucając do góry spodnie. Zawiązał troczki przy kąpielówkach, rozpędził się, wyskoczył w powietrze i podciągając nogi wylądował z głośnym pluskiem prawie na środku jeziora.

Kathy pisnęła uchylając się przed bryzgami wody, a Eddie odpłynął szybko do tyłu. Braxton otrząsając się wysadził głowę.

- To miał być skok? - oburzył się Eddie.

- Mój drogi, nie masz pojęcia, jak się cieszę, że skaczesz do wody i pławisz się w niej razem ze mną - odparł Braxton ze szczerym zadowoleniem. - Przyznaj, że to przyjemnie pobaraszkować jak dzieci, zapominając o wszelkich troskach.

- Owszem - rzekł Eddie ze śmiechem i prysnął zniecierpliwioną wodą w twarz przyjaciela. - Bardzo przyjemnie.

Braxton prychnąwszy otarł twarz i odwrócił się w stronę brzegu.

- Chodź, Kathy. Wspaniała woda.

Przytrzymując się mchu, Kathy zanurzyła się z piskiem w zimnej wodzie i poruszając się zręcznie podpłynęła na środek.

- Och, jak przyjemnie.

- Chwileczkę, a to co? - powiedział Eddie i zmarszczył czoło.

Patrzył na Zeldę, która stała nad wodą w sukience. - Rozbieraj się, Zeldo.

- Hej, zaczekaj, Ed! - ryknął Braxton, podpływając do Kathy. - Nie przesadzajmy z tą swobodą.

- Ona wie, o co mi chodzi - odparł Eddie, nie reagując na dowcipkowanie Braxtona. - No co, nie wchodzisz do wody?

- Nie mam ochoty. - Zelda usiadła i zanurzyła nogi w wodzie. Zmartwiony Eddie podpłynął do niej pieskiem.

- Wystarczy, że tu sobie posiedzę - upierała się przy swoim. Ksiądz chwycił się wystającej skały, podciągnął do góry i usiadł na płaskim kamieniu.

- Nie wygłupiaj się, Zeldo.

- Kto się wygłupia? - Odsunęła się od niego zniecierpliwiona. - Kapiesz na mnie, wiesz?

- Świetnie. Może to cię nakłoni do kąpieli.

- Nie mam ochoty na kąpiel, Ed.

- Nie wierzę - powiedział Eddie. Podniósł się i wziął Zeldę za rękę. - Wstań na chwilę.

Hipnotyzerka opierała się, ale w końcu uległa namowom. Stanęła i podparła się pod boki.

- Zadowolony?

- Niezupełnie. - Eddie cofnął się o krok i naśladując jej gest, położył ręce na biodrach. - Przyjrzyj mi się.

- Co takiego! Ed, czyś ty zwariował?

- Nie... i właśnie o to chodzi. - Eddie uniósł głowę, nie zważając na ściekającą po chudym ciele wodę. - Po pierwsze, jestem księdzem i stoję prawie nago na oczach ludzi. Nie przychodzi mi to wcale łatwo, możesz być pewna. Po drugie, nie jestem wspaniale umięśniony, ale to jeszcze nie powód, żebym miał rezygnować z zabawy w wodzie. I ty też nie powinnaś. Jest okropnie gorąco, Zeldo, a w wodzie poczujesz się wyśmienicie. Więc jak, idziesz popływać z nami?

Zelda popatrzyła na niższego od siebie mężczyznę i, kręcąc głową, zaczęła rozwiązywać sukienkę-kimono.

- Niech ci będzie. Skoro tak się upierasz...

- Upieram. - Eddie wyciągnął rękę z promienną miną. Zelda niby obojętnie zrzuciła bezkształtne okrycie, ukazując się w jednoczęściowym kostiumie kąpielowym. Patrząc jej cały czas w oczy, Eddie wziął ją za rękę i pociągnął lekko na brzeg skały. - Skaczymy razem?

- Ty pierwszy, ojciec, a ja za tobą - odpowiedziała Zelda.

Eddie parsknął śmiechem i Zelda nie mogła już dłużej zachować powagi. Oboje z chichotem skoczyli do wody, a Braxton i Kathy nagrodzili ich wyczyn entuzjastycznymi wiwatami.

Pływali w chłodnej wodzie, aż poczuli się odświeżeni na ciele i na duchu. Potem wszyscy czworo wyszli na brzeg i rozciągnęli się na gęstej trawie, chłonąc miłe ciepło słońca. Popołudniowe godziny mijały beztrąsko wśród śmiechu i przyjemnych, błahych rozmów. Nikt nie wspominał o hipnozie ani prawdziwym celu podróży po sawannie. Wszyscy pragnęli jak najdłużej radować się otaczającym ich spokojem. Przez chwilę wydawało się, że świat wcale nie jest taki zły.

Leniwy nastrój przerwał Injai. Skończył już pranie i rozłożył je do wyschnięcia na skałach. Zawołał, bo dostrzegł zwierzynę, za którą z upodobaniem się rozglądał. Wszyscy czworo podnieśli głowy i zobaczyli daleko na sawannie stado pawianów. Eddie nie wytrzymał i zerwał się na równe nogi.

- Co to jest, Injai? - zawołał wkładając spodnie. - Pawiany?

- Tak, ojciec - odpowiedział Injai podchodząc bliżej. - Bardzo liczne stado. Ten duży na przedzie prowadzi je do nowego miejsca.

- Przyjrzyjmy się z bliska. Kto idzie ze mną? Zelda?

- Chętnie - odparła ochoczo.

Eddie wyciągnął rękę i pomógł jej wstać. Zelda otrzepała z trawy sukienkę, którą włożyła zaraz po wyjściu z wody, i chwyciła torbę z aparatem.

Eddie spojrzał na Braxtona i Kathy, opalających się na trawie.

- A wy?

Kathy potrząsnęła głową, nie otwierając oczu.

- Ja nie. Tu jest cudownie. Zostaję na słońcu.

- Powiedz im *jambo* ode mnie - rzekł Braxton, machając ręką.

- Pójdę z wami, ojciec - powiedział Injai. - Podejdziemy jak najciszej, żeby zrobić zdjęcia z bliska. Jeżeli ten duży się odwróci, róbcie, co powiem. Reszta stada może pójść za nim, a pawiany bywają groźne.

- Daj znać, jeżeli przebiegnie jakiś gepard - dodał Braxton.

- Nie martw się, Buddy, wrzask szybko, żebyś go dogonił.

- Chodźmy. Prowadź, Injai - zachęcił Eddie z zapalem.

- Uważajcie, żebyście się nie spiekli - przestrzegła z uśmiechem Zelda. Przełożyła przez szyję ramię od aparatu i ruszyła za Injajem.

Braxton ziewnął i usiadł. Osłaniając oczy ręką, patrzył za trójką ludzi idących ostrożnie w stronę wędrujących małp.

- Trudno mi uwierzyć, jak zmienił się Ed. Jest taki szczęśliwy i pełen zapachu. Wiedziałem, że dobrze mu zrobi oderwanie się od

codziennych spraw.

- Nie mogę uwierzyć, że namówił Zeldę na kąpiel - powiedziała Kathy z zamkniętymi oczami. - Zarzekała się, że za nic w świecie nie pokaże się w kostiumie kąpielowym.

- Ed nawet bez sutanny jest i zawsze będzie księdzem - odparł Braxton. - Pomaganie ludziom leży w jego naturze.

- Wiem. Jest cudowny. Żałuję, że nie poznałam go bliżej, kiedy byłam młodsza. Byłby wspaniałym przyjacielem. To dzięki niemu jako tako trzymam się po tych seansach.

Braxton skinął głową, cały czas obserwując przyjaciół podchodzących do stada pawianów.

- Nie znam drugiego równie bezinteresownego człowieka. Eddie Fitzsimmons jest księdzem jakich mało. Właściwie to aż do przesady nie dba o siebie i naraża na szwank własne zdrowie. Dlatego martwię się o niego. Ktoś o tym napisał.

- O czym?

- Że naprawdę dobrzy ludzie nie żyją długo w złym świecie.

Pomagają, dają przykład innym, a potem odchodzą. Ta historia z grobem wywołała może w nim kryzys, ale powinien wynieść z tego jakieś korzyści. Pierwszy raz widzę, żeby robił coś dla siebie. Musi mu to wyjść na dobre.

Braxton podparł się na łokciu, opierając głowę na dłoni. Przyglądał się Kathy w milczeniu dłuższą chwilę. Nie chciał się gapić, ale to było silniejsze od niego. Leżąca obok dziewczyna zawróciła mu w głowie i nic nie mógł na to poradzić.

Od lat unikał bliższych kontaktów z kobietami, nie chcąc się z nikim wiązać, zanim nie upora się z problemem swojego pochodzenia. A do tego jeszcze nie doszło. Najlepiej świadczył o tym fakt, że uganiał się po obcym kraju jak żądny przygód dzieciak, który nie chce dorosnąć.

Spojrzał w dal, ale mimo starań nie mógł skupić uwagi na pawianach. Migrujące małpy nie interesowały go w takim stopniu jak leżąca obok Kathy, jej podciągnięte nogi ze stopami opartymi płasko na trawie, ręce skrzyżowane niedbale na brzuchu, zaróżowiona w słońcu skóra. Nie mogąc się powstrzymać, znów spojrzał na nią. Otworzyła oczy.

- Nic nie mówisz. Martwisz się o Eddiego? - spytała cicho.

- Prawdę mówiąc myślałem o tym, jak świetnie wyglądasz w kostiumie kąpielowym, a to zepchnęło rozważania o Eddiem na dalszy plan.

- Wiem - odparła Kathy, podpierając się na łokciu.

- Poznałam to po twoim bynajmniej nie uduchowionym spojrzeniu.

Braxton usiadł i oplótł rękami kolana.

- Kathy, pojechałem na tę wyprawę na prośbę przyjaciela - oświadczył poważnie. - Żeby mu pomóc, a nie...

- Czy mogę ci coś powiedzieć? - przerwała Kathy, klękając i przysiadając na piętach.

- O tym, że ja też świetnie wyglądam w kąpielówkach?

Kathy roześmiała się, a potem spoważniała.

- O tym chyba też. Ale chodzi o coś więcej. Poczułam to pierwszego wieczoru po seansie, kiedy na ciebie spojrzałam. Ty też to poczułeś, prawda? I nie chodzi tylko o to, że znalazłeś się na rysunku. Coś zaszło między nami w czasie hipnozy. Jakbyśmy się rozpoznali.

Braxton popatrzył jej w oczy i ujął za rękę.

- Kathy, z całych sił staram się oddzielić fakty od wyobrażeń w tej całej historii i nie bardzo mi się to udaje. Jestem pewien tylko tego, że mi się podobasz. Próbuję zachować obiektywizm, wiem, że znamy się zaledwie od kilku dni, a mimo to bardzo lubię z tobą rozmawiać i zdążyłem już wyjawić ci kilka mrocznych sekretów mojej przeszłości. Kiedy patrzyłem teraz na ciebie, gdy leżałaś na trawie, poczułem się jak roztrzęsiona galaretką owocową.

Kathy uśmiechnęła się, pochyliła i pocałowała go lekko w policzek.

- Umiesz tak zabawnie się wyrażać.

- Mój zawód to pisanie. Mam to we krwi. Ale ja naprawdę lubię z tobą rozmawiać. Chciałbym dowiedzieć się więcej o tobie. Właściwie wiem tylko tyle, że jesteś pielęgniarką.

- Więc pytaj. Co chciałbyś wiedzieć?

- Nadal niezupełnie rozumiem, co taka dziewczyna jak ty robi w takim miejscu.

Kathy spojrzała w dal, na sawannę, gdzie widać było pomniejszone postacie Eddiego i Zeldy idących za Injajem. Zastanawiała się chwilę.

- Szukam - odpowiedziała szeptem, ze ściśniętym gardłem. -

Tylko tak mogę to wyjaśnić. W moim życiu nie działo się dotąd nic nadzwyczajnego. Układało się samo. Zawód pielęgniarki był dla mnie oczywistym wyborem. Dopiero teraz czuję wagę wydarzeń, robię coś naprawdę ważnego, jeśli nie liczyć opieki nad ojcem. Ale z ojcem łączyły mnie bardzo powierzchowne stosunki. Nie mogłam się do niego zbliżyć, przebić przez skorupę, którą się otoczył. Tyle lat próbowałam, aż w końcu dałam za wygraną. Pogodziłam się z myślą, że mnie nie kocha. Przeze mnie stracił tę, którą kochał naprawdę.

- Kathy, nie chciałem poruszać...

- Nie - przerwała mu Kathy. Westchnęła i otrząsnęła się z wzruszenia. - Zbyt długo przeczyłam prawdzie. Teraz z nią żyję. Dystans między mną a ojcem w końcu zmusił mnie, żeby nie czekać, aż wszystko samo się ułoży, tylko schwycić się jakiejś szansy. - Zatoczyła szeroko ręką. - Ta wyprawa jest tą szansą, Braxton. Skoronie mogę dotrzeć do ojca, muszę spróbować pójść w inną stronę... dowiedzieć się czegoś o kobiecie, której nie znam. Myślałam, że może przez hipnozę cofnę się do chwili narodzin i nawiążę jakiś kontakt. Rozumiesz? Nie mam wyboru. Muszę z kimś nawiązać kontakt.

Te słowa kryły ból, którego nie chciała nikomu pokazywać. Tylko w samotności pozwalała płynąć łzom, obiecując sobie, że zawsze zachowa spokój przy ludziach, a zwłaszcza przy tym człowieku, którego znała tak krótko.

Nie udało jej się. Spojrzała na Braxtona i coś w niej pękło. Zaczęła szlochać. Wypłakiwała oczy jak głupia. Ale on ją objął i wtedy przestało mieć znaczenie, że płacze.

- Jestem zagubiona - powiedziała, gdy wyczerpały się łzy. -
Zupełnie zagubiona. I boję się tego, co się we mnie dzieje. Zwłaszcza
kiedy Zelda cofa mnie w czasie. Staram się być dzielna, ale właściwie
nie wiem, co ja, u licha, tu robię. Tak bardzo się boję.

- To całkiem zrozumiałe - rzekł łagodnie Braxton, gdy
zakłopotana ocierała oczy. - Jestem tu, żeby wam pomóc. Naprawdę,
Kathy. - Wziął ją za rękę. - Jeżeli będziesz chciała z kimś
porozmawiać, możesz na mnie liczyć. Jestem co prawda tylko
zwykłym, stojącym z boku obserwatorem, ale zawsze chętnie cię
wysłucham. Czasem to najlepsze wyjście, wierz mi.

Usłyszeli daleki warkot motoru i spojrzeli tam, skąd dobiegał.
Kathy wysunęła rękę z dłoni Braxtona i pogłaskała go po policzku.

- Będę o tym pamiętać. Tylko się nie dziw, jeśli od czasu do
czasu skorzystam z twojej propozycji. Ale chwilowo możesz osuszyć
ramię, na którym się wyplakałam. Zdaje się, że Sammy wraca.

Zbliżający się pojazd widać było wyraźniej.

- To nie Sammy - powiedział Braxton z namysłem.

- Za mały. Wygląda na jeepa. - Pomógł Kathy wstać.

- Ubierz się. Mamy gości.

Kathy kiwnęła głową. Włożyła bluzkę i szorty na kostium.
Braxton podniósł z ziemi swoje spodnie khaki i wciągnął je na nogi.
Oboje patrzyli na samochód, który zbliżył się na tyle, że można było
poznać jego markę. Jeep zatrzymał się i Kathy mimo woli chwyciła
Braxtona za rękę. Nie było już wątpliwości, że to jeep Franka
Gunthera.

ROZDZIAŁ 12

W samochodzie siedziało trzech mężczyzn. Za kierownicą Dingo, szczerzący krzywe zęby do Kathy i Braxtona przez zakurzoną szybę, na tylnym siedzeniu Dog Bassett, jak zwykle z niewzruszonym wyrazem twarzy, a obok kierowcy Gunther w kapeluszu z szerokim rondem.

- Braxton - szepnęła przerażona Kathy.

- Widzę go - odparł cicho. - Spokojnie, Kathy. Dowiemy się, czego chce. - Spojrzał nieco w bok i zobaczył, że Injai wskazuje w ich kierunku i zawraca razem z Zeldą i Eddiem. Tamci troje byli jednak jeszcze dość daleko.

Otworzyły się przednie drzwi z prawej, Gunther dźwignął się z siedzenia i wysiadł.

- *Jambo*. Ale upał, co? - powiedział zamykając drzwi.

Podszedł do nich z uśmiechem, ale Braxton pozostał nieufny. Wyćwiczony uśmiech nie maskował wcale wyrazu okrucieństwa na zniszczonej twarzy. Gunther zatrzymał taksujące spojrzenie na Kathy. Lubieżnym wzrokiem badał dekolt jej bluzki.

- Tak - odparł Braxton, starając się uśmiechnąć równie nieszczerze. - Zażywaliśmy właśnie kąpieli dla ochłody.

- Naprawdę? - Gunther uniósł rękę, zdjął kapelusz i otarł czoło rękawem koszuli, po czym oparł kapelusz o kolbę krótkiego pistoletu wystającego z kabury u pasa. Na widok broni Braxton poczuł skurecz żołądka.

- Czego pan chce, panie Gunther? - spytała Kathy udając, że nie widzi jego bezczelnego spojrzenia.

- Chciałem się upewnić, czy nic wam się nie stało. Miałem wyrzuty sumienia, że odjechałem w przyływie złości.

- Jak pan widzi, dajemy sobie radę.

- Owszem, to się rzuca w oczy. Widać, że pani i Hicks świetnie sobie radzicie. Macie też cholernie dużo odwagi.

- Co to ma znaczyć? - spytał Braxton.

- Pasożyty - odparł Gunther i spojrzał w bok. Braxton i Kathy spojrzeli w tym samym kierunku.

Z lewej strony coś nadjeżdżało, tym razem na pewno nie jeep. Pojazd zwolnił mijając troje ludzi idących do jeziora, zatrzymał się, żeby wsiedli, i ruszył dalej. Braxton poczuł rosnące napięcie. To wracał Sammy.

- Pasożyty? - powtórzył.

- Jest ich pełno w tych jeziorach ze stojącą wodą - wyjaśnił Gunther, nie spuszczać z oka nadjeżdżającego mikrobusu.

- Sammy mówi, że na dnie jest źródło - powiedziała Kathy. - Gdyby to była stojąca woda, nie proponowałby nam kąpieli.

- Sammy! - prychnął Gunther. - A od kiedy to Sammy ma jakieś pojęcie o tym, co robi? Dla mnie to stojąca woda i tyle. Ale jeśli chcecie mu wierzyć, proszę bardzo.

- Mikrobus zatrzymał się nie opodal jeepa, ale Gunther już na niego nie patrzył. Spoglądał pożądliwie na Kathy.

- Nie mógłbym znieść myśli, że jakieś śliskie robactwo

rozpełźnie się po tak ładnym ciele.

Brzęknęły otwierane drzwi mikrobusu i Gunther odwrócił się w tamtą stronę. Injai wyskoczył ze środka i bez słowa pobiegł do skał, na których leżało porozkładane pranie. Zaczął je zbierać jak popadło, byle szybko.

W drzwiach mikrobusu stanął Sammy, ale nie wysiadł. Był rozdygotany i przytrzymał się metalowej framugi. Braxton w pierwszej chwili pomyślał, że Sammy trzęsie się ze strachu, ale kiedy przemówił, okazało się, że miota nim wściekłość.

- Wsiadajcie - powiedział chłodno do Braxtona i Kathy, z trudem panując nad głosem.

- No, no - rzekł głośno Gunther. Wyprostował się i wbił wzrok w Sammy'ego. - Niech mnie diabli. Kogóż my tu widzimy! To ci dopiero niespodzianka. Hej, Dingo! Wsadź łepetynę przez okno i zobacz, kto się dochrapał swojego safari.

Dingo wychylił się przez otwarte okno jeepa. Widząc nowego przewodnika, cofnął się szybko i schwycił kurczowo kierownicę, jakby bał się, że ktoś mu ją odbierze. Stojący przed Braxtonem myśliwy roześmiał się i nasadził kapelusz na głowę.

- Wiesz, Sammy, brak mi ciebie za kółkiem. Dingo jest do niczego. Ciągle, cholera, targa sprzęgiem i szarpie kierownicą jak wariat. - Gunther przeklinał, a Sammy patrzył na niego bez zmrużenia oka. Obaj zapomnieli o całym świecie. - Tak, biedny Dingo trzęsie portkami, że go wyrzucę. Ale ja go zatrzymam. A wiesz dlaczego?

Sammy milczał. Injai prześliznął się koło niego, rzucił pranie na

ręce Chegee siedzącego z przodu i wskoczył za kierownicę.

Przestraszony Eddie siedział po drugiej stronie przejścia. Zelda wyglądała niespokojnie przez zamknięte okno z tyłu mikrobusu.

Gunther stanął w rozkroku i odezwał się, z trudem hamując gniew.

- Powiem ci dlaczego, Sammy. Bo jest posłuszny, do cholery! - Łagodząc ton głosu, przywołał na usta wystudiowany uśmiech. - Jak tam twoja głowa? Myślałem, że wbiłem ci do niej trochę rozsądku, ale widać się przeliczyłem. Ubzdurałeś sobie, że dasz radę sam poprowadzić safari. A więc jesteś takim samym zuchwałym dupkiem jak przedtem. Mam rację?

Kilka rzeczy nastąpiło równocześnie. Injai wcisnął przycisk rozrusznika, silnik zachrząścił i kaszlnął. Sammy zszedł na ziemię, charcząc przez zaciśnięte gardło. Gunther naprężył mięśnie i opuścił rękę do biodra, opierając ją na wygiętej kolbie pistoletu. Eddie poderwał się z miejsca i ruszył do drzwi, ale między dwóch mężczyzn wkroczył Braxton, odciągany przez Kathy.

- Chodź, ty mały sukinsynu - ryknął Gunther, już nie hamując wściekłości. - Trzeba ci jeszcze nauczki? To ci ją dam. Tym razem do skutku. Już ja cię nauczę kraść mi klientów. A tobie, Hicks, powiem tylko raz: zejdz mi z drogi, do diabła.

Nie zważając na groźbę Gunthera, Braxton zwrócił się twarzą do Sammy'ego, choć instynkt wzbraniał mu odwracać się tyłem do groźnego człowieka z bronią. Kątem oka dostrzegł wysiadającego z jeepa Doga Bassetta, ale całą uwagę skupił na Sammym. Przemówił do niego spokojnie, patrząc na Eddiego w nadziei, że ksiądz ostrzeże go w

razie niebezpieczeństwa.

- Czy nie mówiłeś, że odjeżdżamy, Sammy? - Braxton spojrzał na Kathy. - Wsiadaj, Kathy, na co czekasz. - Skinęła głową, minęła szybko trzech mężczyzn i chwyciwszy rękę Eddiego weszła do mikrobusu. Sammy nie ruszył się z miejsca. Braxton stał tak blisko, że widział, jak przewodnik drży na całym ciele. - Chyba już jesteśmy gotowi - powiedział Braxton.

Eddie wysiadł z mikrobusu i ze zdecydowaniem, jakie przystoi księdzu, położył rękę na ramieniu chłopaka.

- Chodź, Sammy - powiedział spokojnie. Sammy usłuchał go i bez słowa wsiadł do mikrobusu.

Nie tracąc ani chwili, Braxton pospieszył za nim i za księdzem. W drzwiach odwrócił się. Gunther stał na swoim miejscu w niedbalej pozycji.

- Odjeżdżamy, Gunther - powiedział Braxton. -Dziękujemy za odwiedziny, ale dajemy sobie radę. Więcej nie musisz się do nas fatygować.

Myśliwy zmrużył oczy z błyskiem okrucieństwa i skrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

- Źle bym się poczuł, gdybym tego nie zrobił - oznajmił. - Jeszcze się zobaczymy. Możecie być pewni. Ta sprawa nie jest zamknięta. Słyszysz mnie, Sammy?

Sammy nawet się nie odwrócił. Injai zamknął drzwi i pchnął długą wajchę, włączając pierwszy bieg. Mikrobus ruszył, odrzucając tylnymi kołami grudki ziemi.

Frank Gunther stał nieruchomo i patrzył za odjeżdżającym pojazdem. Dog Bassett stanął przy nim i spojrzał w tę samą stronę.

- Napędziłeś im stracha, Frank - powiedział.

- Tak - odparł Gunther kiwając głową. - I bardzo dobrze. Zrobią się nerwowi. Będą się ciągle oglądać za siebie. Najłatwiej zaskakuje się ludzi, kiedy myślą, że są przygotowani. Idę popływać. Co ty na to, Dog?

- A pasożyty? - spytał Bassett, otwierając szeroko oczy.

- Nie wierz we wszystko, co usłyszysz - odparł Gunther ze śmiechem. - Wskakuj do wody. Dobrze ci to zrobi.

- Czy nie powinniśmy za nimi jechać? Mogą próbować uciec, skoro ich nastraszyłeś, że...

- Nie obrażaj mnie, Dog! Myślisz, że nie wytropię tego gnojka? Na pewno ich nie zgubię.

- W porządku, Frank. Chętnie popływam.

- Wreszcie mówisz rozsądnie - rzekł Gunther i odczepił kaburę. Zaczął rozpinąć koszulę patrząc w tę stronę, gdzie zniknął mikrobus. - Cholernie ładna ta Irlandka, nie? Przydałoby się wymyślić jakiś sposób, żeby ściągnąć ją do naszego obozu. Jak myślisz, Dog?

- Zostawiam to tobie, Frank - odparł Bassett obojętnie i ściągnął spodnie.

Gunther zarechotał zdejmując koszulę.

- Nie zamydlisz mi oczu, Dog. Masz na nią chętkę tak samo jak ja. - Zrzucił spodnie i zawołał w kierunku jeepa. - Dingo, rusz tyłek i przynieś nam zimnego piwa!

ROZDZIAŁ 13

Mikrobus podskakiwał niemiłosiernie na porośniętą trawą nierównościach sawanny. Gdy jeziorko zniknęło w oddali, a wraz z nim Gunther, Eddie wstał i podszedł do Braxtona.

- Świetnie się spisałeś - pochwalił go. - *To mogło się źle skończyć.*

- Ależ to ty wszystko uratowałeś, Ed. Gdybyś nie wkroczył tak zdecydowanie, Frank Gunther zrobiłby z nas krwawy befszytk.

- Jak myślicie, dlaczego do nas przyjechał? - spytała Zelda.

- Na pewno nie dlatego, że się o nas niepokoił - wtrąciła kwaśno Kathy.

- A ty jak sądzisz, Sammy? - spytał Eddie odwracając się do przodu, gdzie na schodkach koło drzwi stał jak zwykle przewodnik. - Może był zły, że zostałeś naszym przewodnikiem?

Sammy wyglądał przez przednią szybę i pilotował kierowcę. Słyszając skierowane do siebie pytanie, odwrócił się zamyślony.

- Nie. Jeszcze wiele razy będzie miał okazję spotkać się ze mną. Myślę, że chodzi mu o was.

- Jak to? - spytała Zelda.

Sammy zbliżył się do swoich pasażerów.

- Czy ten grób, którego szukacie, może zawierać coś cennego? - spytał.

- Raczej bezcennego, jeżeli nasze przypuszczenia są słuszne -

odparł Eddie.

- A więc byłoby to warte kupę pieniędzy.
- Dla niektórych osób z pewnością tak.
- Myślę, że to jest odpowiedź na wasze pytanie -powiedział

Sammy z przekonaniem. - Widziałem też Doga Bassetta. Zajmuje się handlem i nieraz omija prawo. Ma kontakty na wybrzeżu, w Mombasie, i byłby idealnym pośrednikiem dla Gunthera, gdyby ten chciał sprzedać coś cennego na lewo.

Kathy spojrzała na niego uważnie.

- Chcesz powiedzieć, że jeżeli coś znajdziemy, Gunther spróbuje nam to odebrać? Myślisz, że byłby do tego zdolny?

- Nie chciałbym cię martwić, Kathy, ale znam tego człowieka - odparł posepnie Sammy. - Dla pieniędzy jest gotów zrobić prawie wszystko. Zwłaszcza jeśli wyda mu się to łatwe.

- Ale chyba nie zaatakowałyby nas bez powodu? -spytała osłupiała Zelda. - To nie do pomyślenia...

- Nie jesteśmy w Ameryce, Zeldo - rzekł Sammy. - Na sawannie jest mało ludzi, a dużo dzikich zwierząt. Jeśli zginie człowiek, wszelkie ślady po tym, co się zdarzyło, można zatrzeć dzięki nim. Nagła śmierć nie jest tu niczym szokującym. Tacy ludzie jak Gunther wykorzystują to do swoich celów.

Kathy opadła na oparcie, wzdychając z rezygnacją.

- Jeszcze ten Gunther na karku, jak byśmy mieli mało kłopotów. Braxton oderwał od niej wzrok i spojrzał na przewodnika.
- Co proponujesz, Sammy?

Przewodnik namyślał się chwilę z marszem na czole.

- Czy dokładnie znacie położenie grobu? Gdybyśmy jechali bez zatrzymywania się w największy upał, niedługo dotarlibyśmy do wskazanego na mapie miejsca. Czy szybko znajdziecie grób?

- Nic nie jest pewne - odpowiedziała Zelda. - Przypuszczamy, że informacje będą coraz bardziej szczegółowe, ale pewności nie mamy. Staralam się, żeby seanse hipnotyczne toczyły się swoim torem, bez nacisków z mojej strony. Mogę jednak przy najbliższej okazji odegrać bardziej dominującą rolę. Co ty na to, Kathy? Czy już pora dowiedzieć się jakichś szczegółów?

Wszyscy spojrzeli na Kathy, która uśmiechnęła się nerwowo.

- Chyba tak, Zeldo - odparła. - Przecież po to tu przyjechaliśmy. Postaram się, żeby nic mi nie przeszkodziło. Zrobmy seans, kiedy wrócimy do obozu. Jeżeli ten ktoś, kto korzysta ze mnie jako medium, chce odnaleźć grób Ewy, to powinien wreszcie powiedzieć, gdzie go znaleźć.

Wszyscy w milczeniu pokiwali głowami. W mikrobusie jadącym do obozowiska zapanował ponury nastrój. Nawet Braxtonowi nie przyszła na myśl żadna dowcipna uwaga dla poprawienia humorów. Posłał jedynie krzepiący uśmiech Eddiemu i Kathy, gdy na niego spojrzeli, lecz sam czuł się bardzo nieswojo. Spodziewał się, że zrozumie istotę hipnotycznej regresji, ale na razie nic się nie wyjaśniło. Co gorsza, niewiarygodnie szybko przywiązywał się do Kathy Sullivan. Wszystko to razem wytrącało go z równowagi.

Nagle siedzący za kierownicą Injai powiedział coś szybko w

języku suahili i skończył słowem *simba*. Sammy podszedł do kierowcy i spojrzął we wskazanym przez niego kierunku, w lewo. Uśmiechnął się i gestem nakazał pasażerom milczenie. Na znak dany przez Sammy'ego Injai skinął głową, bez hamowania zgasił silnik i powoli wykręcił kierownicą w lewo. Mikrobus podjechał cicho szerokim łukiem i stanął.

Z palcem przy ustach Sammy skinął na pasażerów, żeby przeszli na lewą stronę i podchodząc do nich szepnął:

- Naszykujcie aparaty. Przy odrobinie szczęścia zrozumiecie, dlaczego szukamy zwierzyny późnym popołudniem. Spójrzcie uważnie na krzewy porastające ten pas trawy.

Braxton wiedział, czego wypatrywać, dlatego zobaczył pierwszy. Pozostali, nakierowywani gestami przewodnika, też wkrótce dojrzeli powód nie planowanej przerwy w podróży.

Ukryte w wysokiej trawie, przywierając łbami i brzuchami do ziemi, leżały dwie lwice. Za nimi, na rzadziej porośniętej polanie, pasły się małe antylopy, czujne, lecz niczego nie podejrzewające. Zaczęły trzaskać migawki w aparatach fotograficznych. Płowe bestie, niczym olbrzymie kociska z mięśniami drgającymi pod skórą, podczołgiwały się do ofiar.

- Spójrzcie dalej, za gazele Granta - szepnął Sammy, wskazując wysoką trawę za pasącym się stadem. - Mamy szczęście. Jesteśmy w idealnym miejscu.

Nagle, ze wskazanej przez przewodnika wysokiej trawy, wyskoczył trzeci lew.

Mignęły w słońcu kopytka, gazy rozpięchły się w podskokach, zapominając o popołudniowym posiłku. Kilka skręciło w stronę nieruchomego mikrobusu, wpadając w zasadzkę. Jakby na dany znak, dwie przyczajone lwice wyskoczyły na spłoszone czworonogi.

Wyciągając potężne cielsko na całą długość i pędząc z oszałamiającą prędkością, mniejsza z dwóch lwic dopadła ofiary. Wczepiła pazury w delikatny bark śmigającej w powietrzu gazeli i ściągnęła ją na ziemię. Niemal natychmiast zjawiły się przy niej pozostałe dwa drapieżniki. Lwica zatopiła kły w wiotkiej szyi gazeli.

Nie rozwierając szerokich szczęk, potrząsnęła bezwładnym ciałem, a upewniwszy się, że ofiara nie żyje, puściła ją. Trąciła martwą gazelę pyskiem i wbiła zęby w miękki brzuch, rozdzierając cienką skórę, żeby dostać się do ciepłych wnętrzności. Dołączyły do niej pozostałe dwa lwy.

- Jakie to okropne - powiedziała Kathy i odwróciła głowę.

Sammy zerknął na nią i wrócił spojrzeniem na scenę mordy.

- Nie, Kathy. To pora zdobywania pożywienia. Tutaj tak się żyje. Śmierć jest częścią życia.

Braxton przyjrzał się uważnie przewodnikowi. Sammy zmienił się od czasu incydentu nad jeziorkiem. Po konfrontacji z Guntherem jego twarz nabrała surowego wyrazu.

- Oceniamy te czyny pod kątem moralności - ciągnął Sammy. - Ale jest to narzucanie pojęć, których zwierzęta nie znają. W Ameryce zauważyłem, że ludzie stosują miary moralności do czynów zwierząt. Na sawannie nie ma moralności. Albo się zabija, żeby przeżyć, albo

jest się zabitym.

Dopiero wieczorem przed kolacją Braxton odkrył, do jakiego stopnia Sammy martwi się o ich bezpieczeństwo. Wracając z małego wypadu do toalety w chaszczach spostrzegł, że Sammy przykucnął przy schowku pod pojazdem. Zamiast wrócić do ogniska po drugiej stronie mikrobusu, podszedł najpierw do przewodnika.

Słyszając, że ktoś nadchodzi, Sammy wepchnął do schowka przedmiot, który właśnie oglądał, i zatrzasnął metalową klapę. Braxton nie zamierzał podglądać, ale mimo słabego światła dostrzegł, co Sammy schował. Tylko jeden rodzaj przedmiotu składa się z kolby i lufy.

- Przepraszam - powiedział Braxton. - Nie chciałem cię przestraszyć.

- Nie szkodzi - odparł Sammy i wstał. - Robiłem mały przegląd.

- Zauważyłem. - Braxton uznał, że nie ma powodu kłamać. - Nie wiedziałem, że wozisz ze sobą broń.

- Na wszelki wypadek lepiej być uzbrojonym.

- Słusznie. - Braxton odczekał chwilę i spytał: -Sprawdzałeś broń, bo myślisz, że będzie wkrótce potrzebna?

- Najlepiej zawsze być przygotowanym - odparł wymijająco Sammy. Przykląkł i otworzył klapę schowka.

Braxton przykucnął obok.

- Masz tego więcej?

- Kilka sztuk. Na różne sytuacje broń różnego kalibru. Nie

zatrzyma się szarżującego słonia tą samą bronią co atakującego lamparta. A skoro pytasz, to jest powód, żeby zachować ostrożność... oprócz Gunthera, oczywiście. Nie chciałbym niepokoić pozostałych, ale dowiedziałem się dziś w schronisku, że w okolicy krąży niebezpiecznie duże stado lwów. Władze zastanawiają się, czy nie wydać zezwolenia na ograniczony odstrzał, żeby wyeliminować zagrożenie dla turystów i mieszkańców.

- Jak duże stado staje się groźne?

- Dwadzieścia... może trzydzieści sztuk. Czasami nie opuszczają stada młode lwy. Agresywny samiec trzyma koło siebie wiele samic. Te, które dziś widzieliśmy, na pewno należą do tego stada, tylko wybrały się same na polowanie.

- Bardzo się niepokoisz?

Sammy wyciągnął sztucer z przegródki, złamał i zajrzał do lufy.

- Nie. Ale ostrożność nie zawadzi. Moim obowiązkiem jako przewodnika jest was chronić.

Braxton patrzył, jak Sammy prostuje broń, chowa ją na swoje miejsce i wyciąga następny sztucer.

- Kiedy byłem mały, miałem dwudziestkę dwójkę, ale nigdy tego kalibru. Trudno jest z niego strzelać?

Sammy podniósł głowę znad sztucera.

- Strzelać jest łatwo. To zabijanie jest trudne.

- Wiem, Sammy, że wkroczyłem między ciebie a Gunthera.

Rozumiesz chyba, że chciałem pomóc.

- Nie powinieneś się do tego mieszać - odparł Sammy i

wyciągnął ze schowka pistolet w kaburze. - To moje zmartwienie. Źle, że dałem się dziś sprowokować. Powiniennem panować nad sobą, skoro prowadzę safari. Ale ten człowiek mnie pobił. Trudno o tym zapomnieć.

- Oczywiście - rzekł Braxton. - Przecież omal cię nie zabił. Jesteś pewien, że będzie za nami jechał?

- Tak - odparł spokojnie Sammy. - Tak jak jestem pewien, że nie zakończyliśmy między sobą rozrachunków. Sam zresztą o tym wspomniał. To tylko kwestia czasu. Zrozum, proszę. Jestem wdzięczny, że chciałeś mi pomóc, ale więcej nie mieszaj się do naszych porachunków. Braxton, nie chodzi tylko o pobicie. Gunther mnie poniżał. To sprawa honoru. Gunther uważa, że może traktować ludzi, jak mu się podoba. Ktoś musi mu w końcu pokazać, że tak nie można.

Przewodnik spojrzał na pistolet, który trzymał w rękach. Po chwili zdecydowanym ruchem wepchnął go do kabury.

- Myślę, że najtrudniej użyć tego do zabicia człowieka - powiedział cicho.

ROZDZIAŁ 14

Noc była piękna - czyste niebo i orzeźwiający wietrzyk. Po kolacji, za namową Braxtona, Eddie wspinał się wraz z nim po drabinie na dach mikrobusu. Wzięli ze sobą kawę i rozsiedli się na górze, patrząc na rozmigotane, czarne niebo nad Kenią.

- To przerasta wyobraźnię człowieka - powiedział Eddie z głową zadartą do góry. - Miałeś rację, warto przez chwilę po prostu nacieszyć się tym widokiem. Spójrz na księżyc. Widać krater.

- Słuchaj mnie, a dobrze na tym wyjdiesz. Wiesz, ile nocy spędziłeś pod tym niebem, nigdy się nim nie zachwycając?

- Wiem, wiem. Na tej wyprawie ciągle się czymś zachwyca.

- A jak tam twoja dusza, przyjacielu? Coś się w niej przejaśniło, czy wciąż kłębią się dawne wątpliwości?

Ksiądz potrząsnął głową, zapatrzony w gwiazdy.

- Tylko niebios są jasne i czyste, a droga, która do nich prowadzi, niestety tonie w ciemnościach. Staram się trochę odpocząć. Chwile takie jak ta bardzo temu służą. Jestem ci za to ogromnie wdzięczny, Braxton.

- Słuchaj, Ed - powiedział Braxton ścisząc głos, żeby siedzący wokół ogniska nie słyszeli. - Wiem, że zastanawiasz się, co łączy mnie i Kathy. Chciałem cię zapewnić, że...

- Wystarczy - przerwał mu Eddie, unosząc rękę. - Po pierwsze, wcale nie muszę się zastanawiać. Widzę, co się dzieje. Wy dwoje,

kiedy jesteście razem, to znaczy prawie cały czas, gruchacie jak gołąbki.

- Kathy jest bardzo atrakcyjna, a nie chcę, żebyś myślał...
- Braxton, nie zachowywałeś się tak przy żadnej kobiecie.
- Myślisz, że tego nie zauważyłem? Nie mogę w to uwierzyć.

Nie wiem, co się dzieje. Cała ta historia jest z lekka zwariowana, a ja przekomarzam się z dziewczyną jak zadurzony nastolatek.

- Więc bawcie się dobrze - rzekł ksiądz i wzruszył ramionami. - Jesteście dorośli. Mam wrażenie, że Kathy wie, co robi. Z pewnością niejednemu dała kosza, a jeśli sprawia wrażenie zagubionej, to tylko co do celu tej wyprawy.

Braxton dojrzał w ciemnościach uśmiech na twarzy przyjaciela.

- Ciebie to bawi, prawda?

- Patrzenie, jak pozwalasz zawrócić sobie w głowie na tyle, że może się to skończyć czymś poważniejszym? Jeszcze jak! Hodujesz taki głupi uraz na punkcie swojego pochodzenia: nie wiesz, kim jesteś, więc uważasz się za kogoś w rodzaju trędowatego. To nie ma sensu, Braxton. Kogo obchodzi twoje pochodzenie? Czy twój ojciec był mordercą, synem milionera, czy zwykłym włóczęgą? Ważne jest, kim ty jesteś! Pora, żebyś przestał roztkliwiać się nad sobą. Tyle razy mi powtarzałeś: odpreź się. Teraz ja ci to mówię. Dobrze ci zrobi trochę luzu. Braxton spojrzał na przyjaciela z niedowierzaniem.

- Boże, co ja narobiłem mówiąc, żebyś trochę odpoczął. Nigdy nie wygłaszałeś takich kazań.

- Już od jakiegoś czasu układałem to kazanie w myślach. Jak

długo zamierzasz bronić się przed kobietami? Aż będziesz staruszką, który robi pod siebie?

- Dosadnie powiedziane - rzekł Braxton i roześmiał się cicho. - Zrozumiałem. Nie mam pewności co do stanu swoich uczuć, ale obiecuję ci, Ed, że nie stchórzę, zanim się nie przekonam. Odpowiedz mi jeszcze na jedno pytanie.

- Tak?

- Naprawdę myślisz, że mój ojciec mógł być mordercą?

- Ależ skąd. Wcale nie... - Eddie urwał, widząc wesoły uśmiech Braxtona. Zrozumiał, że przyjaciel go prowokuje. Milczeli przez chwilę, a potem ksiądz odezwał się całkiem poważnie: - Chociaż, prawdę mówiąc, wszyscy mamy jakichś przodków morderców, począwszy od Kaina. - Znów zapatrzył się w niebo. - To jest ta zadra tkwiąca w każdym prawdziwym związku emocjonalnym, nawet z Bogiem. Radości i oddaniu towarzyszy ból zwątpienia.

- Nawet jeśli ten grób istnieje, to czy naprawdę myślisz, że znajdziesz rozwiązanie zagadki w jakiejś dziurze w ziemi?

- Oczywiście, że nie. Nie jestem aż tak naiwny. Ale mam nadzieję, że to znalezisko pomoże mi zrozumieć, co kryje się tu - powiedział ksiądz i przyłożył rękę do serca.

Nad sawanną rozbrzmiewały odgłosy zwierząt budzących się do życia o zmierzchu, ale żaden z nich nie przyciągał szczególnie uwagi. Nagle przeszył ciemności daleki, groźny ryk. Zeldę poderwała się z rozkładanego stołka przy ognisku.

- Co to było? - spytała zaniepokojona.

- *Simba* - odparł Injai. - Lwy.
- Wieczorna muzyka dżungli, Zeldo - zawołał cicho Braxton z dachu mikrobusu. - Ukołyszcie cię do snu jak kołysanka.
- Wątpię - odpowiedziała Zeldo, wpatrując się w mroki nocy wokół obozu. - Ten lew wydał mi się bardzo rozbudzony. Czy to nie było okropnie blisko?
- Nie - powiedział Sammy. Wsiadł z mikrobusu i podszedł do ogniska. - Daleko. W pogodną noc ryk Iwa niesie się bardzo daleko. Czasami słychać go na wiele kilometrów. W Amboseli jest teraz dużo lwów, więc jeszcze nieraz je usłyszymy.
- Noc jest rzeczywiście wspaniała - westchnął Eddie, schodząc za Braxtonem po drabinie z dachu mikrobusu. Obaj usiedli przy ognisku.
- Trzeba się nią nacieszyć - powiedział Sammy. Rozgwieżdżone niebo wyraźnie poprawiło mu humor.
- Nagłe ochłodzenie może zapowiadać deszcz. Kto wie, czy zaraz się nie zachmurzy.
- Czy nie mamy teraz pory suchej? - spytał Eddie.
- Owszem, ale nawet w porze suchej zdarzają się nagłe burze. W tym roku częściej niż zwykle. Ostatnio było kilka takich burz. Ale szybko przechodzą.
- Gepardów ani widu, ani słychu, za to lwy owszem, co, Buddy?
- zawołał Injai, który zmywał naczynia z boku mikrobusu.
- Lwy pierwsza klasa, ale ciągle czekam na wielką niespodziankę z gepardami.

- Spójrzcie - powiedziała Kathy, wskazując w górę. Jaskrawa raca białego światła przecięła niebo, ciągnąc za sobą jasny warkocz. - Jakie to piękne.

- Duże gwiazdy u was spadają, Sammy - powiedziała zdumiona Zelda.

Przewodnik potrząsnął głową.

- To mogła być kometa. A skoro tak, nie wszyscy, którzy ją zobaczą, podzielą wasz zachwyt. Raczej pobiegną pomodlić się ze strachu przed gniewem boga Enkai.

- A więc to zły znak? - spytała Kathy.

- Tak. Masajowie, którzy ze wszystkich afrykańskich plemion są najwierniejsi tradycjom życia w zgodzie z przyrodą, boją się komety na niebie. Wierzą, że to zapowiedź wielkich kłopotów. Podobno widziano kometę tuż przed pojawieniem się pierwszych Europejczyków na tych ziemiach.

Znów dobiegł z oddali ryk lwa. Kathy drgnęła i przysunęła się bliżej Braxtona.

- A ja nadal uważam, że była piękna.

Ktoś zawołał Sammy'ego. Przewodnik wyszedł na spotkanie Chegee, który wyłonił się zza mikrobusu. Podniecony Chegee powiedział coś szybko w języku suahili, na co Sammy skinął poważnie głową.

- Coś nie tak, Sammy? - zapytał Braxton, który już był przy nich.

- To się okaże - odparł Sammy. - Jakiś czas temu wydało mi się, że dostrzegłem światło za namiotami. Wysłałem Chegee na zwiady.

Moje obawy się potwierdziły. Po drugiej stronie tego lasu ktoś rozbił obóz. Pójdę zobaczyć kto.

Wyjaśnienia Sammy'ego wyrwały zapatrzonych w gwiazdy podróżników z zadumy. Zatraskani obstąpili przewodnika.

- Nie myślisz chyba, że to Gunther? - spytała z niepokojem Zelda.

- Zauważyliście pewnie, że nie widzimy ludzi -odparł Sammy. - Umyślnie wybrałem trasę z dala od głównych szlaków. Niewielu przewodników ją zna. Zobaczę, kto się tu wybrał.

- Chciałbym ci towarzyszyć - rzekł Eddie. - Też powinniśmy wiedzieć, kto tam jest.

- Pójdę z tobą, Ed - powiedział Braxton.

- No, dobrze - zgodził się z wahaniem Sammy. -Ale róbcie, co powiem, i idźcie jak najciszej. -Przewodnik odwrócił się do Chegee i wydał polecenie. Chegee podbiegł do mikrobusu i po chwili przyniósł maczetę, którą podał ostrożnie bratankowi.

- Wozisz ze sobą cały arsenał, Sammy - powiedział Braxton patrząc na połyskliwe, szerokie ostrze. - Ile jeszcze broni ukrywasz w tym schowku?

- To nie broń, to kosa - odpowiedział dowcipnie Sammy. Ujął maczetę za rękojeść z kości słoniowej i wziął zamach. - Do przerzedzania gęstych zarośli i wycinania chwastów.

- Czy jest konieczna? - spytał Braxton. - Przecież idziemy tylko popatrzeć.

Sammy zawiesił nóż u pasa jak miecz.

- Jest ciemno. Może trzeba będzie wycinać drogę w zaroślach. Ostrożność też nie zawadzi. Sam ostrzegałeś, Braxton, że trzeba uważać na... podstępne węże. Tak się mówi?

- Tak - odparł Braxton ze zdziwieniem.

Sammy skinął na wuja, żeby stanął przed mikrobusem.

- Injai zostanie przy ognisku z Kathy i Zeldą, a Chegee będzie stał na straży do naszego powrotu - zarządził. - Trzymajcie się blisko mnie - rzekł do Eddiego i Braxtona.

- Zaraz wracamy - powiedział Braxton. Spojrzał najpierw na Zeldę, a potem w oczy Kathy. - Pilnujcie, żeby kawa nie ostygła.

- Nie ruszymy się stąd na krok - zapewniła Kathy.

- Uważajcie, proszę - dodała Zelda, patrząc z niepokojem na ścianę ciemności wokół obozu.

- Chodźcie - rozkazał Sammy.

Minęli namioty i doszli do zagajnika. Noc była jednak na tyle jasna, że Braxton i Eddie bez trudu przekradali się między drzewami za Sammym. Wkrótce Sammy zatrzymał ich, unosząc ostrzegawczo rękę, i wskazał migoczące światło ogniska tuż za granicą drzew.

Obóz nie był duży - składał się z dwóch małych i jednego większego namiotu pośrodku. Przy ognisku, na składanych turystycznych stołkach, siedziało dwóch mężczyzn.

- Czy to Gunther? - szepnął Braxton do ucha Sammy'ego.

Przewodnik zacisnął zęby i wskazał środkowy namiot, z którego ktoś właśnie wychodził odchylając płachtę. Ukazał się mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem. Patrzący na jego sylwetkę nie mieli

wątpliwości, kim był.

Sammy sięgnął do rękojeści maczety. Wzrok przyzwyczał im się do jasności za drzewami i mogli rozróżnić rysy twarzy trzech mężczyzn. W jednym z nich, który wstał, gdy do ogniska podszedł Gunther, Braxton rozpoznał kierowcę Dingo. Gdy zaś drugi, siedzący mężczyzna obrócił się nieco, blask ogniska uwydatnił kamienną twarz i zwalistą postać Doga Bassetta.

- Możemy podejść bliżej? - spytał szeptem Eddie.

- Tak. Chcę się dowiedzieć czegoś więcej. Zachowajcie ostrożność i trzymajcie się blisko ziemi. Przypomnijcie sobie, jak robiły to dziś lwy.

Przykucając posuwali się naprzód rozpaczliwie wolno. Wtem nad ich głowami rozległy się wrzaski i gwałtowny szelest liści. Przerażeni przypadli do ziemi, chroniąc się w gęstym podszyciu. Trzej mężczyźni przy ognisku obejrzeni się, a Dog Bassett wstał. Znow dały się słyszeć piskliwe wrzaski i Dog Bassett powiedział coś do Gunthera.

- *Nyami!* - odparł myśliwy w języku suahili. - Pawiany. Stado pawianów kitwasi się na drzewie. - Podniósł naszykowane do spalania polano i skinął na Bassetta. - Chodź, Dog. Odstraszymy je. Jak raz zaczną skrzeczeć, to mogą tak całą noc.

Braxton wcisnął się w trawę i rozpląszczył na ziemi. Gunther szedł prosto na nich. Wyczuwając koło siebie jakiś ruch, Braxton odwrócił się i zobaczył, że Sammy wysuwa maczetę zza pasa i kładzie na wysokości twarzy. Eddie też to dostrzegł i bezgłośnie protestował potrząsając głową.

Braxton doznał tego samego uczucia, które nim zawładnęło, gdy odwrócił się plecami do rozwścieczonego Gunthera. Teraz było silniejsze i potrafił je nazwać. To strach schwycił go w swoje lodowate szpony. Rozbolał go też krzyż, pewnie po gwałtownych ruchach, gdy usiłował się ukryć. Wspaniale. Koniec snucia domysłów. Otaczała go rzeczywistość, która była zwariowana. Regresja hipnotyczna. Poszukiwanie jakiegoś mitycznego grobu. Konfrontacja z Guntherem. Wszystko to razem wzięte. Myśli te pierzchły pod naporem rzeczywistości - Frank Gunther i Dog Bassett zatrzymali się w odległości kilku kroków. Braxton wstrzymał oddech.

- Jazda stąd, włochate dranie - wrzasnął Gunther i zaczął walić kijem po gałęziach. - Bijcie się o swoje samice gdzie indziej! - Kij z trzaskiem przecinał liście i stado pokrzykując przeniosło się dalej i trochę uspokoiło. Gunther chrząknął zadowolony. - Widzisz, Dog? Wystarczy im pokazać, kto tu rządzi.

- Widzę, Frank - odparł cicho Bassett.

- Zaczekajmy chwilę, aż całkiem się uciszą, żebyśmy nie musieli znowu tu przychodzić. - Gunther wepchnął ręce do kieszeni i rozejrzał się. - Cholernie ładna noc.

Braxton czuł, że ból w krzyżu zaostrza się, ale bał się coraz mniej. Skoro do tej pory nie zostali zauważeni, zapewne już im to nie grozi. Wystarczy nie ruszać się do odejścia Gunthera. Niestety, nie zanosilo się na to od razu, gdyż Gunther wyjął rękę z kieszeni i rozpiął rozporek. Strumień moczu uderzył w ziemię.

- Za dużo piwska - wymamrotał Gunther i beknął. - Picie to

okropny nałóg, Dog. Rzuciłbym go, gdyby nie był taki przyjemny. Szkoda, że co pięć minut trzeba chodzić się odlać. Nie krępuj się. Pewnie już tu nie przyjdziemy.

- Dziękuję, nie mam potrzeby - odparł Bassett.

- Co ci? Wstydzisz się przy mnie wyciągnąć szyję? Bassett rzucił Guntherowi zmęczone spojrzenie.

- Nie mam potrzeby, Frank. Powiedz, co planujesz. Trzymamy się ich przez kilka dni, aż dowiemy się więcej?

Gunther zapiął spodnie.

- Trafiłeś w sedno. Teraz, kiedy się pokazaliśmy, powinni wziąć dupy w troki i wynieść się. Pojedziemy za nimi nie zaczepiając ich. Niech nabiorą pewności siebie. Będziemy deptać im po piętach, aż dotrą do celu. A teraz wracajmy, trzeba iść spać. Jeżeli dobrze znam tego czarnego drania Sammy'ego, to wcześniej zwiną obóz. Pojedziemy za nimi w odpowiedniej odległości. Uważaj, Dog, jeżeli przyjdiesz później się wysikać. Pełno tu miodożerów.

- Miodożerów? - zdziwił się Bassett.

- Tak. Wydają się ciężkawe i powolne na tych swoich krótkich łapach, ale te złośliwe dranie są cholernie szybkie i mają ostre kły. Dlatego trzeba bardzo uważać. Nie sięgną człowiekowi do gardła tym łasicowatym pyskiem, rozumiesz?

- Nie rozumiem, Frank.

- Jak zaskoczy cię miodożer, kiedy będziesz się odlewał, to zrozumiesz. Nie sięgnie do gardła, ale złapie za jaja. - Dog Bassett przymknął i otworzył oczy, a Gunther ryknął śmiechem i klepiąc

koleżkę po plecach zawrócił z nim do obozu. - Sam tego nie przeżyłem, ale słyszy się takie historie.

Wstrzymując oddech Braxton patrzył w ślad za Guntherem i Bassettem, aż doszli do ogniska i zaczęli rozmawiać z Dingo. Sammy trącił lekko Braxtona i z palcem przy ustach dał znak, że można wstać. Nie musiał przypominać, żeby poruszali się ostrożnie i jak najciszej. Wycofali się w głąb lasu i, ponaglani przez Sammy'ego, przyspieszyli kroku.

Gdy dotarli do obozu, pomachali do Chegee, obeszli mikrobus i zbliżyli się do ogniska. Kobiety i Injai wstali.

- Co ci się stało, Braxton? - spytała Kathy, spostrzegając jego zmieniony chód.

Garbiąc się, żeby zmniejszyć ból, Braxton podszedł do stołka.

- Wykręciłem się nie w tę stronę - odparł.

- Przewróciłeś się, Buddy? - spytał Injai.

- Padłem na ziemię, żeby się ukryć. - Braxton ostrożnie usiadł, masując bolesne miejsce. - Myślałem, że już po nas.

- Ja też się przez chwilę bałem - przyznał cicho Sammy.

Eddie spojrzał z z troskaniem na przewodnika.

- Ale chyba nie myślałeś o użyciu tej maczety? - spytał.

- Nie musiałem myśleć - odparł Sammy, patrząc księdzu w oczy.

- Opowiedzcie nam wreszcie, co się stało? - spytała zaniepokojona Zelda.

- Na szczęście nic - odparł Eddie. - Zdobyliśmy parę informacji.

- Jakich?

- Którą wiadomość chcesz usłyszeć, dobrą czy złą? - wtrącił Braxton.

Zelda westchnęła zniecierpliwiona i podparła się pod boki.

- Proszę cię, Braxton, nie żartuj.

- Dobrze. To Gunther - rzekł Braxton. - Zatrzymał się po drugiej stronie lasu i wie, że rozbiliśmy tutaj obóz.

- A ta dobra wiadomość?

- Nie będą nam się naprzykrzać, tylko pojedą naszym śladem.

Prawda, Ed? Sammy? Ksiądz popatrzył na Sammy'ego i kiwnął głową.

- A potem?

- Nie wiadomo - powiedział Eddie. - Ale przynajmniej wiemy, że Gunther chwilowo nie zamierza nas niepokoić.

Braxton wstał, trzymając się za krzyż.

- Nie wiem, jak ty, Ed, i Sammy, ale ja bawiąc się w te podchody spościłem się ze strachu - rzekł. - Musimy poważnie porozmawiać. To nie żarty. Gdyby Gunther nas zobaczył, mogłoby się to źle skończyć.

- Co proponujesz? Żebyśmy zrezygnowali? - spytała zaczepnie Zelda. - Tyle włożyliśmy wysiłku, tak blisko jesteśmy celu i mamy teraz spakować się i wracać do domu?

- Ktoś mógł zostać ranny, Zeldo - rzekł Braxton podniesionym głosem. - Może nawet zginąć. Chętnie poszukam grobu, ale nie swojego.

- Stawka jest większa niż twój lęk o własną skórę, Braxton - odparła hipnotyzerka, też mówiąc głośniej.

- Dobrze wiem, jaka jest stawka, Zeldo. Ale moim zdaniem nie

powinno się narażać życia ludzi po to, żebyś wylądowała w panteonie hipnotyzerów obok Mesmera i Rasputina.

Zelda poczerwieniała.

- Zdaje się, że wreszcie usłyszeliśmy, co pan naprawdę o tym wszystkim sądzi, panie Hicks.

- Nigdy nie mówiłem, że wierzę wam bez zastrzeżeń.

- Rzeczywiście. Ale ja zakładałam, że jadąc z nami jesteś po naszej stronie i popierasz nasze zamysły. Czyżbym się myliła? Braxton westchnął.

- Posłuchaj, Zeldo. Nie twierdzę, że...

- Ależ skąd - przerwała zagniewana. - Teraz ja ci coś powiem, Braxton. Nie jestem szarlatanem. Nie biorę udziału w jakiejś grze. Nie chcę narażać niczyjego życia. Wkładam w to, co robię, całe serce. Rozumiesz? Gdyby nie to, naprawdę nie byłoby mnie tutaj.

Kathy weszła pomiędzy Braxtona i Zeldę i uniosła rękę.

- Braxton, proszę. Wiem, że się niepokoisz, ale kłótnia niczego nie rozwiąże. - Nie czekając na odpowiedź, zwróciła się do księdza. - A co ty myślisz, Eddie?

- Myślę, że powinniśmy przeprowadzić seans hipnotyczny - powiedział. - Znamy zamiary Gunthera. Może uda się Zeldzie pokierować regresją tak, żeby zdobyć wskazówki, które pomogą w odnalezieniu grobu. A wtedy wiedząc, na czym stoimy, możemy porozmawiać, jak proponuje Braxton.

Dog Bassett stał przy ognisku obok Gunthera i patrzył na las.

- Jesteś pewien, że już poszli, Frank? - spytał.

- Najzupełniej. Wycofali się zaraz po tym, kiedy od nich odeszliśmy.

- Niezły jesteś, Frank, muszę ci to przyznać - rzekł Bassett, kiwając głową z uznaniem.

Frank niedbale wzruszył ramionami.

- Podziękuj pawianom, Dog. Zawsze cię ostrzegają, kiedy rozbijesz obóz w pobliżu ich stada. Ty też się postarałeś. Zasłużyłeś na Oscara za swój występ. Założę się, że połknęli haczyk.

- A więc jesteśmy gotowi?

- Prawie. Dla pewności odczekamy parę godzin, niech położą się spać. W tym czasie zwinę obóz, żebyśmy mogli natychmiast wyruszyć. A potem pójdziemy po nią.

- Jednego nie rozumiem, Frank. Jeżeli od początku planowałeś ją porwać, po co pokazywałeś się tym ludziom?

- Nie lubię, kiedy ktoś mi się stawia - odparł Gunther z zaciętym wyrazem twarzy. - Chcę, żeby ten łobuz Sammy wiedział, że to ja go załatwiłem. Dowodów nie będzie, ale on będzie wiedział. I nie będzie mógł nic na to poradzić... nawet jeśli uda mu się wrócić. Masz ostatnią szansę, żeby się wycofać, Dog. Kiedy chwycimy dziewczynę, klamka zapadła.

- Co chcesz zrobić, żeby nie narobiła hałasu?

- Liczę, że ją mocno przytrzymasz, Dog. Wstrzyknę jej środek usypiający. Mam specjalny zestaw, dla zwierząt. Podziała, nie martw

się.

- A jeżeli nie powie, gdzie jest grób? Co wtedy?

- Na pewno powie, tym się nie przejmuj. - Gunther błysnął zębami w uśmiechu. - Potrafię być bardzo przekonujący.

- Jesteś pewien, że nie będą nas gonić? Gunther chrząknął i obejrzał się za siebie.

- Dingo, pociąłeś już to mięso? - spytał.

Dingo uśmiechnął się szeroko pokazując krzywe zęby i podniósł duży kawał ociekającego krwią mięsa.

- Zaraz, *Bwana*. Mnóstwo mięsa. Będziemy mieli co jeść przez wiele dni.

- Niekoniecznie my, Dingo - zauważył Gunther z uśmiechem.

W chłodnym powietrzu poniósł się przeciągły ryk. Potem jeszcze jeden. I jeszcze. Dog odwrócił głowę.

- Ten lew chyba podszedł bliżej.

- Tak, o wiele bliżej - powiedział Gunther. -I to nie jeden lew, a całe stado. Nic tak nie przyciąga lwów jak świeże, surowe mięso. Nikt nie będzie za nami gonił, Dog, *możesz* mi wierzyć. A właściwie po *co te* pytania? Masz pietra czy jak?

Bassett spojrzał na Gunthera chłodno i beznamiętnie.

- Lubię mieć pewność, Frank. To wszystko.

Gunther skinął głową i zabrał się do składania namiotów. Bardzo był zadowolony, że skaperował Doga. Można na nim polegać. Nie wątpił, że Dog Bassett potrafi być bezwzględny, kiedy zajdzie potrzeba. A w tym przedsięwzięciu sam nadstawia głowę. Musi

dopilnować, żeby się udało. Ponieważ jednak zawsze coś może pójść nie tak, warto mieć przy sobie takiego kompana.

ROZDZIAŁ 15

- Gdzie jesteś? - spytała cicho Zelda, dotykając palcem ręki Kathy.

Siedziały blisko ognia. Nocne niebo, jak przewidywał Sammy, zaciągnęło się chmurami i mrok zgęstniał. Sammy jako jedyny z Afrykańczyków obserwował seans z bliska. Pozostali dwaj woleli przysiąść nieco dalej kolo mikrobusu. Chegee otwierał szeroko oczy ze zdumienia, a Injai starał się niczego nie uronić i zrozumieć te dziwne rzeczy, w które zaangażował się ukochany ksiądz i przyjaciel Buddy.

Naprzeciw hipnotyzerki i Kathy klęczał Eddie z naszykowanymi przyborami do rysowania. Tuż przy nim siedział na stołku obolały Braxton, a nie opodal zapatrzony Sammy.

Daleko na sawannie zaryczał lew. Inne mu odpowiedziały. Braxton zerknął na ciemności za namiotami i posłał Eddiemu wymuszony uśmiech. Kathy siedziała z zamkniętymi oczami na stoiku i lekko się kołysała. Przeszli już fazę odprężenia i regresji, ale jeszcze nie reagowała.

Płonąca szczapa zapadła się w żar, strzeliły w powietrze iskry. Rozgrzane drewno blisko ognistego centrum zajęło się płomieniami,

które buchnęły z nową siłą. Czerwonawa poświata podświetliła bezlistne drzewo o grubych, poskręcanych konarach. Niesamowite cienie zatańczyły wokół ogniska.

Kathy uniosła głowę z napiętym, wyczekującym wyrazem twarzy, wciąż mając zamknięte oczy. Zelda dotknęła jej ręki.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - Gdzie jesteś?

Nic. Żadnej reakcji.

- Dobrze. Mówię teraz do Kathy. Kathy, wiem, że mnie słyszysz. Zrobimy dziś co innego niż zwykle. Będiesz mogła sama sobą kierować. Rozumiesz? Kiedy dotknę twojej ręki, Kathy, będziesz mogła mówić, obserwując to, co kiedyś się wydarzyło. Zupełnie jak w twoim powtarzającym się śnie, Kathy. Patrzysz oczami kogoś z przeszłości. Pomożesz nam zrozumieć. Chcę, żebyś powiedziała, co widzisz. Klepnę cię po ręce i przekażę możliwość kierowania sobą. Jeżeli zrozumiałaś, powiedz „tak”.

Zelda popukała palcem w dłoń Kathy, która ledwie rozchylając usta szepnęła cicho:

- Tak.

- Bardzo dobrze, Kathy - powiedziała Zelda łagodnie, lecz stanowczo. - A teraz posłuchaj. Tam jest ktoś inny. Nie ty. Nic ci się nie może stać. To nie dzieje się naprawdę. Wydarzyło się dawno temu. Ty tylko widzisz oczami tej innej osoby i pomożesz nam wszystko zrozumieć. Rozejrzyj się wokoło. Zobaczysz, co tam jest.

Kathy odwróciła głowę, jakby się rozglądała. Gałki oczu drgały jej pod opuszczonymi powiekami.

- Właśnie tak - ciągnęła Zelda. Znow dotknęła ręki Kathy. - Co widzisz, Kathy? Powiedz.

Nieoczekiwanie Kathy odrzuciła głowę do tyłu, potoczyła nią na boki i zatrzymała pośrodku.

- Ciemno... Jest... ciemno - wysyczała. Zelda i Eddie spojrzeli na siebie.

- Wiem, że jest ciemno, ale to nie będzie ci przeszkadzało widzieć - powiedziała hipnotyzerka twardo i zdecydowanie. - Będiesz widziała. Rozumiesz? Kiedy dotknę twojej ręki, zobaczysz, co jest w tych ciemnościach. - Kathy skinęła głową i Zelda stuknęła palcem w jej rękę. - Ciemności się rozpraszają. Patrz! Rozglądaj się. Co widzisz? - Kathy przetoczyła głowę z boku na bok. Zelda znow dotknęła jej ręki. - Co widzisz? - Ten sam bezwładny ruch i brak odpowiedzi. - No dobrze, spróbujemy inaczej. Znalazłaś się tam, gdzie jesteś, z jakiegoś powodu. Czy możesz nam powiedzieć, dlaczego tam jesteś? Dlaczego przybyłaś do tego miejsca ciemności?

Tym razem reakcja była natychmiastowa. Kathy odchyliła głowę do tyłu tak raptownie, aż się wstrząsnęła, a potem zaczęła szlochać, dając upust nagromadzonym uczuciom. Zelda nie okazała zaskoczenia. Ujęła Kathy za rękę i łagodnie ją pocieszała.

Braxton odruchowo pochylił się do przodu, jakby też chciał dotknąć Kathy, ale przytrzymał go Eddie. Potrząsając głową wskazał Zeldę, która uspokajała zrozpaczoną dziewczynę.

- Już dobrze: Chcę, żebyś stamtąd odeszła. Teraz. W tej chwili. Odejdź. Już dobrze. Nic ci nie jest. Nie musisz odpowiadać na tamto

pytanie. Nie bierzesz w niczym udziału, tylko obserwujesz. Rozumiesz? Odpręż się. Po prostu się odpręż. Będziesz widziała, ale nie będziesz tego przeżywać... będziesz patrzeć jak zwykły obserwator... żeby dowiedzieć się i zrozumieć. Słyszysz mnie, Kathy? - Przestając szlochać, Kathy wolno pokiwała głową. - Świetnie. Chcemy wiedzieć, co widzisz, ale wycofamy się, jeżeli tego chcesz. Chcesz się już wycofać?

Po chwili namysłu na twarzy Kathy pojawił się wyraz gniewnej determinacji. Potrząsnęła głową.

- Bardzo dobrze. Kiedy dotknę twojej ręki, będziesz widziała i rozumiała, nie doświadczając żadnych uczuć. Jesteś tylko obserwatorem. Nic cię nie może zranić. Kiedyś może cię raniło, ale teraz będziesz tylko widziała. Rozumiesz? - Kiwnięcie głową. Dotknięcie ręki. - Znakomicie. A więc co widzisz w tym świetle, które rozproszyło ciemności?

Kathy wydawała się zaskoczona pytaniem i nie powiedziała nic, kręcąc głową z boku na bok. Wtem z jej twarzy zniknął wyraz dezorientacji i pojawiło się odprężenie, które równie nagle przekształciło się w zachwyty. Dziecięcy zachwyty, pomyślał Braxton.

- Światło - powiedziała cicho. - Ciepłe, piękne światło.
- Bardzo dobrze. Czy to światło jest w miejscu, którego szukamy? Kathy zmarszczyła brwi i pytająco przechyliła na bok głowę.
- Czy to jest to szczególne miejsce, którego szukamy? Patrz uważnie. Poza światło. Co widzisz poza światłem?

Pochylona głowa. Brak odpowiedzi.

- Dobrze. Powiedz, co czujesz. Jakie uczucia wywołuje w tobie to miejsce?

Uśmiech. Zamiast zachwytu niewinny wyraz twarzy.

- Ciepło. Jest ciepło.

- Rozumiem - ciągnęła Zeldę. - Bardzo dobrze. Rozejrzyj się, Kathy. Musisz znać to miejsce. Zapamiętać je. Czy my je znamy? - Brak odpowiedzi. - Dobrze, w takim razie musisz nam o nim opowiedzieć, żebyśmy zrozumieli. Czy do tego miejsca, które widzisz, pasuje jakieś słowo? Znajome słowo, które pomogłoby nam je rozpoznać?

Zmarszczone brwi, odrzut głowy do tyłu. Braxton uzmysłowił sobie, że wstrzymuje oddech. Wypuścił powietrze z płuc. Mimo sceptycznego nastawienia, uległ sugestywnemu nastrojowi.

- Jakie słowo pomoże nam poznać to miejsce? - dopytywała się Zeldę. - Musimy wiedzieć, żeby je znaleźć.

Nareszcie Kathy uniosła normalnie głowę i dobyte głos.

- Łono... - szepnęła.

Nawet Zeldę zdziwiła się i zamilkła. Wszyscy przypuszczali, że usłyszą o Edenie lub czymś podobnym, a tu takie nieoczekiwane słowo, dające początek nowym pytaniom. Braxton spostrzegł ożywienie na twarzy Eddiego, który zaczął machać ręką, dając znak Zeldzie, żeby prowadziła dalej seans.

- Masz na myśli łono jak u kobiety? - spytała.

- Nie... - odparła Kathy, wciąż uśmiechając się ciepło. - Coś, co przypomina... łono.

- Oczywiście, rozumiem. Dobrze, Kathy. Bardzo dobrze. A teraz chcę, żebyś spojrzała poza to miejsce, w którym jesteś. Rozumiesz? Musimy wiedzieć, co jest tam dalej. Kiedy dotknę twojej ręki, zobaczysz wyraźnie, co jest poza tym łonem, i opowiesz mi.

Dotknięcie ręki. Głowa Kathy potoczyła się z jednego ramienia na drugie i znieruchomiła. Nagle radość Kathy zgasła. Nie rozszłochała się, ale zasmuciła, aż wokół oczu i ust zarysowały się bruzdy. Tak głęboki żal mogła czuć tylko po wielkiej stracie.

- Co widzisz? - spytała Zeldą.

Spod spuszczonej powieki Kathy popłynęły łzy. Odpowiedziała już nie głosem dorosłej kobiety, a małej dziewczynki. Wypowiadała jakieś niezrozumiałe słowa. Wykrzykiwała swój ból w języku, który Eddie nazwał prążykiem.

- Nie rozumiemy. Musi być po angielsku. I odpowiedzieć ma Kathy. Kathy, powiedz to po angielsku. Co widzisz?

Zawodzenie ustało, ale Kathy jeszcze parę razy coś wybełkotała. Potem krzyknęła rozdzierająco i, zapłakana, zawołała rozpaczliwie cienkim głosikiem małego dziecka:

- Maaaaaaa! Maaaaaaaaaaaa! Maaamaaa!

Odrzuciła głowę w tył z impetem, który wstrząsnął całym ciałem. Głowa Kathy podskakiwała jak piłka, przetaczała się z ramienia na ramię, a z jej gardła dobywały się zduszone dźwięki.

- Na miłość boską, Eddie, dość tego! - szepnął Braxton, nachylając się do księdza.

Eddie ani drgnął, wpatrzony w Zeldę, która rzuciła Braxtonowi

krótkie, ostrzegawcze spojrzenie mówiące wyraźnie, żeby się nie wtrącał. Hipnotyzerka chwyciła Kathy za rękę, przyciągnęła do siebie i poklepując przemawiała rozkazująco:

- Odejdź stamtąd. Odejdź! Już dobrze, Kathy. Rozumiem. Odejdź. To zbyt bolesne. To nie jest ważne. Nie musimy wiedzieć. Już dobrze. Dobrze. Odejdź stamtąd i nie czuj nic.

Gardłowe dźwięki stopniowo ucichły. Kathy zamknęła usta, uniosła głowę i nagle otworzyła oczy.

Patrzący na nią wzdrygnęli się, gdy to zrobiła. Zelda wyciągnęła ostrzegawczo rękę, dając znak, żeby nie ruszali się z miejsca. Oczy Kathy były otwarte, ale nie patrzyły na najbliższe otoczenie, lecz gdzieś dalej, gdzie nie sięgał wzrok siedzących wokół ogniska.

- Już dobrze, Kathy - powiedziała szybko Zelda i pogłaskała ją po rękę. - Chcesz skończyć?

Kathy wpatrywała się bez słowa w skaczące płomienie.

- Myślę, że powinniśmy teraz skończyć, Kathy. Zamknij oczy. Kiedy dotknę twojej ręki, odpreżysz się.

Kathy nie zareagowała. Zanim jednak Zelda jej dotknęła, zaczęła powoli unosić rękę do góry.

Eddie podniósł z ziemi przybory do rysowania i szybko podszedł do kobiet, trzymając w gotowości blok rysunkowy. Zelda wzięła od księdza węgiel do rysowania i podała Kathy, która schwyciła go i zacisnęła palce w pięść.

- Oczywiście, rozumiem - powiedziała Zelda. - Kathy tylko widzi. Musisz nam pokazać. Dobrze. Bardzo dobrze. Pokaż nam

miejsce pełne światła, o którym mówiła Kathy. Pokaż, żebyśmy mogli cię tam zabrać.

Braxton zorientował się, że Zelda niepostrzeżenie przestała zwracać się do Kathy, a zaczęła mówić do osoby pojawiającej się w hipnozie, Ewy z hipnotycznego transu. Wraz z innymi patrzył zafascynowany na rękę zbliżającą się do bloku, który trzymał Eddie.

Tym razem jednak żaden rysunek nie powstał. Kathy uniosła nagle ręce do twarzy, zasłaniając się przed czymś, co dojrzała w hipnotycznej wizji. Cisnęła węgiel do rysowania w ogień i zaczęła wymachiwać rękami wydając dzikie, przerażone okrzyki.

Zelda złapała ją za ręce i przyciągnęła do siebie.

- Już dobrze - powiedziała cicho i łagodnie. - Dostatecznie nam pomogłaś. Zaraz cię obudzę. Rozumiesz? Chcę, żebyś oddaliła się od tego miejsca, które widzisz. Oddalaj się coraz bardziej. Kiedy dotknę twojej ręki, obraz przed twoimi oczami odsunie się i zmaleje. Będzie coraz mniejszy. Coraz mniejszy. O właśnie. Patrz, jak maleje, przestaje być groźny, aż wreszcie staje się punkcikiem w oddali. A kiedy znów dotknę twojej ręki, ten punkcik zniknie. Zupełnie. Gotowa? Już.

Po dotknięciu Zeldy Kathy wzdrygnęła się, a potem rozluźniła.

- Tak, już zniknął - ciągnęła Zelda. - Widzisz przed sobą czysty błękit. Otacza cię kojący, spokojny błękit. Cisza. Spokój. A teraz odliczę od dziesięciu do zera, ostatni raz dotknę twojej ręki i wtedy się obudzisz. Będiesz pamiętała swoje przeżycia, ale poczujesz się wypoczęta i odprężona. Będziesz się czuła całkowicie wypoczęta, odprężona i pełna spokoju. Weź głęboki oddech, ruszamy w drogę

powrotną. Dziesięć...

Zelda odliczała pewnym, spokojnym głosem. Braxton poczuł dokuczliwy ból w krzyżu i wstał, żeby go złagodzić. Seans hipnotyczny odwrócił jego uwagę od dolegliwości, która przypomniała teraz o sobie z siłą nie dającą się zignorować. Braxton wygiął lekko grzbiet mając nadzieję, że trochę mu ulży, i spojrzał na Sammy'ego. Przewodnik ani drgnął. Wpatrywał się w Zeldę i Kathy, szeroko otwierając oczy ze zdumienia. Eddie odkładał do teczki przybory do rysowania. Zelda skończyła odliczanie i dotknęła dłoni Kathy, która otworzyła oczy.

- Dobrze się czujesz? - spytała cicho hipnotyzerka.

- Tak - powiedziała Kathy i rozejrzała się wokół z lekkim uśmiechem. - Nie dowiedzieliśmy się wiele, prawda?

Zelda poklepała ją po ręce.

- Wystarczy. Za każdym razem, cokolwiek się zdarzy, czegoś się dowiadujemy.

- Potrafisz powiedzieć, co przeszkodziło ci pod koniec w rysowaniu? - spytał Eddie.

- Tak jak poprzednio nie widziałam nic konkretnego - odparła z namysłem Kathy. - Kiedy Zelda kazała mi patrzeć, dostrzegłam falowanie światła. Czułam się, jakbym reagowała na coś, czego właściwie nie mogę zobaczyć. Myślę jednak, że to był ogień.

- Ogień? - rzekł Eddie. - Masz na myśli ognisko?

- Nie, potężną ścianę ognia. Ścianę płomieni nie do przebycia. Nie wiem na pewno. Przykro mi, Ed. Staralam się, ale niewiele z tego wyszło.

- W porządku, Kathy - powiedziała Zelda. - Spisałaś się, jak należy. Wiesz, co powiedziałaś, kiedy poprosiłam, żebyś spojrzała poza to miejsce, które nazwałaś łonem?

Kathy przygryzła wargę i skinęła głową.

- Tak. Trudno tego nie rozpoznać. Ale właściwie to była reakcja odruchowa. Nic... nic nie widziałam. Dlatego niczego nie mogę być pewna. - Potrząsnęła głową i westchnęła. - Kiedy wreszcie coś się wyjaśni?

- Chyba wtedy, kiedy dotrzemy na miejsce - rzekł Eddie, patrząc na nią ze współczuciem.

Braxton poruszył się niespokojnie.

- A więc czas na rozmowę? - spytał.

- Tak - odparł Eddie. - Nie możemy sobie pozwolić na odkładanie jej na później, aż przemyślimy seans. Okropnie wyglądasz, Brax. Stoisz taki zgarbiony, jakby naprawdę cię bolało.

- Nie mogło mnie to złapać bardziej nie w porę - rzekł Braxton i wyprostował się z grymasem bólu na twarzy.

- Jeśli chcesz, mogę cię wymasować, aż ból przejdzie - zaproponowała Kathy wstając. - Czy boli cię w krzyżu?

- Tak, ale nic mi nie jest. A ty nie powinnaś odpocząć po tym wszystkim?

- Nie - odparła z uśmiechem. - Dzięki Zeldzie zawsze dobrze się czuję po seansie. Teraz powiedz, gdzie cię boli. Tu?

- Mhm. - Braxton sięgnął za plecy, żeby doprowadzić dłoń Kathy do bolesnego miejsca. - Przez całą szerokość... o tutaj. Ach.

Ostrożnie. Tak, to właśnie tu. Ale to może poczekać, naprawdę. Przeżyję. Najpierw porozmawiajmy. - Braxton uśmiechnął się do stojącego nie opodal Murzyna. - Chciałbyś podzielić się jakimiś uwagami, Sammy?

- To wszystko jest dla mnie dziwne i tajemnicze - odparł przewodnik patrząc to na Braxtona, to na Kathy, to na Zeldę.

- Wierz mi, Sammy, dla nas również - zapewnił Eddie.

- Dobrze - wtrącił Braxton. - Przede wszystkim chciałbym przeprosić Zeldę za to, że byłem taki niepoważny. Wiem, że wkładasz w to wiele serca. I widzę, że znasz się na rzeczy.

- Nie masz za co przepraszać, Braxton - oświadczyła Zeldę. - Musiałeś w krótkim czasie przyjąć wiele do wiadomości.

- Może potrzebuję więcej czasu, żeby to pojąć, a może ból promieniujący z mojego krzyża zaciemnia mi umysł, ale mam wrażenie, że nie przybliżyliśmy się do ustalenia celu wyprawy. Proponuję zatem, żeby Sammy zabrał nas na krajoznawczą wycieczkę po Kenii. Niech Gunther pojeździ sobie dla rozrywki. A potem wracajmy do Nairobi.

Kathy przestała go masować i stanęła obok.

- I co dalej? Wracamy do domu?

- Posłuchaj, Kathy. Przed chwilą przeszłaś niełatwą próbę. A jeśli będzie coraz gorzej? Jeżeli następnym razem regresja okaże się ponad twoje siły? Co wtedy?

Kathy spojrzała Braxtonowi w' oczy i położyła mu rękę na ramieniu.

- Doceniam twoją troskliwość, ale ufam Zeldzie.
- Ja także - dodał Eddie. - Zawsze panuje nad sytuacją. Mam pełne zaufanie do jej umiejętności.
- Niepohamowane reakcje emocjonalne nie są takie groźne, jak może się wydawać postronnemu obserwatorowi - wyjaśniła Zelda. - Uczucia muszą się uzewnętrznić, gdy zahipnotyzowany człowiek traci kontrolę nad sobą. Na tym między innymi polega hipnoza.

Braxton spojrział na nią z irytacją.

- Chcecie eksperymentować z czyjąś głową, w porządku. Ale co z Guntherem? Te dzisiejsze podchody mogły się fatalnie skończyć.

- Ale nie skończyły się - rzekł Eddie. - I zdobyliśmy cenne informacje.

- Nie poznaję cię, Eddie. Przecież Sammy nie wyciągnął maczety po to, żeby wycinać sobie drogę w chaszczach.

- Owszem, ale mimo grożącego niebezpieczeństwa jestem głęboko przekonany, że postępujemy właściwie.

Braxton przyjrzał się uważnie przyjacielowi.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Ed? Że mamy zapewnioną niezawodną boską opiekę?

- Wierzę, że jest nam pisane osiągnięcie naszego celu.

- Widziałeś, Ed, co Gunther zrobił z Sammym. Myślisz, że miałby skrupuły wobec kogokolwiek z nas?

Książd potarł rękoma twarz, a potem zupełnie bezwiednie złożył je jak do modlitwy.

- Chętnie z tobą jeszcze porozmawiam, Braxton. Ale jeśli pytasz,

co robić, to jestem za tym, żeby jechać dalej.

Braxton wyrzucił ręce w górę i skrzywił się z bólu.

- Świetnie, doskonale. Zostałem przegłosowany. A więc jedziemy dalej. Tylko powiedz mi: dokąd. Dokąd mamy jechać?

Zapadło niezręczne milczenie. Sammy odchrząknął.

- Czy mogę coś powiedzieć? - spytał.

- Oczywiście, Sammy - zachęcił Eddie.

- Zostałem waszym przewodnikiem i widzę, z jaką powagą traktujecie cel swojej wyprawy. Wielu rzeczy jednak nie rozumiem. Chciałbym, żeby ktoś mi pomógł. Wydaje mi się, że i wam przydałaby się taka pomoc. A jest ktoś, kto mógłby jej udzielić. Wybraniec losu, biegły w sztuce uzdrawiania i magii. On zna się na rzeczach niewidzialnych i niedostępnych dla zmysłów. Chciałbym go tu sprowadzić. Możliwe, że nam wiele wyjaśni.

- Mówisz o tym Masaju? - upewniła się Zelda. -Chciałbyś sprowadzić na pomoc Twambę?

- Tak, Zeldo. Nie lekceważ naszej wiedzy i zwyczajów. Od mieszkańców afrykańskiej ziemi można się wiele nauczyć. Możliwe, że Twamba objaśniłby to, co stanowi dla was zagadkę. On i ta ziemia to jedno. Zna każdą jej piędź. Jeżeli chcecie jechać dalej, to on, nie ja, powinien was prowadzić.

- Ale dlaczego miałby nam pomóc?

- Wysłucha nas i zrobi, co w jego mocy. Wielu zwracało się do niego, prosząc o wyjaśnienie wieści przesłanych ze świata duchów, i Twamba udzielał prostych i zrozumiałych odpowiedzi. - Sammy

uśmiechnął się dumnie. - Rozmawiał ze mną o Guntherze. Twamba nieustannie walczy przeciw bezmyślnemu zabijaniu zwierząt. Jest wielkim wojownikiem i mógłby nas chronić.

- Zdaje się, że nie możemy się bez niego obejść - skostatowała Zelda. - Masz jakieś zastrzeżenia, Braxton?

- Skoro jedziemy dalej, to czemu nie? Im większe towarzystwo, tym weselej.

- Jak się z nim skontaktujesz? - spytał Eddie.

- Jest Masajem, a jego plemię żyje w pobliżu. Pojadę tam teraz, jeśli się zgodzicie. Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, wrócimy razem. Zajmie to prawie całą noc, ale jutro rano moglibyśmy znów porozmawiać.

- Dobrze - rzekł Eddie i uściskał dłoń przewodnikowi. - Dziękuję ci, Sammy, że starasz się nam pomóc. Może rzeczywiście trzeba zwrócić się do ludzi zamieszkujących te ziemie. Wiem jedno: najlepsze, co nas spotkało na tej wyprawie, to twoje przewodnictwo.

Sammy uśmiechnął się nieśmiało.

- Wezmę mikrobus - rzekł. - Injai i Chegee na wszelki wypadek zostaną tutaj. Myślę, że nie grozi wam żadne niebezpieczeństwo, ale jeśli sobie życzyacie, zostawię broń.

- Nie ma potrzeby - rzekł Eddie.

- A więc do zobaczenia - powiedział Sammy. Siedzący cicho koło mikrobusu Injai wstał i podszedł

razem z Sammym do drzwi. Chwilę z nim porozmawiał, potem odsunął się do tyłu, a mikrobus odjechał znikając w ciemnościach.

Podchodząc do ogniska Injai wcale nie krył się z tym, że trzyma wielki nóż z rękojeścią z kości słoniowej.

- Po co ta maczeta, Injai? - spytał z dezaprobatą Eddie.
- Na wypadek, gdyby przybłąkało się jakieś zwierzę
- odparł Injai i wzruszył ramionami. Nie spojrzał księdzu w oczy, tylko popatrzył na pozostałych. Chegee powiedział coś do niego i poszedł gdzieś za namioty.

- Nie boisz się, Injai? - rzekł zaczepnie Braxton.
- Liczyłem, że pomożesz mi zachować zimną krew.
- Nie boję się nic a nic, Buddy - odparł Injai z promiennym uśmiechem. - Dopóki mam przy sobie tę maczetę.

Braxton roześmiał się, lecz zaraz potem Stęknął z bólu.

- Pozwolisz, że obejrzę twoje plecy - poprosiła Kathy.
- Dobrze, siostrze, jeżeli nie jesteś zbyt zmęczona.
- Nie jestem. Ale będziesz musiał gdzieś się położyć.
- Zapraszam do gabinetu - rzekł Braxton wskazując namiot.
- Jak myślisz, Eddie, możemy tych dwoje zostawić samych? - spytała żartobliwie Zelda.

- Trochę to ryzykowne - odparł z uśmiechem. - On nie jest aż tak bardzo poturbowany.

Braxton spojrzał zaskoczony na przyjaciela.

- Daj spokój, Ed. Ja nie udaję.
- Dam sobie z nim radę - powiedziała wesoło Kathy i uniosła brezentową płachtę. - Wejdz do środka, poturbowany młodzieńcze.

Zelda i Eddie popatrzyli na dwoje młodych wchodzących do

namiotu Braxtona i wymienili znaczące spojrzenie. W tym momencie wyłonił się z ciemności Chegee i wymruczał parę słów do Injaia.

- Coś się stało, Injai?

- Nie, ojczy - odparł Injai. - Chegee obszedł cały obóz. Nic się nie dzieje. Możecie spać spokojnie. Chegee będzie stał na straży.

Dobranoc.

Książdz ziewnął.

- No, Zeldo, idę spać. Tobie radzę zrobić to samo. Nie musimy czekać, aż Brax i Kathy stamtąd wyjdą.

Zelda spojrzała na namiot.

- Owszem. Ale czy nie będziemy mieli kłopotów z powodu tych dwojga?

Eddie kopnął w ogień nadpalone polano.

- Zawsze unikałem udzielania porad na temat uczuć rozkwitających między dwojgiem ludzi - powiedział. -Moje zdanie i tak by się nie liczyło. Zakochani słyszą tylko siebie. Wiem, że Braxton żywi do Kathy szczere uczucie. Powiedział mi o tym, żebym się nie martwił. Czy to, co się między nimi dzieje, jest właściwe? Nie wiem. Wiem tylko, że nic nie możemy na to poradzić.

- Chyba masz rację. Zresztą kto wie, może to wszystko jest niewyobrażalnie zawile. Oboje przecież znaleźli się na rysunku, który wyszedł spod ręki Kathy pod hipnozą.

Eddie skinął głową.

- Nie zapomniałem o tym - zapewnił. - Oni też nie. Chociaż Braxton nie jest specjalnie przekonany do naszego eksperymentu... Nie

zdenerwował cię, mam nadzieję, swoimi uwagami. Znam go od dawna, Zeldo. Stara się nam pomóc.

- Wiem. Po prostu mówi to, co myśli, jak my wszyscy. Żebym to ja wiedziała, co teraz robić. Przed ostatnim seansem liczyłam na jakieś konkrety.

- Ja także - przyznał Eddie. - Musimy brnąć po omacku dalej, nic innego nam nie pozostaje. Zauważyłaś, jak zmieniła się na twarzy, kiedy spytałaś o to miejsce ciemności? Jeszcze nie widziałem nikogo tak smutnego. Przyszedł mi na myśl Milton.

- Milton?

- Tak. „Raj utracony”. Tak wielki żal malował się na jej twarzy. Dziwne, cały czas spodziewałem się, że takie odkrycie pomoże mi pogodzić się ze światem. Pozwoli lepiej zrozumieć stan rzeczy. Wskaże nadzieję. Ale patrząc dziś na zasmuconą twarz Kathy pomyślałem, że może stać się coś wręcz przeciwnego. Odkrycie może położyć kres wszelkiej nadziei.

- Chyba w to nie wierzysz? - rzekła cicho Zeldo. Ksiądz westchnął głęboko i przeniósł spojrzenie z ogniska na spowite chmurami niebo.

- Pewnie nie. Wyprawilem się z wami wierząc, że jest nadzieja. Musi być jakaś nadzieja, która posłuży za tarczę przeciw niedolom tego świata, prawdą? Gdyby zabrakło nadziei, pozostałaby tylko rozpacz.

ROZDZIAŁ 16

Przez ściany namiotu sączyło się do środka słabe światło. Braxton odnalazł śpiwór i z jękiem na nim usiadł.

- Mam się rozebrać? - spytał niewinnie.
- Wystarczy, jeśli zdejmiesz koszulę - odparła Kathy z uśmiechem, klękając przy nim. - Pomogę ci.

Braxton rozpiął koszulę.

- Cholerny świat, jak można się tak załatwić.
- Już dobrze, uspokój się. Może uda się to nastawić. A na pewno złagodzę ci ból. - Kathy pomogła mu ściągnąć jeden rękaw, potem drugi. Odłożyła koszulę i delikatnie ułożyła Braxtona na wznak. - Przekręć się na brzuch. O tak. Znajdziemy ten bolesny punkt. Nie bój się.

- Mam do ciebie zaufanie - odparł Braxton i głęboko odetchnął. Kathy pewnymi palcami obmacywała mu plecy. - Niżej. Aaah. Właśnie tu.

- Oczywiście - powiedziała Kathy, umiejętnie masując dolne partie pleców. - Mięśnie są twarde i zbite. Nie napinaj ich. Staraj się całkiem rozluźnić.

Z głową odwróconą na bok, opartą na policzku, Braxton zamknął oczy i wypełnił polecenie. Kathy ugniatała go mocno, okrężnymi ruchami. Odczuł niemal natychmiastową ulgę, odetchnął głęboko i pomyślał, że musi się odprężyć.

- Teraz lepiej - powiedziała Kathy, zataczając dłońmi coraz szersze kręgi.
- Masz zręczne ręce, moja pani. Czy powinienem zamilknąć?
- Nie, możesz mówić. - Kathy zaczęła masować czułe miejsce w odwrotnym kierunku. - Tylko się nie napinaj.
- Dobrze. Już lepiej się czuję. Przepraszam, że tam, przy ognisku, okazałem brak entuzjazmu. Ale ty tak bardzo przeżywałaś ostatni seans. Nie jestem pewien, czy warto cię narażać na kolejne takie przeżycia podczas hipnozy. One nie mogą pozostać bez śladu, niezależnie od kwalifikacji Zeldy.

Kathy na moment przerwała masaż.

- Owszem, pozostawiają ślad - powiedziała, znów wprawiając w ruch dłonie. - Brak mi słów na opisanie żalu, jaki mnie ogarnął, kiedy Zeldą poleciła mi spojrzeć poza światło. Nic nie zobaczyłam, ale wiem, co poczułam, i jakie słowo przyszło mi na myśl.

Braxton przekreślił się na bok i podparł na łokciu.

- Wypowiedzenie tego słowa można rozmaicie wyjaśnić.
- Nie - odparła stanowczo Kathy. - Jest jakiś powód i dlatego się nie wycofam. Chcę zobaczyć, co wywołało we mnie taki ból i smutek. Jeżeli ma to coś wspólnego z moją matką i jej śmiercią przy porodzie, to... muszę o tym wiedzieć. - Potrząsnęła głową, żeby powstrzymać łzy, które cisnęły jej się do oczu. - A niech to. Nie będę znów płakać jak idiotka.

Braxton podparł się wyżej, usiadł i wziął Kathy za rękę.

- Dlaczego nie? Chcesz płakać, to płacz. Pomogłaś mi złagodzić

mój ból.

Kathy spróbowała się uśmiechnąć, ale nie panując nad sobą padła mu w ramiona. Nie rozszlochała się bez opamiętania, popłynęły tylko ciche łzy. Mijały minuty, a ona wypłakiwała się cichutko na ramieniu Braxtona. Braxton, znajomy od kilku zaledwie dni, tulił ją do siebie, kołysał i szeptał jej imię, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem.

Kiedy odsunęła się od niego, uśmiechając przez łzy, w jej orzechowych oczach jaśniała serdeczna wdzięczność.

- Widzisz, już panuję nad sobą - powiedziała. Braxton uśmiechnął się z z troskaniem, odgarniając z jej twarzy rudy kosmyk.

- Tak, widzę.

- Aż trudno uwierzyć - rzekła potrząsając głową. - Za każdym razem, kiedy z tobą rozmawiam, zalewam się łzami.

- Może po prostu wiesz, że to nic nie szkodzi. Pochlebia mi, że czujesz się przy mnie tak dobrze.

- W każdym razie dziękuję ci. Ten seans chyba kosztował mnie więcej, niż myślałam. - Kathy pochyliła się i przesunęła ręką po plecach Braxtona. - Jak się czujesz? Czy znowu cię nie wykręciło, kiedy się na tobie oparłam?

- Naprawdę ozdrowiałem - odparł patrząc jej w oczy. - A tuląc cię, poczułem się jeszcze lepiej.

Kathy pociągnęła nosem i otarła twarz wierzchem dłoni.

- Na pewno wspaniale wyglądam?

- Ależ tak, jeśli mam być szczery - rzekł przeciągając palcem

wokół jej twarzy. - Cudownie.

- Pójdę już.

- Może jednak zostaniesz.

- Braxton...

- Nie jestem pewien, czy przeszło mi na dobre. Może ból powróci. Dobrze by było, żebyś jeszcze mnie popielegnowała. Co ty na to? - Ujął Kathy za rękę i przyciągnął do siebie. Zamiast psotnej miny, na jego twarzy odmalowała się bezradna czułość. - Nie chcę, żebyś odeszła, Kathy - powiedział cicho. - To się dzieje tak szybko, nie wiem dlaczego, ale nie mogę i nie chcę nad tym zapanować. Wierz mi, naprawdę nie chcę, żebyś kiedykolwiek ode mnie odeszła.

Kathy poczuła przyływ jakiegoś nowego uczucia. Wiedziała, że cokolwiek się zdarzy, nie chce i nie może się przed tym bronić.

Braxton nachylił powoli głowę i pocałował ją, najpierw lekko, potem mocniej, ale zadziwiająco delikatnie jak na silnego mężczyznę.

Spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich przyczynę tej delikatności. Nie mogła się mylić - Braxtonowi naprawdę na niej zależało.

Chciał coś powiedzieć, ale przytknęła mu palec do ust i potrząsnęła głową z uśmiechem.

- Wiem, nie musisz mówić - rzekła bez troski. - Galaretka owocowa.

Znów znalazła się w jego ramionach. Tuląc się do niego, odczuła nagły przyływ niepokoju. Policzki zwilgotniały jej od łez, ale to zdawało się nie mieć znaczenia, bo Braxton nie wypuszczał jej z objęć.

- Wszystko będzie dobrze, Kathy - szeptał tkliwie, całując jej oczy, policzki i usta. - Obiecuję. Wszystko będzie dobrze.

Zarzuciła mu ręce na szyję i całowali się coraz namiętniej. Pomagała mu, gdy zaczął ją delikatnie rozbierać. Musnął dłonią jej pierś. Kathy przywarła do jego ust, ogarnięta podnieceniem.

Wsunęła się do śpiwora obok Braxtona, lgnąc do niego całym ciałem. Rozkoszowała się podniecającym dotykiem jego ciepłych dłoni, które wędrowały po jej skórze. Wzbierała w niej żądza, nie tylko zmysłowa. Paliło ją pragnienie, by pozbyć się dręczących uczuć, zatracić w miłosnym uniesieniu, które pozwala, choćby na krótko, zapomnieć o wszystkim.

Nieoczekiwanie naszło ją widzenie. Otworzyła oczy i spojrzała na ciemne płótno namiotu. Poruszały się na nim cienie jak jęczory płomieni w ścianie ognia, groźnego ognia, który czyhał, by ją strawić w męczarniach. Zesztywniała, nie mogąc odpędzić przerażającej wizji.

- Kathy? - odezwał się cicho Braxton, unosząc głowę.

Usiadła, niepomna nagości. Bez słowa wyczołgała się ze śpiwora, odsunęła płachtę przy wejściu i zmusiła się do wyjrzenia w ciemności... wypatrując straszliwych płomieni.

Nic takiego nie zobaczyła. Ognisko tliło się, dokoła panował mrok, grzmiała nadciągająca burza.

- Coś się stało? - spytał Braxton. Podniósł się, dotknął jej pleców i objął ją.

- Zobaczyłam płomienie... jak w regresji, i przeraziłam się.

Pogłaskał jej ramiona.

- Czy już przeszło? Nic ci nie jest? Odwróciła się i pocałowała go.

- Tak. Przepraszam. To było głupie, ale nie mogłam nad sobą zapanować. Musiałam wyrzeć przed namiot... upewnić się.

- Nie ma w tym nic głupiego. Wizja może być tylko przywidzeniem, ale wywołuje prawdziwe uczucia, które wymuszają reakcje.

- Zawsze jesteś taki wyrozumiały? - spytała tuląc się do niego. - Wyskoczyłam z tym zupełnie nie w porę.

- Ależ jeszcze nie skończyliśmy - zapewnił ją z uśmiechem. Chciał spuścić płachtę, ale powstrzymała go.

- Zostaw uchylone. Proszę. Tak lepiej się czuję.

- Dobrze - odparł patrząc na rozświetlone błyskawicą niebo. Sammy miał rację. Będzie padać.

- Braxton - powiedziała Kathy zagładając mu w oczy i pieszczotliwie dotykając jego twarzy. - Słusznie domyślałeś się, że te seanse pozostawiają ślad. Biorę się w garść, ale kiedy najdzie mnie coś takiego, jak przed chwilą, umieram ze strachu. Boję się, czuję się taka zagubiona, że... nie wiem, co jest prawdą, a co tworem wyobraźni. Trudno o gorszy moment na wiązanie się z drugą osobą, a jednak bardzo tego chcę. I jestem tym przerażona. Czy to, co się teraz dzieje między nami, jest prawdziwe?

- Dla mnie jak najbardziej - zapewnił Braxton. Wziął ją za rękę i zaczął całować jej palce.

- Ale jeżeli poczujesz rozczarowanie, nie mów mi tego, aż

wrócimy z wyprawy. Tak długo byłam samotna, że nie zniosłabym, gdybym teraz została sama.

Kathy dojrzała w oczach Braxtona odbicie własnego bólu. A więc rozumiał ją, czuł to samo co ona.

- Cii, nic nie mów - powiedział wzruszonym głosem. - Kochana Kathy. Żadne z nas już nigdy nie będzie samotne. Jestem tu i zostanę przy tobie. Nie jesteś sama. Zakochałem się w tobie. Słyszysz?

„Słyszę cię, słyszę”, huczało w głowie Kathy, ale ze wzruszenia nie mogła nic powiedzieć. Wyraziła swoje uczucia namiętnością, która niepowstrzymanie zagarnęła ich oboje.

Gdzieś poza obozem zaryczały lwy, ale kochankowie pozostali głusi na te odgłosy. Kathy zadrzała, jakby uwolniła się od wielkiego ciężaru. Zakiełkowała w niej bezgraniczna radość.

Błyskawica przecięła niebo na pół i pierwsze krople zabębniły w płótno namiotu. Dwoje ludzi spotkało się w miłosnym akcie, aż rozmył się świat, a wraz z nim dręcząca ich samotność.

Padało coraz mocniej, ale Braxton i Kathy nie zwracali na to uwagi. Leżeli otuleni śpiworem, rozgrzani miłością. Kathy przytuliła się do Braxtona, pocałowała go w szyję i pomasaowała mu plecy tam, gdzie go przedtem bolały.

- Jak twój krzyż? Lepiej?

- Mmm - mruknął przesuwając dłonią po jej plecach aż do bioder. - O wiele lepiej. Ta metoda jest chyba nawet skuteczniejsza od masażu.

- Możliwe - odparła z uśmiechem. - Ale pozwól, że na wszelki wypadek jeszcze cię pomasuję przed zaśnięciem.

Braxton przeciągnął się i skrzywił.

- Może masz rację. Naprawdę chcesz to zrobić?

- Oczywiście. - Kathy odsunęła wierzch śpiwora i usiadła. - No dalej, przewróć się.

Do namiotu wpadały teraz nikłe refleksy światła. Gdyby Kathy pomyślała przez chwilę, uzmysłowiłaby sobie, że deszcz przygasił ognisko, a Chegee z jakiegoś powodu nie rozпалиł go na nowo. Ale stan ogniska nie przyszedł na myśl Kathy, która czuła na sobie badawcze spojrzenie Braxtona.

- Za chuda czy za gruba? - spytała. Sprawiało jej przyjemność, że tak na nią patrzy, i znów obudziło się w niej pożądanie.

Braxton położył jej ręce na biodrach i powoli przesunął w górę, aż objął piersi.

- Jesteś w sam raz.

Chwyliła go za ręce, przyciągnęła je do ust i pocałowała

- Ty też jesteś niezgorszy, w kąpielówkach i bez. Radzę ci się odwrócić, bo masaż przypadnie na rzecz metody numer dwa.

- Kusząca perspektywa - rzekł przekręcając się na brzuch. - Ale mógłbym do końca życia zostać inwalidą.

Kathy nachyliła się i zaczęła metodycznie rozcierać mu plecy.

- Odpręż się. Nie myśl o niczym. Najlepiej zaśnij.

- Jestem odprężony, ale nie zasnę, póki mnie kuszą twoje obnażone wdzięki - wymamrotał.

- Przestań mówić i zrelaksuj się- odpowiedziała, usuwając zręcznymi palcami resztki napięcia z jego mięśni.

- Jak siostra każe. - Braxton odetchnął głęboko. Przeszył go dreszcz rozkoszy, gdy Kathy pocałowała go w plecy. Rozmasowywała mu nogi, pośladki, znów plecy i ramiona. Nuciała przy tym jakąś melodyjkę.

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się tak błogo. Ogarnęła go raptem chęć, by znów zwierzyć się Kathy ze swoich uczuć. Postanowił zrobić to po masażu.

Zmogło go jednak wszechogarniające odprężenie. Ostatnią myślą na jawie przyznał słuszność staremu przyjacielowi Eddiemu Fitzsimmonsowi - pierwszy raz w życiu zrezygnował z dystansu i poszedł za głosem serca. Dało mu to poczucie bezgranicznego szczęścia.

Plecy Braxtona zaczęły rytmicznie unosić się i opadać. Kathy pojęła, że zasnął. Z zawodową wprawą przebiegła palcami po mięśniach u dołu pleców. Udało jej się prawie całkiem je rozluźnić. A więc Braxton powinien rano poczuć się lepiej.

Siedziała nieruchomo, patrząc na rysującą się w ciemnościach sylwetkę nagiego mężczyzny. Próbowwała uprzytomnić sobie, co razem przeżyli. Nie mogła się nadziwić, że w jej życiu pojawił się ten człowiek - ironiczny, dowcipny, a zarazem wrażliwy i pełen zrozumienia. Zwłaszcza że nastąpiło to w tak dziwacznych i niepewnych okolicznościach.

Może to znak, myślała. Może to nie przypadek i obróci się ku

dobremu, jak wierzył Eddie. Może te poszukiwania pomogą jej rozwikłać uczucia do matki, której nie znała.

Potrząsnęła głową, ciężką od rozmyślań o matce i uczuciach wywołanych przez regresję. Nie chciała teraz tym się zajmować. Mogą to omówić jutro, po powrocie Sammy'ego z Twambą. Ta noc należała do nich dwojga. Kathy marzyła tylko o tym, żeby wsunąć się do śpiwora i zasnąć, czując przy sobie Braxtona.

Uzmysłowiła sobie nagle z irytacją, że musi najpierw zrobić siusiu. Zadrżała. Teraz, po deszczu, znacznie się ochłodziło. A może po prostu odczuła chłód, bo siedziała nago? Uśmiechnęła się i pogłaskała śpiącego Braxtona. Nie szkodzi, że zimno. Nagość przy nim jest taka przyjemna.

Zastanowiło ją coś innego. Było ciemniej. Ognisko nie płonęło. A przecież Chegee pełnił straż i powinien je podsycać, nawet w czasie deszczu. Wsłuchiwała się w odgłosy nocy. Wydało jej się, że lwy ryczą bliżej i groźniej. Przeklęła w duchu. Nie chciała wychodzić z namiotu, ale musiała.

Sięgnęła nad Braxtonem po koc leżący pod ścianą namiotu, żeby się nim osłonić przed deszczem. Jakiś cień padł na namiot i Kathy wstrzymała oddech. A może to wcale nie był cień? Nie była pewna, zresztą zniknął.

Dość tego, powiedziała sobie. Trzeba przezwyciężyć lęk. Tam na zewnątrz nic nie ma. Przecież omal nie zepsuła miłosnej gry, gdy coś jej się przywidziało i musiała wyrzeć z namiotu. Otuliła się kocem.

Frank Gunther przeklinał pecha i zaczynał się niepokoić, choć krył się z tym przed Dogiem. Na początku poszło jak z płatka. Silny cios kolbą w potylicę unieszkodliwił strażnika. Zresztą Gunther nie oczekiwał trudności. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakiś czarnuch go przechytrzył. W całym obozie wisiały już ociekające krwią kawały mięsa, które powinno przyciągnąć lwy jak padlina muchy.

Gunther rozciął od tyłu trzy namioty, ale nie było w nich dziewczyny. Martwiło go też, że nie było Sammy'ego. Liczył po cichu na spotkanie z tym gnojkiem, a teraz nie mógł go znaleźć. Ani tego pismaka, Hicksa. Poza tym zniknął mikrobus. Zbyt wiele niewiadomych. Nie podobało mu się to.

A niech tam, do diabła z Sammym, pomyślał. Pozostał jeden namiot i lepiej, żeby ta dziewczyna w nim była. Mając za sobą zwalistego Doga Bassetta, podszedł od tyłu do ostatniego namiotu.

Ostrzegł go jakiś szósty zmysł. Jak zawsze. W czasie wojny nieraz ratował go z opresji. Zbliżając się do tylnej ściany namiotu wyczuł w środku jakiś ruch. Natychmiast cofnął się pod drzewa, a Dog za nim. Frank dał znak, że chwilę zaczekają w ciemnościach, na deszczu. Wyuczona na wojnie zasada. Nigdy nie wpadać w panikę. Daleko posunięta ostrożność, zwłaszcza w nocy, przynosi zwycięstwo. Jeśli, oczywiście, nie nadjedzie raptem ten cholerny mikrobus.

Mijały sekundy. Ponowny szelest i ruch potwierdziły słusność taktyki Franka. Z najbliższego namiotu wyszedł ktoś owinięty kocem, odszedł na bok i kucnął.

Gunther uśmiechnął się cierpko. Może jednak szczęście mu

sprzyja? To musi być kobieta, a w obozie były tylko dwie. Tę grubą widział śpiącą w drugim namiocie, w którym rozciął płótno. A więc mieli przed sobą tę, po którą się wyprawili. Miło, że wyszła. Ułatwiła im zadanie. Resztę mógł zostawić lwom. Dał znak Dogowi. Dobra jest, twardzielu. Bierzmy ją.

W prawej ręce Gunthera pojawiła się strzykawka. Dog Bassett skinął głową i wyszedł spod osłony drzew. Plan był dziecinnie prosty. Dog jako silniejszy miał złapać dziewczynę, a Frank zrobić zastrzyk. Prosta sprawa.

Ku zdziwieniu Franka, Dog ruszył szybko i zwinnie jak kot. Złapał dziewczynę, lewą ręką zakrył jej usta i przydusił do ziemi, oplatając nogami. Koc zsunął się z niej i Frank, który miał wzrok nawykły do ciemności, dostrzegł, że była całkiem naga.

Przytrzymując ofiarę pewnym chwytem, Dog skinął na Gunthera. Frank podszedł bliżej. Na jego widok kobieta zaczęła się szarpać i wyrywać, ale Bassett był silny i nic sobie nie robił z jej szamotaniny. Frank wbił igłę w biały pośladek i pchnął tłok.

Dog bez wahania podniósł bezwładne ciało razem z kocem i ruszył w stronę drzew, skąd przyszli. Frank otarł mokrą od deszczu twarz i posłuchał ryku lwów. Doświadczone ucho pozwoliło mu ocenić, jak blisko podeszły. Rozejrzał się szybko dokoła.

Obóz bez ogniska. Dawniej sam zapach człowieka mógłby odstraszyć lwy. Teraz to się zmieniło dzięki hordom turystów. Frank też słyszał o niezwykle licznych stadach lwów w okolicy. Musiały być ciągle głodne. A świeże mięso porozwieszane w obozie jak ozdoby

choinkowe powinno je przyciągnąć i rozjuszyć.

Myślał o tym, goniąc za oddalającym się szybko Dogiem. Po drodze przeskoczył przez leżącego nieruchomo strażnika. Biegając widział przed sobą rozkołysane ręce i głowę nieprzytomnej dziewczyny przewieszanej przez ramię Doga. Nie do wiary. Dog jakby nie zauważył jej nagości. Frank nie byłby sobą, gdyby nie zareagował na taki widok.

ROZDZIAŁ 17

To był ryk. Rozbrzmiewający bez końca ryk, który wypełnił mu czaszkę i wybudził z głębokiego snu.

Braxton otworzył oczy.

Ciemno. Odrzucił śpiwór i usiadł. Potrząsnął głową, żeby prędzej oprzytomnieć. Był w namiocie. Panowała noc. Deszcz tłukł w płócienny dach i ściany.

Ale to nie wszystko.

Ryk, który wybił go ze snu, wcale nie ustał. Rozbrzmiewał naprawdę. Tuż koło namiotu. Ogłuszający ryk drapieżników.

A skąd te krzyki?!

- Kathy - wymamrotał Braxton czując, że robi mu się niedobrze. -
O Boże, Kathy, gdzie jesteś?

Gorączkowo chwycił spodnie, włożył je i zapiął. Znieruchomiał

na chwilę, patrząc na leżące na kupce ubranie Kathy. Nie rozumiał, gdzie mogła się podziać, jeśli zostawiła ubranie. Zgarnął ze śpiwora latarkę i potykając się podszedł do wyjścia. W tym momencie przeświectliły płócienną ścianę dwa silne snopy światła i zatrąbił klakson.

- Mikrobus - powiedział na głos, odsuwając płachtę zakrywającą wyjście z namiotu. - Sammy!

Wytknął głowę na deszcz i patrzył nie rozumiejąc na chaotyczną bieganię. Jakieś kształty poruszały się w ciemnościach, przelatywały przez snopy światła i znów znikwały. Po chwili je rozpoznał. Lwy. Zdawało się, że są wszędzie, choć niewiele było widać, bo światła rozpedzonego mikrobusu wciąż się przesuwają. Pojazd zderzał się z głuchym łoskotem z przebiegającymi zbyt blisko cielskami.

Reflektory oświetliły inny fragment rozgrywającej się sceny, znowu rozległ się klakson, a Braxton wyteżył wzrok, żeby pojąć coś z tego zamieszania. Otarł twarz, w którą siekł deszcz. Musi coś widzieć, do cholery! Zrozumieć, co się dzieje. Rozglądał się gorączkowo. Gdzie jest Kathy?

Światło reflektorów padło na jakiś punkt po przeciwnej stronie obozu i mikrobus gwałtownie zahamował. Kilka żerujących lwów podniosło łby i spojrzało wprost w oślepiający blask. W tym momencie jakiś lew doskoczył z boku, chcąc dorwać się do mięsa, ale wielki samiec warknął i przegonił intruza łapą.

Braxton przyjrzał się uważnie i zaparło mu dech. Lwy pożywiały się nie martwym zwierzęciem, lecz trupem człowieka. To był siwowłosy wuj Sammy'ego, Chegee... a raczej jego szczątki. Lwica

zaczęła zęby na rękę człowieka i szarpnęła tak mocno, że całe ciało plasnęło w błocie. Lew zatopił zęby w miękkim brzuchu. Z głośnym łoskotem otworzyły się drzwi mikrobusu i lew uniósł łeb. Zwisiał mu z pyska kawałek oddartej skóry i kapąło coś ciemnego, na pewno nie woda.

Kierując latarkę w stronę mikrobusu, Braxton dostrzegł wybiegającego na deszcz Sammy'ego ze sztucerem. Sammy przyłożył broń do ramienia i celując w powietrze wystrzelił. Huknęło, błysnęło i otaczające trupa lwy pierzchły. Sammy zarepetował i wystrzelił drugi raz. A potem trzeci.

Spłoszone lwy ryczały i miały się po obozowisku. Braxton skierował latarkę tam, gdzie rozbili się Afrykańczycy. Ich namioty leżały w nieładzie na ziemi, poszarpane na strzępy.

Obawiając się najgorszego, Braxton poświecił w stronę namiotu Zeldy. Z ulgą stwierdził, że płócienna konstrukcja stoi nienaruszona. Wejścia do namiotu bronił Injai, uzbrojony w ostro zakończoną część namiotowego masztu. Gdy padło na niego światło latarki, zawołał do Braxtona:

- Zostań tam, Buddy! Nie ruszaj się! Ojciec Eddie jest z nami. Udało mu się doczołgać. Zostań z Kathy! Nie wychodź z namiotu!

Injai z całych sił dźgnął masztem przebiegającego obok lwa. Ani niesamowita sytuacja, ani grożące niebezpieczeństwo nie dotarły do świadomości Braxtona.

Ogarnęło go przerażenie, gdyż zdał sobie sprawę z druzgocącego faktu, że Kathy zniknęła. Ale gdzieś przecież musiała być. Tylko

gdzie? Musiał ją znaleźć. O niczym innym nie myśląc, odepchnął się od namiotu i ruszył w zacinający deszcz i ciemność, w której krążyły rozszalałe drapieżniki.

- Buddy, nie... - zawołał Injai. Ledwie go było słycać.

Ale Braxton brnął naprzód, słuchając tylko głosu swojej rozpaczki. Wtem z ciemności wyskoczyło na niego rozpędzone, warczące zwierzę. Braxton zatoczył się i padł twarzą w błoto.

Wyczuwając, że bolesne zderzenie z lwem było przypadkowe, obrócił się na plecy i unióśł ręce, żeby bronić się przed ewentualnym atakiem. Zaczął się podnosić i wówczas spostrzegł zbliżającą się sylwetkę. Nie był to jednak lew. Zza mikrobusu wyszedł prosto na niego czarny olbrzym. To mógł być tylko Twamba!

Masaj wymachiwał wysoko nad głową włócznią i przeraźliwie krzyczał. Gdy podszedł bliżej, przełożył wielką tarczę do ręki, w której trzymał włócznię. Wolną ręką, zdawałoby się bez wysiłku, podniósł Braxtona i pobiegł z nim do mikrobusu.

Rozległo się jeszcze kilka wystrzałów. Braxton czuł woń prochu. Sammy odsunął się od otwartych drzwi mikrobusu robiąc miejsce dla Braxtona, którego Masaj położył na ziemi.

Wojownik krzyknął coś do Sammy'ego. Ten skinął głową, opuścił strzelbę i odpowiedział w suahili. Twamba odszedł, a Sammy przyklęknął obok Braxtona.

- Jesteś ranny? - spytał zaniepokojony.

Braxton słyszał cichnące porykiwania lwów. A więc oddalały się od obozu. Potrząsnął ciężko głową.

- Ja nie... Kathy... - wykrztusił.

Ale Sammy nie słuchał, wstając na powitanie spieszącym pod eskortą Masaja pozostałym członkom wyprawy. Idący na końcu Injai zaczął głośno mówić, zanim jeszcze doszedł do mikrobusu.

- Sammy, to się stało tak nagle. Lew wszedł do namiotu. Namiot się przewrócił, skoczyłem, złapałem maszt. Wszędzie pełno lwów. Nagle. Bez żadnego ostrzeżenia. Ognisko wygasło. Nie ma Chegee. Potem zobaczyłem przy nim lwy. Już nie żył. Nie mogłem nic zrobić. Pobiegłem na pomoc innym. Nie wiem, Sammy, jak to się stało. - Injai zatrzymał się przy mikrobusie i spojrzał na leżącego Braxtona. - Buddy, nic ci nie jest? Dlaczego wybiegłeś?

Na suficie mikrobusu ćmiły bladym światłem lampy, zapalające się automatycznie po otwarciu drzwi, koło których skupili się przemoczeni ludzie. W zielonkawej poświacie ledwie się widzieli. Kiedy Braxton powiedział w końcu, że nie ma Kathy, twarz Zeldy zmartwiała, a wstrząśnięty Eddie z niedowierzaniem otworzył usta.

- O nie, Braxton - szepnął ksiądz. - Tylko nie lwy.

- Nie wiem, Ed - rzekł Braxton z rozpaczą. - Nie było jej.

Obudziłem się, kiedy rozpętało się to piekło, a jej nie było.

- Ale była przy tobie, kiedy zasypiałeś? - upewniła się Zelda drżącym głosem.

- Tak. Nie widzę w tym żadnego sensu. Lwy nie wdarły się do namiotu. A sama by przecież nie wyszła.

- Może wpadła w panikę, kiedy usłyszała ryki. Chciała przedostać się do innego namiotu, albo... - Eddie nie dokończył

wyjaśnienia, w które sam nie wierzył.

- Eddie, zostawiła ubranie w namiocie. Wszystko, rozumiesz?

Nie poszłaby nigdzie bez ubrania.

Ksiądz zmarszczył brwi, jakby coś sobie przypomniał.

- Kiedy się obudziłem, mój namiot miał dziurę, ale śladów zwierząt nie było. Zupełnie jakby ktoś przeciął tylną ścianę. Kiedy dotarłem do twojego namiotu, Zeldo, zauważyłem to samo.

Zelda spojrzała pytająco na Eddiego.

- Rzeczywiście, od razu ją zauważyłam, ale...

- Sammy! Ojcie! - krzyknął Injai. - Dlatego lew tak nagle znalazł się w namiocie. - Nie czekając na odpowiedź, pobiegł w stronę namiotu Zeldy. Po chwili w ciemnościach rozległo się wołanie: - Przecięty! Z tyłu przecięty!

Sammy spojrzał na Braxtona.

- Z twoim namiotem było to samo? - spytał.

Braxton potrząsnął głową, usiłując sobie przypomnieć. Kiedy rozglądał się w środku namiotu, było zupełnie ciemno.

- Nie - odparł. - Na pewno bym zauważył.

- Injai! - zawołał Sammy. - Sprawdź namiot Braxtona!

- Po przecięciu tamtych namiotów wiedzieli, że Kathy jest u Braxtona - powiedział Eddie.

- *Hapana* - zawołał Injai. - Nie przecięty! Zelda niespokojnie otarła mokrą od deszczu twarz.

- Myślisz, Ed, że to oni...? Ksiądz posępnie pokiwał głową.

- To by wyjaśniało, dlaczego Chegee nie czuwał. Dlaczego

wygasł ogień. Sammy?

Przewodnik patrzył przez chwilę na Eddiego, zaciskając szczęki. Spojrzał na pozostałych, potem znów na Eddiego i w końcu przemówił, nie zwracając się jednak do Eddiego, lecz do stojącego nie opodal Masaja. Twamba wysłuchał go, bez słowa odwrócił się i odszedł. Wrócił Injai.

- Musimy się spieszyć - powiedział Sammy. - Trzeba szybko przeszukać teren. Lwy nie ciągną swojej ofiary po ziemi. Jeżeli Kathy jest tutaj, to ją znajdziemy. Z pewnością jednak słuszny jest domysł Eddiego. Musimy jak najszybciej zwinąć obóz. Wrzućcie wszystko jak leci do mikrobusu. Niedługo Twamba wróci z obozu Gunthera i dowiemy się więcej. A teraz nie traćmy czasu.

Injai wskoczył do mikrobusu i przyniósł dwie latarki. Rozdzieleni na grupki, przemierzali obóz i przyległy teren. Nie było Kathy. Zabrali się więc do zwijania obozu.

Braxton składał namioty z Eddiem, mając do pomocy Injaia, a Sammy pomagał Zeldzie. Deszcz padał coraz rzadszy, co ułatwiało pracę, ale Braxton znów poczuł ukłucia bólu, choć starał się tego nie okazywać. Szarpiąc kołek przed namiotem, pośliznął się w błocie i upadł. Eddie nachylił się nad nim, chwycił za rękę i pomógł wstać.

- Nic ci nie jest, Brax? - spytał.

- Nie, ale znów mnie łupnęło w krzyżu, kiedy przewróciłem się przy wychodzeniu z namiotu - odparł Braxton. Był zły na siebie. Uwolnił się z rąk księdza, zgarnął mokre płótno i wyprostował się z trudem. - Bierzmy to do mikrobusu.

Razem ponieśli mokry namiot. Z pomocą Sammy'ego wpełnęli go przez drzwi i właśnie wrzucali na siedzenia w pierwszym rzędzie, gdy pomiędzy drzew wyszedł masajski wojownik.

Sammy zeskoczył ze schodków. Braxton odwrócił się i spostrzegł, że prócz szerokiej tarczy i długiej ozdobnej włóczni olbrzymi Masaj jest uzbrojony w krótki zakrzywiony miecz, zatknięty z prawej strony za pas. Masaj przemówił do Sammy'ego, patrząc mu w oczy i zachowując całkowity spokój. Nie był nawet zdyszany i nie zwracał najmniejszej uwagi na mżący deszcz.

Sammy wysłuchał go uważnie, a potem spytał:

- *Lini?*

Braxton przypomniał sobie, że w języku suahili znaczy to: „kiedy”. Wojownik odpowiedział krótko i niezrozumiale dla Braxtona. Sammy w porywie gniewu walnął pięścią w blachę pojazdu.

- Obóz jest pusty - wyjaśnił z goryczą Sammy. - Twamba mówi, że odjechali dwie, może trzy godziny temu. Gunther wystrychnął mnie na dudka, Eddie.

Braxton przytrzymał się drzwi.

- Myślisz, że Gunther zabił Chegee?

- Nie musiał - odparł Sammy. - Ogłuszył go, żeby nie wszczął alarmu i nie podsycił ognia. Resztę pozostawił lwom. Znalazłem porozrzucone po obozie kawały surowego mięsa. Na pewno po to, żeby przyciągnąć lwy. Gunther wszystko przewidział.

Injai, któremu pomagała Zelda, podszedł do mikrobusu, uginając się pod ciężarem dwóch mokrych namiotów.

- Czego się dowiedział? - spytała.

Eddie podszedł do Zeldy, a Sammy z Masajem dźwignęli namioty przez drzwi do środka. Na rozkaz Sammy'ego Injai natychmiast wskoczył do mikrobusu na fotel kierowcy. Wcisnął rozrusznik i silnik zakaszłał.

- Obóz jest pusty, Zeldo - wyjaśnił Eddie. - Odjechali i na pewno zabrali Kathy.

- O mój Boże, nie - krzyknęła Zelda przytrzymując się Eddiego, żeby nie upaść.

- Wsiadajcie! - ponaglił ich Sammy, stojąc w drzwiach. -
Odjeżdżamy!

Eddie spojrzał na niego i zmarszczył czoło.

- Sammy, musimy pochować Chegee. Nie można go tak zostawić.

- To już nie jest Chegee. - Sammy potrząsnął głową. - My żyjemy inaczej, Eddie. Pochówek to zwyczaj białych. Ciało zagrzebane w ziemi niszczy trawę, a trawa jest pożywieniem żywych. Mięso tak samo.

- Sammy, jesteś cywilizowanym człowiekiem. To jest twój wuj. Nie możesz...

- Tak nakazuje twoja religia, Eddie - ciągnął Sammy. - Już ci mówiłem, tutaj śmierć nie podlega normom moralnym. Żyję tak, jak żyje sawanna. A teraz wsiadajcie, bardzo was proszę.

- Nie, musisz poczekać - rzekł Eddie głosem nie znośącym sprzeciwu. Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął oprawną w skórę

książeczkę. - Rób, jak uważasz, ale ja zmówię nad tym człowiekiem modlitwę.

Przewodnik zaczął coś mówić, ale umilkł patrząc na Eddiego, który podszedł do leżącego w błocie, zmasakrowanego ciała. Zelda weszła do mikrobusu i usiadła za przygarbionym Braxtonem.

- Wszyscy chcielibyśmy już odjechać, Sammy, ale musimy poczekać - rzekł słabym głosem Braxton i spojrzał na Zeldę. - Popatrz tylko. Eddie ma wiele wątpliwości dotyczących wiary, ale moim zdaniem martwi się niepotrzebnie. Jest sługą bożym, jakich niewielu chodzi po świecie.

Wszyscy popatrzyli na człowieka, który przyklęknął w błocie koło szczątków wuja Sammy'ego. Eddie otworzył książeczkę i uniósł rękę nad martwym ciałem. Deszcz ustał i podniosła się mgła. Ksiądz poruszał się jakby w świetlistym obłoku.

Eddie wstał, a Sammy zwrócił się do stojącego obok Masaja. Po krótkiej rozmowie wysoki wojownik odszedł, mijając się przy drzwiach z księdzem. Sammy wychylił się i wyciągnął rękę. Eddie przytrzymał się jej i wsiadł do mikrobusu.

- Zrozum mnie, proszę- rzekł Sammy, nie puszczając ręki Eddiego. - Masz rację. Chegee był moim krewnym. Znałem go od dziecka, pracował z moim ojcem. Ale teraz nie mam czasu go oplakiwać. Jego już nie ma. Nic nie mogę dla niego zrobić. Muszę teraz pomóc waszej przyjaciółce.

- Rozumiem, Sammy. Ale tak jak ty, muszę postępować zgodnie ze swoimi przekonaniem. - Eddie uniósł drugą rękę, w której trzymał

ubłoconą maczetę. - Pomyślałem, że zechcesz to zatrzymać.

Przewodnik skinął głową i puścił dłoń księdza. Maczetę wsunął pod fotel kierowcy, przy którym stał, i dał Injaiowi znak odjazdu.

Mikrobus ruszył, przechylając się na nierównościach terenu.

ROZDZIAŁ 18

Mikrobus gwałtownie podskoczył, przejeżdżając głęboką koleinę w rozmięklej ziemi. Eddie uniknął upadku, przytrzymując się oparcia sąsiedniego siedzenia. Sammy chyba tego nie zauważył, bo w skupieniu wyglądał przez przednią szybę.

- Co zamierzasz zrobić? Dokąd pojedziemy? - spytał Eddie, nie puszczając metalowej poręczy.

- Do obozu Gunthera - odpowiedział Sammy głośno, żeby wszyscy słyszeli. - Twamba już tam jest i szuka śladów wskazujących, w którą stronę odjechał Gunther. Starajcie się odpocząć. Chwilowo nie możecie w niczym pomóc.

Eddie skinął głową, a potem ostrożnie, bo rozpędzony mikrobus co chwila podskakiwał, przedostał się do Braxtona. Ten był blady jak ściana i nawet nie podniósł głowy, gdy Eddie stanął przy nim. Trzymał się kurczowo siedzenia przed sobą i krzywił z bólu za każdym wstrząsem.

Eddie wymienił spojrzenie z Zeldą, pochylił się i położył rękę na

ramieniu przyjaciela.

- Bądź dobrej myśli - rzekł. Braxton popatrzył na niego i kiwnął głową bez przekonania. - Nic jej nie jest. Czuję to. Musimy wierzyć, że to wszystko się dobrze skończy.

- Zdawało mi się, że masz kłopoty z wiarą - odparł Braxton ochryłym głosem. Eddie nie odpowiedział, choć dotknęły go te słowa. - Przepraszam, Ed. Nie chciałem cię urazić. Po prostu... nie powinienem był zasnąć. Nie pojmuję, jak to możliwe, że zabrali ją z namiotu, a ja się nie...

Mikrobus zarzucił raptownie i Braxton syknął z bólu. Zaciśnął palce na ramie siedzenia przed sobą, aż zbieleły mu kostki.

- Ciebie naprawdę boli - rzekł Eddie, przyglądając się przyjacielowi z z troskaniem.

- Tak. - Braxton rozluźnił nieco uchwyt. - Że też musiałem znów upaść i tak się załatwić. Po masażu Kathy już prawie mnie nie bolało.

- Usiądź wygodnie i staraj się odpocząć. Nie chcemy, żebyś się czuł jeszcze gorzej. Musisz zachować pogodę ducha, Brax. Ja nie umiem tak rozweselać ludzi, a to się na pewno przyda.

Braxton odchylił głowę na oparcie siedzenia i uśmiechnął się bez przekonania, co nie uszło uwagi Eddiego. W oczach przyjaciela zamiast błysku wesołości zobaczył niepokój i smutek.

- Uśluchałem twojej rady, Ed - powiedział cicho Braxton. - Poszedłem za głosem serca i wyznałem, że zakochałem się po uszy.

- I? Ciepły uśmiech zagościł przelotnie na twarzy Braxtona.

- Rozmawialiśmy i wszystko zapowiada się jak najlepiej. Nie

wiem, jak to powiedzieć... po prostu przypadliśmy sobie do serca.
Spodziewałeś się tego, prawda? Dobrze się zaczęło...

Braxton sposepniał i odwrócił głowę, nie panując nad uczuciami.
Za oknem, w oddali, brzask rozjaśnił ciemne niebo nad horyzontem,
zapowiadając świt.

- Chryste Panie, Ed. Po co Gunther ją porwał? Co spodziewa się zyskać?

- Pewnie chodzi mu o ten grób - odparł Eddie.

- Ale ona jeszcze nie wie, gdzie on jest.

- On o tym nie wie.

- Co będzie, kiedy Gunther odkryje, że ona nie może go tam zaprowadzić? - Ksiądz milczał, a Braxton potrząsnął głową. - Nie mogę jej teraz utracić, Ed - szepnął ni to do siebie, ni do przyjaciela. - Nie teraz. Ledwie zaczęliśmy...

- Odnajdziemy ją, Brax - zapewnił Eddie i położył mu rękę na ramieniu. - Nie ruszaj się stąd i staraj się odciążyć krzyż. Kiedy się zatrzymamy, dam ci suche ubranie. Zresztą wszyscy powinniśmy się przebrać.

Sammy obserwował ich, stojąc na przedzie mikrobusu.

- Czy Braxtonowi coś się stało, Eddie? - zawołał.

- Przez ten upadek w błocie znów go łupnęło w krzyżu - odpowiedział Eddie.

Sammy podszedł do nich ze zmartwioną miną. Braxton westchnął i uśmiechnął się słabo do przewodnika.

- Nie wyglądasz dobrze - powiedział z uśmiechem Sammy.

- Jakoś wytrzymam - rzekł Braxton. - Nie martw się o mnie.

Sammy nachylił się nad Braxtonem, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo mikrobus raptownie zahamował. Przez zabrudzone okna widać było ślady obozowania. Obok spopieliałych resztek ogniska stał wojownik masajski z włócznią i tarczą.

W porannym świetle Twamba wyglądał jeszcze bardziej imponująco. Włosy, splecione w ciasne warkoczyki, miał ufarbowane czerwoną ochrą, a krzepkie nogi pomazane rdzawą gliną. Luźna szata okrywała prężne, muskularne ciało. Sznury wielobarwnych koralików na szyi i w uszach połyskiwały w promieniach słońca.

Za Masajem stała żyrafa. Kołysała nerwowo szyją i grzebała kopytem w ziemi, patrząc na znieruchomiały pojazd.

Sammy wskazał przez okno czekającego Masaja.

- Twamba zdążył przed nami Masz szczęście, Braxton. Twamba to *Laibon*, uzdrowiciel. Widziałeś, jak szybko mnie uleczył. Odpocznij chwilę. Poproszę go, żeby się tobą zajął. Ukoi ziołami nawet twój ból.

- Przydadzą się też suche ubrania, Sammy - przypomniał Eddie. Przewodnik skinął głową.

- Injai wniesie do środka resztę bagaży. A ja dowiem się, co odkrył Twamba. Sammy podszedł szybko do drzwi, które Injai już otworzył, i razem wysiedli.

- Pomogę mu przy bagażach - zaofiarował się Eddie.

Zelda i Braxton zostali w środku, wyglądając przez okno.

Długoszyje zwierzę w pobliżu dwóch Afrykańczyków uspokoiło się i stanęło wiernie przy Masaju.

- Nie do wiary, jak ta żyrafa trzyma się Twamby - powiedziała Zelda.

- Chyba mają jakiś ślad - rzekł Braxton. - Widzisz, jak Twamba pokazuje na sawannę?

- Poczekajmy, co powie Sammy - zaproponowała Zelda.

- Spójrz, Zeldo, jak on wskazuje włócznią. O co innego mogłoby chodzić?

- Widzę. Nie chcę rozbudzać złudnej nadziei.

- Zaraz dowiesz się czegoś pewniejszego. Sammy i Twamba ruszyli w stronę mikrobusu, ale

pierwszy wszedł do środka Eddie z zamoczonymi bagażami. Tuż za nim wsiadł obładowany Injai i obaj przeszli do tyłu.

Twamba ostrożnie oparł włócznię i tarczę o bok mikrobusu. Wsiadając musiał się pochylić, a potem ruszył w głąb pojazdu, przygarbiony pod zbyt niskim dla niego dachem. Braxton usłyszał pobrzękiwanie dzwoneczka w uchu wojownika, gdy ten podszedł bliżej.

Eddie zatrzymał się koło Zeldy i podał jej torbę.

- Ty pierwsza, Zeldo. Zawieszę z tyłu koc między półkami na bagaże, żebyś mogła się przebrać.

- Mnie nic nie jest. Zajmij się najpierw Braxtonem.

- Nie jestem inwalidą, Zeldo - zaprotestował Braxton.

- Idź pierwsza, Zeldo - wtrącił Sammy. - Chciałbym, żeby

Twamba obejrzał Braxtona.

- Twamba znalazł coś przy ognisku, prawda? - Braxton nie mógł

powstrzymać ciekawości.

Sammy kiwnął głową.

- Tak, widać wyraźnie, w którą stronę odjechali. Ale Gunther zdaje sobie z tego sprawę. Przy takim deszczu nie mógł zamaskować śladów. Na pewno pojechał jak najszybciej do głównej drogi, na której o wiele trudniej będzie nam go wyśledzić.

- I co wtedy?

- Zobaczmy. Mamy szansę, korzystając z pomocy masajskiego tropiciela. To jest Twamba, Braxton. Da ci lekarstwo, a potem jedziemy.

- *Jambo* - powiedział Braxton.

- *Jambo* - odparł Masai, spoglądając na białego badawczym wzrokiem.

- Możesz mu zaufać - rzekł Sammy. - Muszę na chwilę wyjść. Zaraz wrócę.

- Bardzo cię boli, Buddy? - spytał Injai stojący za Twambą, który przyklęknął i przesunął ręką po plecach pacjenta.

- Przeżyję - odparł Braxton, usiłując wykrzesać na twarz uśmiech.

- *Wapi panauma?* - spytał Twamba.

Braxton sięgnął ręką za siebie i dotknął dołu pleców.

- *Kitchwa*. Ból krzyża - odpowiedział w dwóch językach.

Masaj pokiwał głową i obejrzawszy wskazane miejsce zwrócił się do Injaia.

- *Maji!*

Injai skinął głową i pospieszył na przód mikrobusu. Masaj przesuwał ręce po plecach Braxtona, uciskając w różnych punktach.

- Zachowuje się zupełnie jak lekarz - skomentował Eddie, przyglądając się tej scenie z zainteresowaniem. - Może powinieneś go najpierw spytać o wysokość honorarium.

- Podobno nie zajmujesz się rozśmieszaniem, Ed -burknął Braxton.

Masaj rzucił kilka słów i otworzył usta, wskazując twarz Braxtona.

- Chce, żebyś otworzył usta - podpowiedział Injai, wracając z napełnionym wodą kubkiem od termosu.

- Tak, pamiętam, jak leczył Sammy'ego - odparł Braxton patrząc, jak Twamba wsypuje do wody proszek z woreczka.

Zza kotary z koca wyszła przebrana w suchą sukienkę Zelda.

- Jakie rokowania? - spytała.

- Jeszcze nie wiemy - odparł Eddie.

- Zaraz wezmę cudowne lekarstwo - dodał Braxton. Wziął podany przez Masaja kubek, zerkając niespokojnie na pływające w wodzie paprochy. - Ciekawe, co to jest? Twamba pokiwał głową, nie rozumiejąc jego słów, i dotknął ręką ust.

- Może lepiej, żebyś nie wiedział - rzekł Eddie. -No dalej, wlej to w siebie. Jesteś nam potrzebny zdrowy.

- Łatwo ci mówić - jęknął Braxton, przysunął kubek do ust i wypił.

- Injai! - zawołał od drzwi Sammy. Usłyszawszy wezwanie,

kierowca pobiegł na przód

mikrobusu.

- I jak tam, Brax? - spytał Eddie.

- Heineken to to nie jest, przyjacielu - odparł Braxton. - Ale jeśli mi pomoże, chętnie wypiję więcej. - Oddał z uśmiechem kubek Masajowi.

Przygarbiony Twamba skinął głową, schował woreczek, odwrócił się i pospieszył do wyjścia.

- Jeżeli podziała tak szybko jak na Sammy'ego, ból powinien wkrótce zelżeć - pocieszyła Braxtona Zelda.

Między siedzeniami przeciskał się Sammy z pistoletem u boku. Niósł strzelbę i pudełka z amunicją. Za przewodnikiem szedł obładowany bronią Injai.

- Lek Twamby jest dobry, zaraz lepiej się poczujesz - zapewnił Sammy, kładąc amunicję na siedzeniu przed Braxtonem. Podał mu strzelbę. - Weź i trzymaj to przy sobie.

- Nie nie mam pojęcia, co się z tym robi - bronił się Braxton.

- To wcale nie trudne, już ci mówiłem. - Sammy włożył mu do ręki strzelbę. - Celuj uważnie, odbezpiecz i pociągnij za spust. Przyłóż kolbę mocno do ramienia, żeby dobrze wycelować i żebyś nie poczuł odrzutu w krzyżu.

- Sammy, uważam, że broń powinna wrócić do schowka pod podwoziem - oznajmił Eddie kategorycznym tonem.

Tym razem jednak Sammy nie zamierzał słuchać.

- A jak myślisz, Eddie, co się stanie, kiedy odnajdziemy Kathy? -

spytał.

- Nie chcę, żeby doszło do użycia broni, Sammy - oświadczył stanowczo Eddie.

- Czy nie moglibyśmy zawiadomić władz, kiedy dowiemy się, gdzie jest Kathy? - spytała Zelda, biorąc stronę księdza.

Sammy potrząsnął głową.

- Już wam mówiłem. Gunther płaci władzom. Wiem o tym.

- Przecież to porwanie!

- Nie mamy dowodu. Gunther się postara, żeby niczego nie można było dowieść. Pracowałem dla niego, Zeldo. Dlatego wiem, że sami musimy odnaleźć Kathy. Wiem też, że musimy być dobrze przygotowani. Zrozum, Eddie! W porywie gniewu Gunther pobił mnie do nieprzytomności i zostawił. Jeżeli Gunther i Bassett porwali Kathy, z pewnością uznali, że warto ponieść ryzyko, więc trzeba będzie odbić ją przemocą.

- Znajdziemy inny sposób - nie ustępował Eddie. Braxton zacisnął palce na strzelbie, którą dał mu

Sammy, a drugą ręką sięgnął po pudełko z nabojami.

- Mieści się więcej naboju niż jeden, Sammy?

- Tak. Zobaczysz, kiedy zajrzysz do komory. Przepisy ograniczają broń automatyczną do dwóch naboju, ale ja wyciągnąłem zatyczkę. Za każdym naciśnięciem spustu oddasz strzał.

- Braxton! - zawołał Eddie, czerwieniejąc z gniewu.

- Przestań się oszukiwać, Ed! Wszystko się zmieniło, kiedy ją zabrali. Jedna osoba już zginęła. Sammy ma rację. Trzeba się dobrze

przygotować. Taka jest prawda.

- Bądź rozsądny, Braxton. Naprawdę myślisz, że użyjesz tej broni, żeby zabić człowieka?

- Szczerze mówiąc, nie wiem, Ed - przyznał cicho Braxton. - Ale myślę, że zrobi to Gunther. Jeśli uzna za konieczne. Z pewnością dobrowolnie nie odda nam Kathy.

Braxton otworzył pudełko z amunicją i odsłonił wlot komory na naboje. Eddie nie wierzył własnym oczom.

- Więc tylko o to chodzi? - wykrzyknął oburzony. - Po to ruszyliśmy na tę wyprawę?

Braxton spojrzał na przyjaciela.

- Wszystko się zmieniło, Ed - odparł. - Zabrali Kathy.

- Postaramy się ją odnaleźć, ale czy musimy zniżać się do ich poziomu? Myślałem, że masz więcej rozumu.

- Posłuchaj, Ed. - Braxton niespodziewanie splunął i poczerwieniał. - Nie wpraszałem się na tę wyprawę. Ty do mnie przyszedłeś. Ale Kathy stała mi się tak bliska, że zrobię wszystko, żeby ją odzyskać. Tracimy czas. Ruszajmy.

Sammy, przysłuchujący się w milczeniu tej wymianie zdań, zwrócił się do księdza.

- Eddie?

- Dobrze. Jedźmy. Możemy rozmawiać po drodze. Ale ja nie ustąpię. Nie zgadzam się na użycie broni.

- Daj spokój - rzekł ze złością Braxton. - Wiesz, dlaczego popadasz w depresję, Ed? Dlaczego ostatnio jesteś taki przygnębiony?

Bo często dociera do ciebie, choć bronisz się przed tym, przykra prawda o trzódce, której pasterzami są księża. Sam mówiłeś, że zabijamy się od czasów Kaina. Na tym cholernym świecie nie ma bezgrzesznych. Każdy z nas jest na coś chory. Pienią się wspaniale nienawiść, chciwość i gniew. - Braxton wstał, przytrzymując się siedzenia przed sobą. - Pytasz, czy użyję broni. Coś ci powiem, Ed. Jeżeli ten parszywy łajdak Gunther albo ten psychopata Dog tknęli palcem Kathy, zrobili jej najmniejszą krzywdę, to odstrzelę im głowy! Jasne? Nie jestem bohaterem, Ed. Jestem zwykłym facetem, który bierze udział w idiotycznej wyprawie. Ale Bóg mi świadkiem, nie rzucam słów na wiatr. Nie oddam broni. A teraz jedźmy, do cholery!

- Nie! - krzyknął Eddie na cały mikrobus. - Nie zgadzam się z tobą, Braxton! Owszem, jesteśmy ułomni. Dookoła wciąż niepotrzebnie umierają ludzie. Sam pochowałem dość ofiar chorób i głodu. Aż nadto dobrze zdaję sobie sprawę, że to księża i kobiety oplakują tych, którzy zabijają i giną. Ale gdybym nie wierzył, że jest nadzieja, nie zostałem księdzem. Nie wypieram się swoich wątpliwości, ale nigdy nie przystanę na taki pesymizm. I nigdy, powtarzam: nigdy, nie zgodzę się na zabijanie, choćby nie wiem jak uzasadnione.

- W porządku, Ed - odparł rozgorączkowany Braxton. - Więc zacznij obmyślać sprytny plan, co robić, kiedy ich dogonimy. A przy okazji gorąco się pomódl, ojczy. Pomódl się za Kathy, żebyśmy ją znaleźli całą i zdrową.

Zelda chciała załagodzić spór, ale uciął go Injai. Na znak dany

przez Sammy'ego ruszył tak raptownie, że Eddiego rzuciło na siedzenie naprzeciw Zeldy, a Braxton siadł ciężko z jękiem bólu.

- Przepraszam, ojcze... Buddy - zawołał Injai. -Sammy kazał mi ruszać.

- Radzę nie wstawać - uprzedził Sammy i usiadł za kierowcą. Obok siebie położył strzelbę. - Trzymajcie się. Pojedziemy jak najszybciej.

Wszyscy słuchali słów przewodnika, ale obserwowali Twambę. Choć raz już widzieli z daleka wyczyn Masaja, nie mogli wyjść z podziwu patrząc, jak dosiada pochylego grzbietu żyrafy. Injai wykręcił kierownicę, żeby pojechać za Masajem, który z uniesioną włócznią wydał jękliwy okrzyk i pogalopował naprzód.

ROZDZIAŁ 19

W dużym namiocie było nieznośnie gorąco, a popołudniowy wietrzyk nie łagodził wcale upału. Jednak Dog Bassett, siedzący na kempingowym stołku przy wyjściu z namiotu, pocił się nie tylko z powodu duchoty. Zachowywał jak zwykle niewzruszony wyraz twarzy, ale krew w nim się burzyła, gdy patrzył na owiniętą w koc kobietę, leżącą pod przeciwległą ścianą.

Dog Bassett zdawał sobie sprawę nie tylko ze swojego braku urody, jak również z ograniczonej mimiki twarzy, ale także z faktu, że budzi lęk pokaźną posturą. Nieraz ciągnął z tego korzyści finansowe, prowadząc interesy na czarnym rynku. Nie uważał siebie za człowieka uczuciowego ani szczególnie wrażliwego na podniety seksualne, jeśli już o tym mowa. Kiedy przychodziła mu ochota na seks, załatwiał sprawę szybko i jak najprościej. Nie podobał się kobietom, więc czasem musiał płacić, ale zdarzało się, że trafiał na amatorkę. Nigdy jednak nie ulegał całkowicie popędowi. Pilnował zasady, żeby nigdy niczemu nie ulegać. Dlatego nie mógł zrozumieć nieustępliwego pożądanego, jakie wzbudzał w nim widok Kathy Sullivan.

Może podsycił je Gunther swoją gadaniną o atrakcyjności tej kobiety. A może nagie ciało, które błysnęło w ciemnościach i szamotało się, gdy je przytrzymał nogami, a Gunther robił zastrzyk. Tak czy owak Dog Bassett odczuwał przemożną chęć, by osiąść kobietę, której pilnował, i dręczyło go to niemiłosiernie.

Powstrzymywał się przez długie minuty. W końcu jednak nie wytrzymał, wstał i podszedł do Kathy, żeby chociaż na nią popatrzeć. Nie odzyskała jeszcze przytomności. Dog przykląkł i spostrzegł wielkie krople potu na jej czole i skroniach.

- To przez ten koc - wymamrotał.

Gruby materiał wetknięty pod pachy spowijał ciasno bezwładne ciało. Dog odgarnął zlepiony kosmyk rudych włosów z twarzy nieprzytomnej kobiety i poczuł przyspieszone bicie serca. Gunther miał stuprocentową rację: była piękna.

Tłumacząc sobie, że upał może jej zaszkodzić i powinien temu zaradzić, uniósł leżącą bezwładnie lewą rękę. Liczył na podniecające rozluźnienie koca, tymczasem uwolniony spod ramienia róg okrycia ześliznął się, odsłaniając zupełnie nagie ciało. Sycąc oczy zachwycającym widokiem Dog poczuł, że sam nieźle się spocił. Zaczerpnął głęboko powietrza, odsunął całkiem koc i ogarnął spojrzeniem kobiece wdzięki.

Uroda Kathy przeszła jego oczekiwania. Wpatrywał się w nią jak urzeczony, stojąc bez ruchu. Nie mógł się napatrzeć na białą szyję łączącą się łagodnym łukiem z ramieniem. Na okrągłe piersi z czerwonymi zwieńczeniami, wprawiane w drżenie równym oddechem. Na wąską talię poszerzającą się ku szczupłym biodrom i gładkim udom.

- Patrzysz sobie, Dog?

Bassett nie miał zamiaru okazać zaskoczenia, jakie wywołał w nim głos Gunthera. Powoli opuścił koc zakrywając Kathy, przybrał

obojętną minę i dopiero potem odwrócił się w stronę wejścia.

- Bardzo się spociła, Frank. Pomyślałem, że trzeba luźniej ją przykryć, żeby miała więcej powietrza.

Frank Gunther stał w otwartym wejściu do namiotu. Trzymał przerzuconą przez rękę tubylczą szatę i uśmiechał się kpiąco.

- Jasne, Dog. Jesteś cholernie troskliwy. A tylko przy okazji pooglądałeś widoki.

- Nie widzę nigdzie nosorożców, Frank - odparł beznamiętnie Bassett. - Umowa jest umową. Pomyślałem, że zerknę na moją rekompensatę.

- Jeżeli ten skok się uda, nie będziesz już nigdy handlował na czarnym rynku rogami nosorożca - powiedział Gunther, wciąż się uśmiechając i podchodząc do Bassetta. - Nie musisz mi mówić, czy potwierdziły się moje słowa. Wiem, że tak. Sam zapuściłem żurawia w dolne regiony rozkoszy, kiedy podnosiliśmy panienkę z ziemi. Przyniosłem coś dla niej, żeby się ubrała. Jeśli jej pokażemy, że nie jesteśmy tacy źli, i pozwolimy się ubrać, to może zechce z nami współpracować. - Kathy jęknęła i kilka razy rzuciła głową na boki. - Zdaje się, że na razie koniec z podglądaniem. Przytomnieje. Cofnijmy się do wyjścia. Lepiej, żeby się nie domyślała, że sprawdzałeś, jakie ma warunki. Kapujesz?

Bassett bez słowa ruszył za Guntherem do wyjścia i stamtąd obaj obserwowali Kathy, która powoli odzyskiwała przytomność.

- Jesteś pewien, że zgubiliśmy to całe towarzystwo? - spytał cicho Bassett.

- Kiedy wreszcie przestaniesz mnie obrażać, Dog? Pewnie dochodzą jeszcze do siebie po tym ataku lwów, jeżeli w ogóle został ktoś do posprzątania obozowiska. A jeśli nawet został, to tak dobrze zmyliłem ślady, że sam bym nas nie znalazł. A przecież, do cholery, jestem najlepszym tropicielem w Kenii. - Kathy znów się poruszyła i Gunther dał znak Bassettowi, żeby wyszedł. -Zaczekaj przed namiotem. Na początek sam z nią pogadam i zobaczę, jak to przyjmie.

Bassett skinął głową z ociąganiem, ostatni raz rzucił okiem na leżącą na ziemi kobietę i wyszedł. Gunther opuścił płachtę zamykającą wyjście i odwrócił się do Kathy, napotykaając jej przerażony wzrok.

Uśmiechnął się uspokajająco i usiadł na stołku przy wyjściu.

- Wszystko w porządku, Kathy - rzekł swobodnie. -Jak się czujesz? Dobrze? - Słyszac głos Gunthera, Kathy jęknęła ze strachu. Podciągnęła koc pod brodę i zrobiła ruch, jakby chciała uciekać. - Nie bój się, dziecko. Pamiętasz Franka Gunthera? Uspokój się. Nic ci nie grozi.

Kathy spojrzała przytomniej, ale w jej oczach wciąż czaił się strach i nieufność.

- Kathy, jestem Frank Gunther. Pamiętasz? Leciutko skinęła głową.

- To już coś. Wszystko będzie dobrze. Chcę, żebyś zrozumiała, że jesteś bezpieczna.

Kathy cofnęła się jeszcze bardziej.

- Wiem. Chwilowo czujesz się zagubiona, ale najważniejsze, żebyś zrozumiała, że nikt cię nie skrzywdzi. Nic ci nie będzie. Nie

masz czego się bać.

Gunther wstał i postąpił kilka kroków do przodu, przywołując na usta wystudiowany uśmiech wspaniałego myśliwego, ale Kathy skuliła się ze wstrętem.

- Nie zbliżaj się - szepnęła ochryple. - Gdzie jest Braxton?
Byłam z nim. Gdzie on jest... gdzie są wszyscy?

Gunther odchrząknął i zsunął czapkę na tył głowy.

- Nie ma ich tu, Kathy - powiedział ze współczuciem. - Po prostu musisz się z tym pogodzić. Wiem, że to trudne. Chcę, żebyś się nie bała, bo nic złego ci się nie stanie. Daję ci słowo. Chcemy tylko, żebyś trochę nam pomogła.

Kathy milczała. Frank widział, że rozjaśnia jej się w głowie, że coraz lepiej pojmuje swoją sytuację. Myślał, że się rozplacze, ale Kathy z wyrazem determinacji przycisnęła do siebie koc i spojrzała z nienawiścią.

- Gdzie moje ubranie? - spytała.
- Trochę się spieszyliśmy i nie zdążyłem go zabrać. Ale przyniosłem coś do przebrania się, żeby ci było wygodnie. - Gunther podał jej szatę. - Proszę. Możesz się w to ubrać. Strój Kikujusów. Nie jest to piękne, ale na razie musi wystarczyć.

Kathy piorunowała go wzrokiem, a Gunther uśmiechnął się i położył szatę na ziemi.

- Niech tu leży, aż uznasz, że chcesz ją włożyć. Kathy nie spuszczała z niego wzroku i niedowierzająco pokręciła głową.

- Dlaczego? - spytała. - Dlaczego to robisz?

- Dobrze. Wyjaśnijmy to sobie od razu. Tak lubię. Prosta odpowiedź na proste pytanie. Chodzi o grób, moja droga Kathy. Zaprowadzisz mnie do grobu. To nie musi być wcale nieprzyjemne. Pokażesz nam, gdzie jest ten grób. Dostaniemy to, czego chcemy. I wszyscy będą zadowoleni.

Kathy nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Co? Porwaliście mnie myśląc, że zaprowadzę was do grobu? Chyba jesteście niespełna rozumu!

- Nie sędzę - powiedział Gunther z pewnym siebie uśmiechem. - Ten grób musi gdzieś tu być, bo inaczej nie wybralibyście się na safari. Dog zapewnił mnie, że są na świecie ludzie gotowi zapłacić każdą sumę za szczątki pierwszych ludzi. Te kości mogą być warte milion albo nawet więcej, jeżeli uda nam się przy nich znaleźć coś jeszcze. Jakieś osobiste przedmioty pochowane razem z ciałami. Trudno przepuścić taką okazję.

- A co pan zamierza zrobić ze mną, panie Gunther? Kiedy zdobędzie pan łup, pobije mnie pan i zostawi na pastwę losu jak Sammy'ego?

- Mowy nie ma - zaprzeczył Gunther. - Najmniejsza krzywda nie spotka takiej ładnej dziewczyny jak ty. Zostawimy cię w bezpiecznym miejscu, ale z dala od cywilizacji, żebyśmy zdążyli bez przeszkód wyjechać z kraju.

- Na litość boską, Gunther, skąd ci przyszło do głowy, że mogę was gdzieś zaprowadzić?

- Widziałem, jak dziabiesz palcem w mapę, moja pani. Wszyscy

przysłuchiwali się tobie jak wyroczni. Ty masz klucz do tej tajemnicy, nie próbuj się wypierać. Wiem, że troszczysz się o innych, więc z pewnością nam pomożesz. Słuchaj uważnie, bo chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiała. Wiem, w co się wpackowałem, kiedy zabraliśmy cię z obozu. I zamierzam dopiąć swego. Rozumiesz? Jestem gotów na wszystko, żeby dostać się do tego grobu. Powiedziałem, że nic ci nie grozi, ale nie ręczę za bezpieczeństwo twoich bezbronnych znajomych. W tej dziczy wszystko może się zdarzyć. Jeżeli przyjdzie ci do głowy odmówić nam pomocy, postaram się, żeby coś im się przytrafiło. Twoi przyjaciele mogą zniknąć na sawannie bez śladu. Tylko nie myśl, że nie jestem do tego zdolny. Jeżeli natomiast pójdiesz na współpracę z nami, stanę na głowie, żeby zapewnić im bezpieczeństwo. Kiedy zdobędziemy to, o co nam chodzi, postaram się, żeby cię znaleźli. A zanim któreś z was dotrze do Nairobi, ja ze skarbem opuszczę na zawsze granice Kenii.

Słuchając tej przemowy, Kathy postanowiła spróbować nowej taktyki.

- Gdybyś więcej z nami rozmawiał, Frank, wiedziałbyś, że żądasz rzeczy niemożliwej. Nie znamy jeszcze lokalizacji grobu. Potrzebne są dalsze seanse hipnotyczne, które nie mogą się odbyć bez Zeldy. To szaleństwo. Mówisz o szczątkach i cennych przedmiotach, a nie wiadomo, czy cokolwiek będzie w tym grobie, nawet jeśli go znajdziemy. Nie rozumiesz? Cały wysiłek może okazać się daremny. Nie możesz tego mi robić.

- Jak widać, już zrobiłem. Z pewnością zrozumiesz, że

niezupełnie ci wierzę - dodał Frank ze znaczącym uśmiechem. - Nie robilibyście sobie z tym tyle zachodu, gdybyście nie spodziewali się niczego znaleźć.

- Mylisz się, Frank! Musisz mi uwierzyć. Mówię prawdę. Nie mogę cię nigdzie zaprowadzić!

Gunther poprawił czapkę na głowie.

- Dobra, powiem ci teraz, co masz zrobić. Wyjdę z namiotu, a ty, po pierwsze, włożysz tę szatę. Dawno zauważyłem, jak Dog na ciebie patrzy, więc dla wszystkich będzie lepiej, jeśli się ubierzesz. Po drugie, musisz mocno pomedytować albo wpaść w trans, żeby dowiedzieć się, dokąd mamy jechać. .Twoi przyjaciele mogą zginąć na sawannie na sto sposobów, a każdy z nich można upozorować na wypadek.

Po tej groźbie Gunther odwrócił się i wyszedł, nie czekając na odpowiedź. Płachta przy wyjściu opadła bezgłośnie.

ROZDZIAŁ 20

Kathy siedziała nieruchomo, przyciskając do siebie koc i usiłując ogarnąć myślą swoją sytuację. Nie mogła wprost uwierzyć, że padła ofiarą porwania.

Zebrało jej się na płacz, ale zapanowała nad sobą, podobnie jak przy Guntherze. Do diabła, nie uroni ani jednej łzy, postanowiła. Nie podda się, nawet w tak beznadziejnych okolicznościach.

Chwyliła zostawioną przez Gunthera szatę i przerzuciła przez głowę, nie zważając na przykrą woń szorstkiej tkaniny. Rozejrzała się po namiocie zbierając myśli. Musiała zastanowić się w skupieniu. Nie mogła oczywiście liczyć, że ktoś ją znajdzie. Była zatem zdana na własne siły.

Co mogła zrobić?

- Niewiele - bąknęła pod nosem, patrząc w stronę wyjścia. Nie wątpiła, że czuwa tam potężny Dog Bassett.

O normalnym wyjściu nie było co myśleć. Co jeszcze? Jakaś broń. Przydałoby jej się coś, czego mogłaby użyć... Jak? Przeciwno Guntherowi czy Bassettowi? Szans chyba nie miała, ale poczułaby się lepiej, gdyby podjęła taką próbę.

Obejrzała się za siebie, na dolną krawędź brezentu, i chwyciwszy koc doczołgała się do tylnej ściany namiotu. Czy tam, z tyłu, ktoś może jest? Raczej nie. Musiała jednak bardzo ostrożnie się poruszać. Szybko, lecz ostrożnie.

Namiot podtrzymywały od tyłu trzy metalowe śledzie. Kiedy składała jeden z namiotów Gunthera pierwszego dnia po wyjeździe z Nairobi, musiała posłużyć się linką i zaprzeć się z całych sił, żeby wyciągnąć z ziemi długie, ostro zakończone szpile.

Koc zaczepiony za koniec śledzia powinien zadziałać tak jak linka. Gdyby udało się niezauważenie wyciągnąć środkowy szpikulec, korzyść byłaby podwójna: otwarta droga do ewentualnej ucieczki i metalowy szpic do obrony. Niewiele, ale zawsze coś. Kathy nie zamierzała rezygnować z próby ucieczki, dopóki istniała choćby minimalna szansa, że się powiedzie.

Powoli, uważając, żeby nie poruszyć naciągniętego nad ziemią płótna, Kathy wepchnęła róg koca pod ścianę namiotu. Grzebiąc palcami w ziemi, wymacała szpikulec z metalowym uchem. Zaczepiła koc.

Kucnęła, chwyciła boki koca i zaciskając zęby pociągnęła.

Metal nawet nie drgnął. No tak, przecież ciągnie od złej strony, uprzytomniła sobie. Śledź został wbity skośnie, ale od zewnątrz.

Spociała się z wrażenia. Zerknąwszy na płachtę zasłaniającą wejście do namiotu, przysunęła się bliżej metalowego klina. Kucnęła przy samej ścianie, uważając, żeby nie trącić brezentu, wzięła głęboki oddech i pociągnęła jeszcze raz.

Tym razem szpikulec drgnął. Odrobinę, ale jednak. Z bijącym sercem Kathy otarła pot zalewający oczy i stękając, znów szarpnęła koc. Śledź tak nagle wysunął się z ziemi, że przewróciła się na bok. Natychmiast poderwała się na nogi i nachyliła, wysuwając rękę poza

namiot do leżącego luzem śledzia. W tym momencie Dog Bassett uniósł płachtę i wszedł do środka.

- Mógłby pan chwilę poczekać? - spytała ze złością i okryła się kocem. - Musiałam się załatwić.

Dog potrząsnął przecząco głową i usiadł na stołku.

- Niestety nie. Frank mówił, żeby nie zostawiać cię samej.

Trzeba robić, co każą. Nie przeszkadzaj sobie.

- Już skończyłam - odparła Kathy sprawdzając, czy koc okrywa nie tylko ją, ale również ziemię dokoła. Nie odrywając wzroku od siedzącej naprzeciw zwalistej postaci, gorączkowo macała ręką pod ścianą namiotu. Gdzieś tu musi być, do diabła, myślała. Gdzie się podział?

- Czy Frank mówił, jaki straszny popełniliście błąd? - spytała skrobiąc palcami ziemię. - Powiedział, że nie' wiem, gdzie jest grób?

Dog milczał patrząc na nią zimnym, niewzruszonym wzrokiem.

- Proszę, niech mi pan pomoże - błagała Kathy niej dając za wygraną. - Wiem, że to sprawka Gunthera.; Powiem, że nie brał pan w tym udziału. Proszę. Nie wiem, gdzie jest ten grób. Musi mi pan uwierzyć.

- Możesz mi mówić Dog, jeśli chcesz - powiedział wstając. - Tak jak wszyscy.

Dwie rzeczy stały się równocześnie. Kathy nagle zrozumiała, że w ten sposób Dog Bassett wyraża swoją sympatię do niej, i w tym samym momencie dotknęła zimnego metalu.

Przeszył ją dreszcz. Gorączkowo zacisnęła palce wokół długiego

klina i wolniusieńko wciągnęła go do namiotu, chowając cały czas rękę pod kocem, aż zdobyczna broń znalazła się u jej boku. Chwyła jej szerszy koniec, niczym trzonek noża, i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Dobrze... Dog. Proszę, pomóż mi wydostać się stąd. Proszę cię. Nie ufam Guntherowi. Wiesz, że mam rację, ten jego plan jest szalony. Chyba nie boisz się Gunthera? Nie boisz się, że coś ci zrobi, gdybyś mi pomógł?

Bassett podszedł do niej i przykucnął. Po raz pierwszy, odkąd go poznała, Kathy zobaczyła na jego twarzy coś, co przypominało uśmiech.

- Nie boję się Gunthera - powiedział.

- Więc pomóż mi, Dog, proszę - rzekła błagalnie, chwytając go za rękę. Zrobiła to odruchowo, ledwie jednak dotknęła potężnego cielska, zrozumiała, że popełniła błąd.

Ten krótki kontakt podziałał na niego jak narkotyk. Spozrzęła, że inaczej na nią spojrział. Gdy wyciągnęła rękę, koc zsunął jej się z ramienia, a wtedy Bassett spuścił wzrok na luźną szatę odsłaniającą zagłębienie pomiędzy jędrnymi zaokrągleniami jasnej skóry. Wstrzymał oddech, a Kathy puściła go i osłoniła się kocem.

- A jak ty mi pomożesz, jeśli ja ci pomogę? - spytał Dog, wciąż uśmiechając się głupkowato.

- Zapłacę... nagrodę. Obiecuję. Mamy pieniądze. Dużo pieniędzy. Pomóż mi, a ja dopilnuję, żebyś dostał, ile chcesz.

- Nie potrzebuję twoich pieniędzy - powiedział Dog. Uniósł rękę, dotknął włosów Kathy i zsunął palce na jej szyję. - Widzę, że włożyłaś

sukienkę. Ładnie wyglądasz. Ale tobie byłoby ładnie we wszystkim.

Z rosnącym przerażeniem Kathy uzmysłowiła sobie, że choć Gunther też budził jej grozę, to zachowywał się powściągliwie. Była przy nim bezpieczna, przynajmniej dopóki nie dostał czego chciał. W oczach Doga Bassetta natomiast wyczytała pożądanie i poczuła, jak jego ręka zaciska się na jej karku.

- Nie, Dog. Proszę. Zaraz wróci Gunther. Musisz mnie jakoś stąd wydostać. Proszę.

Ale Dog Bassett już nie słuchał. Kathy błagała coraz usilniej, zaczęła nawet protestować, ale jemu przypomniało się, jak wyrywała mu się, kiedy przytrzymywał ją, nagą, między nogami. Nie myślał o tym, co mógłby zrobić Gunther, nie dbał też o nagrodę. Całą jego uwagę pochłaniała paląca potrzeba, którą pragnął zaspokoić. Jedną ręką przytrzymując Kathy za kark, drugą ściągnął z niej koc.

Tracąc niemal oddech ze strachu, Kathy usiłowała wykręcić się z żelaznego uścisku, ale sparaliżowana lękiem nie była zdolna do błyskawicznych reakcji. Gruba łapa chwyciła ją za pierś.

Gunther! Musi zawołać Gunthera! Wraz z tą myślą odzyskała głos i już miała krzyknąć, ale Dog zacisnął jej rękę na ustach, zduszając okrzyk w gardle. Kathy zaczęła wyrywać się jak oszalała. Podciągnęła kolano, żeby uderzyć Bassetta w pachwinę, ale obrócił się tak, że cios nieszkodliwie trafił go w udo.

Zaczął pchać ją na ziemię. O Boże, jaki on silny, myślała. Potwornie silny. Wiedziała, że z nim przegra. Była bezradna wobec straszliwego wiru wydarzeń, który ją wciągnął i doprowadził do tej

okropnej chwili. Przygotowując się do ostatniej próby obrony, zebrała resztki sił i skupiła uwagę na metalowym klinie, który chowała pod plecami.

Raptem, jakąś cząstką świadomości, zdała sobie sprawę, że nie płacze. Ścisnęła mocniej ukrytą broń, szykując się do zadania ciosu. Dość tego, nie może pozwolić tak się traktować. Po momencie paralizującego lęku, coś w niej pękło.

Nie pozwolę tak się traktować, do cholery! - myślała. Niech się dzieje, co chce, mam tego dość! Tak! Już się nie będę bać! Mam tego dość, ty parszywy sukinsynu!

Powoli wysunęła spod siebie metalowy klin, cały czas tłukąc napastującego mężczyznę swobodną, lewą ręką. Drapała go i zmuszała do odpierania jej ataków, czekając na odpowiedni moment, by zadać cios.

W końcu zezłościł się i wymierzył Kathy siarczysty policzek, aż głowa odskoczyła jej na bok. Odczuła to dotkliwie, ale nie miała czasu zastanawiać się, czy poniosła jakiś szwank.

Udała, że jej ciało wiotczeje, jednocześnie obracając w rękę klin ostrym końcem do góry. Wobec braku oporu, Dog też się na chwilę rozluźnił, sięgnął do nóg Kathy i podciągnął do góry zgrzebną sukienkę. W tym momencie, zbierając cały zapas sił, jaki jej pozostał, Kathy uniosła swą broń i wzięła gwałtowny zamach, celując w głowę Doga Bassetta.

Dog zobaczył zbliżające się metalowe ostrze i zrobił niezręczny unik, wydając jęk zaskoczenia. Uchylił się nie dość szybko i został

trafiony. Oblepiony ziemią czubek ześliznął się z nosa i wbił pod okiem.

Kathy poczuła, że cios był skuteczny, i usłyszała krzyk bólu. Bez zastanowienia wyciągnęła szpikulec z rany i zawzięcie uderzyła jeszcze raz. Znowu trafiła, tym razem zatapiając ostry koniec w mięsistym policzku.

Dog zawył i poderwał ręce, zasłaniając zranione oko i zakrwawioną twarz. Kathy wyteżyła siły i zaczęła się wyrywać, aż w końcu udało jej się uwolnić spod przygniatającego ją cielska.

Nie zastanawiając się nawet, co może ją czekać po wyjściu z namiotu, chwyciła zwisający luźno brzeg płótna, uniosła i przeczołgała się pod nim.

Gdy wystawiła głowę na zewnątrz, zaświtał jej promyk nadziei. Nie dalej jak kilka metrów od namiotu stały samochody. Podniosła się z ziemi i pobiegła co tchu do jeepa Franka Gunthera.

Dochodzące z namiotu wściekle ryki Doga Bassetta zmuszały ją do zwiększenia szybkości. Z lewej strony ujrzała kierowcę Dingo, który poderwał się na równe nogi i wskazywał ją ręką, wykrzykując raz po raz: „Bwana!”. Po przeciwległej stronie dużego ogniska zobaczyła Gunthera, który odwrócił się i zaczął ją gonić, sięgając do kabury po pistolet.

Szybciej! Muszę biec szybciej! - ponaglała się w duchu.

Wreszcie dobiegła. Zacisnęła palce na metalowym uchwycie, szarpnęła i otworzyła drzwiczki jeepa. Nie obejrzała się drugi raz na Gunthera, wiedząc, że pędzi za nią wielkimi susami.

Rzuciła się naprzód, na siedzenie kierowcy, upuszczając metalowy klin na fotel obok, obiema rękami zatrzasnęła za sobą drzwiczki i szybkim ruchem wcisnęła przycisk blokady zamka.

W tym momencie dobiegł do auta Gunther i całym ciężarem ciała padł na drzwiczki. Zaczął szarpać uchwyt, czepiać się palcami nie domkniętego okna. Ale Kathy chwyciła właśnie obrotową rączkę i podsuwała szybę do góry, nie zważając na wciskającą się do środka rękę Gunthera.

Jednym zdecydowanym ruchem chciała mu przyciąć palce, ale zdążył je w porę wycofać, nim szyba docisnęła się do rowka w elastycznej framudze.

Teraz z drugiej strony! Kathy błyskawicznie przesunęła się po siedzeniu. Gunther obiegił samochód dokoła - nie dość szybko. Wiedząc dokładnie, co ma zrobić, Kathy zablokowała drugie drzwiczki i domknęła okno w ostatniej chwili. Tym razem jednak to nie wystarczyło, żeby powstrzymać Gunthera.

Rozwścieczony, szczyrzył zęby za zamkniętym oknem jak dzikie zwierzę. Zerwał czapkę z głowy, owinął wokół zaciśniętej pięści, cofnął raptownie rękę i wyrzucił ją do przodu z taką siłą, że przebił się przez szybę jeepa. Posypały się do środka odłamki szkła, Kathy krzyknęła przeraźliwie i odskoczyła uciekając przed silnym ciosem, aż dotknęła plecami zablokowanych drzwiczek po stronie kierowcy.

Ręka wpychała się przez okno, jakby chciała jej dosięgnąć. Nie, nie sięgała wcale do niej. Więc do czego? - myślała gorączkowo Kathy. Ręka wyciągała się niezdarnie do tablicy rozdzielczej, sięgając... Po

kluczyki! Chciał zabrać kluczyki! Dotknął ich czubkami palców, już niemal je miał. O Boże, jeżeli capnie kluczyki, to będzie koniec!

Wtem Kathy przypomniała sobie o śledziu. Porwała go z siedzenia obok i znów posłużyła się nim jak sztyletem, celując tym razem w drapieźnie wyciągniętą dłoń Gunthera.

Krzycząc z bólu, Gunther wyszarpnął rękę przez okno i teraz Kathy sięgnęła do kluczyków w stacyjce.

Przestała w ogóle myśleć. Reagowała odruchowo. Przekręciła kluczyk, zachrząścił starter i silnik zapalił. Zobaczyła Dingo, który właśnie dobiegł do jeepa, i dostrzegła, że z namiotu, z którego niedawno uciekła, wyczołgał się przerażający Dog Bassett.

Zdjęła bosą stopę ze sprzęgła i prawą nogą nacisnęła pedał gazu. Koła zakreśliły się w miejscu, wreszcie znalazły oparcie i jeep raptownie ruszył naprzód. Kathy wykręciła kierownicę zmierzając w kierunku wielkiego Bassetta, który z zakrwawioną twarzą, zakrywając ręką ugodzone oko, dźwignął się na nogi i chciał zabiec drogę nadjeżdżającemu pojazdowi.

Jeep posłusznie skręcił ku masywnej postaci i przejechał tuż obok Bassetta, który w ostatniej chwili uskoczył na bok. Kathy przyciągnęła do siebie drążek i wcisnęła sprzęgło. Zachrząściły biegi i jeep nabrał prędkości.

Zerknęła we wsteczne lusterko. Gunther przykląkł na jedno kolano i celował z pistoletu trzymając jedną rękę wyprostowaną, a drugiej używając jako podpórki. Rozległ się huk wystrzału i niedaleko, z lewej strony, rozbryzwał się pył z trafionej grudy ziemi. Żle

wycelował. Po chwili brzęknęła blacha - druga kula trafiła w zderzak. Nie, znowu niecelnie. Opony. Celował w opony.

Kathy odepchnęła drażek od siebie, wrzuciła trzeci bieg i docisnęła pedał gazu do oporu. Omal nie straciła panowania nad kierownicą, gdy rozpędzony jeep podskakiwał na nierównościach, ale zaparła się z całych sił i jakoś ją utrzymała.

Gunther i jego dwaj pomocnicy zostawali coraz dalej w tyle. Kathy wrzuciła czwarty bieg i po raz ostatni spojrzała w lusterko. Nie widziała wyraźnie, ale odniosła wrażenie, że Bassett i Gunther, który wyciągał rękę w jej kierunku, wykrzykują coś do siebie.

Rozejrzała się po wyboistej sawannie jadąc najszybciej, jak się dało. Z trudem panowała nad jeepem, ale coraz bardziej zwiększała odległość dzielącą ją od porywaczy.

Gdy tak patrzyła na rozpościerające się dokoła, porośnięte krzewami płowe pustkowie, w końcu wzięty górę emocje, zaczęła drżeć na całym ciele i do oczu napłynęły jej łzy.

Poczuła ich słony smak i usłyszała dopominający się o posłuch wewnętrzny głos rezygnacji. Owszem, poszczyściło jej się o tyle, że zdołała uciec, ale co właściwie przez to osiągnęła? Z pewnością będą ją ścigać, a pędziła jak szalona w nieznanym kierunku, być może oddalając się od tych, którzy mogli jej pomóc.

Wraz z tymi myślami ogarnęło ją przemożne zmęczenie. Poczuła, że jest cała obolała i ogromnie tym wszystkim znużona, wymęczona do cna. Przez krótką chwilę rozważała nawet możliwość zatrzymania się. Nacisnęłaby hamulec i po prostu stanęła, przyznając przed sobą, że

więcej już nie zniesie, bo wyczerpała cały zapas sił.

Chwila słabości jednak minęła i Kathy nie zatrzymała jeepa. Jakaś siła z głębokich pokładów świadomości ponaglała ją do dalszej jazdy - ta sama siła, która pchała ją przez seanse hipnotyczne, ta sama siła, która przywiodła ją do Afryki.

Kathy z determinacją zacisnęła ręce na kierownicy i jechała dalej. Mimo zwątpienia, zmęczenia i nękającego całe ciało bólu, nie zamierzała rezygnować. Musiała najpierw odnaleźć to, czego szukała, musiała najpierw dotrzeć do celu, który - wiedziała o tym - miał stać się dla niej początkiem.

ROZDZIAŁ 21

Frank Gunther odbiegł nieco od prawdy mówiąc Dogowi Bassettowi, że jest najlepszym tropicielem w Kenii. Był dobry jak na białego, ale znalazłoby się dwudziestu kilku lepszych od niego rodowitych Afrykańczyków. W szczególności jeden Kenijczyk osiągnął taką biegłość w odczytywaniu śladów na ziemi, po której się poruszał, że nawet najzdolniejsi członkowie innych plemion wyrażali się o nim z podziwem, jak o legendarnym bohaterze. Gdyby ktokolwiek inny podążał za Frankiem, kluczenie białego myśliwego zapewne odniosłoby skutek. Frank Gunther nie wziął jednak pod uwagę, że pod gorącym kenijskim niebem tropił go nie byle kto, bo

sam Twamba.

Pod przewodnictwem niezmordowanego Masaja, Sammy wraz ze swymi pasażerami jechał uparcie naprzód, godzina za godziną. Wprawdzie żaden z przypadkowo spotkanych podróżnych nie widział Gunthera i jego towarzyszy, ale Twamba, zatrzymawszy się na chwilę, żeby obejrzeć ziemię i pobliskie krzewy, za każdym razem dosiadał znów żyrafy i bez wahania dawał znak do odjazdu. I tak minął cały dzień. Czasami, na krótko, Twamba odjeżdżał galopem na żyrafie i znikał im z oczu, ale po kilku minutach zjawiał się z powrotem i machał na Sammy'ego, żeby kazał Injaiowi skręcić.

Jadącym w mikrobusie doskwierał upał i zmęczenie podróży. Wraz z upływem dłużeń się godzin stopniowo tracili nadzieję i prawie wcale się nie odzywali.

Ziołowy lek zaaplikowany Braxtonowi przez Twambę zmuszał jego organizm do rozluźnienia się i choć Braxton walczył z sennością, łapał się na tym, że przysypia. Zbudził go dopiero gwałtowny wstrząs, który nieprzyjemnie odczuł podskakując na twardym siedzeniu. Pasażerowie siedzący w przodzie też czuli zmęczenie, ale nie mogli zasnąć. Wypatrywali przez okno Masaja, który wskazywał im drogę. Wiedzieli, że prędzej czy później Twamba powróci przyznając się do porażki bądź oznajmiając, że znalazł Gunthera za najbliższym wzniesieniem. Kiedy zmęczone twarze odwróciły się ponownie za oddalającym się Twambą, nikomu nie przyszła do głowy trzecia ewentualność, która wkrótce miała okazać się prawdziwa.

Prowadząc jeepa, Kathy ponownie spojrzała we wsteczne lusterko. Ciągłe sprawdzała, czy nikt jej nie goni. Nie. Żeby tylko tak już zostało. Wiedziała jednak, że to próżne nadzieje. Musieli rzucić się za nią w pościg. Zbyt wiele ryzykowali porywając ją, żeby teraz pozwolić jej uciec.

Jak długo jechała? Ile minut minęło? Czy od razu pojechali za nią? Uchyliła okno, ale mimo powiewu wpadającego przez dziurę wybitą w szybie przez Gunthera, w samochodzie było nieznośnie gorąco i duszno. Pot spływał jej z czoła do oczu, wywołując pieczenie i chwilami niemal oślepiając. Ręce bolały ją od nieustannego zmagania się z kierownicą, a podeszwy stóp miała odparzone od naciskania na pedały. Parła jednak naprzód, gnana strachem, że kiedy znów spojrzy w lusterko, zobaczy w nim szykującego się do ataku Gunthera.

Zaciskając zęby, nie poddawała się straszliwemu, obezwładniającemu zmęczeniu, jeszcze mocniej uchwyciła kierownicę i docisnęła pedał gazu. Odsuwała od siebie pytanie, jak długo utrzyma takie tempo. Jednego była pewna: nie podda się, nie zrezygnuje aż do ostatka, dopóki całkiem nie opadnie z sił.

Przez chwilę nie była pewna, czy coś jej się nie przywidziało. Przyciągnęło jej wzrok jakiś ruch z prawej strony i serce zabiło jej szybciej ze strachu. Czyżby Gunther? Nie, zobaczyła wyraźniej przybliżającą się sylwetkę i trochę jej ulżyło. To było tylko zwierzę, pędzące ku niej żyrafa. Ciekawość wyostrzyła wzrok wyczerpanej i przerażonej Kathy, która ze zdumieniem przyglądała się nadbiegającemu zwierzęciu. Żyrafa niosła na pochyłym grzbiecie

człowieka.

Doznała olśnienia. Twamba! Tak, to przecież ten Masaj, po którego pojechał Sammy. Twamba. Długimi nogami obejmował żyrafę w kłębie, jedną ręką przytrzymywał się wydłużonej szyi i galopował równo z jadącym jeepem. Raptem wydał głośny okrzyk i potrząsnął włócznią, którą uniósł wysoko do góry. Żyrafa skreśliła w bok, po czym zawróciła tam, skąd przybiegła.

Kathy zwolniła, patrząc za oddalającą się żyrafą. Masaj nie oglądając się pędził przed siebie. Ciasno splecione warkoczyki tańczyły mu wokół głowy, a luźna szata powiewała na wietrze. Wkrótce zniknął jej z oczu.

Kathy zwolniła jeszcze bardziej. Wreszcie udało jej się nawiązać z kimś kontakt, choć nie w taki sposób, w jaki to sobie wyobrażała. Co oznaczał ten okrzyk? Dlaczego Masaj tak nagle zawrócił? Czy wyruszył na poszukiwania w porozumieniu z Sammym? Czy też spotkanie było przypadkowe? Właściwie to w tej chwili bez znaczenia. Nie miała wielkiego wyboru.

Skreśliła kierownicą w prawo i dodała gazu. Zawróciła z bijącym sercem, wiedząc, że może popełnia nieodwracalny błąd, ale przecież nie mogła bez końca jechać ślepo przed siebie. Jeśli zaś Masaj doprowadzi ją do ludzi, to wśród nich będzie bezpieczna.

Wtem w polu jej widzenia znów pojawiła się galopująca żyrafa, tym razem jednak jeździec nie był sam. Jechał za nim turystyczny mikrobus. Przez kilka sekund Kathy nie wierzyła własnym oczom, ale pojazd zbliżył się na tyle, że nie mogła mieć wątpliwości. Serce zaczęło

jej walić jak szalone - tym razem jednak nie ze strachu, lecz z radości!

Wcisnęła hamulec tak gwałtownie, że jeep zarzucił i wpadł w lekki poślizg. To był ich mikrobus i jechał po nią! Jakimś cudem, niewyjaśnionym zbiegiem okoliczności, odnaleźli ją. Była uratowana. Może więc Eddie miał rację. Może czuwała nad nimi jakaś siła.

Kathy otworzyła drzwiczki. Twamba był już dość blisko i głośno krzychał, wymachując nad głową włócznią. A mikrobus? Jego kierowca hamował gwałtownie, pojazd skręcił w bok wzbijając tuman kurzu. Kathy już unosiła rękę, aby pomachać do pasażerów mikrobusu, już miała wyskoczyć z jeepa, gdy z przyzwyczajenia, ostatni raz, zerknęła we wsteczne lusterko.

I zrozumiała. Daleko w tyle wyrósł jak spod ziemi ich poprzedni mikrobus marki Volkswagen, siejąc postrach jak nadciągająca gradowa chmura. Kathy zrozumiała, dlaczego tubylec tak krzychał. Próbował ją ostrzec. Za wcześnie się zatrzymała.

Nie było czasu, żeby znów uruchomić jeepa. Jeśli nie uda się uruchomić silnika za pierwszym razem, będzie zgubiona. Kathy wyskoczyła z samochodu i poczuła ból w kostkach, uderzając bosymi stopami w twardą ziemię. Obejrzała się szybko przez ramię na pędzącego ku niej volkswagena i ruszyła przed siebie. Biegła w kierunku znajomej sylwetki Sammy'ego, który ukazał się w otwartych drzwiach mikrobusu. Zauważyła, że Sammy trzyma strzelbę. Uprzytomniła sobie jeszcze coś. Injai wykręcił pojazd bokiem w ramach taktyki obronnej. Mieli ją zabrać, ale nie było czasu czekać, aż sama dobiegnie. Musiał ją do nich podwieźć Masaj na swojej żyrafie.

Nikt nie zdziwiłby się bardziej na widok mikrobusu Sammy'ego niż Frank Gunther, który gonił uciekającą Kathy i miał ją prawie w garści. Gdy jednak zobaczył żyrafę, w jednej sekundzie wszystko stało się jasne. Twamba! Cholera! Nic dziwnego, że Sammy pojechał jego śladem. Widząc mikrobus i Masaja, Frank oprócz zaskoczenia nie poczuł nic więcej. Chłodnym umysłem zawodowca ogarnął nowe elementy sytuacji i uznał, że bez trudu sobie z nimi poradzi. Najważniejsze złapać dziewczynę, a cel ten zamierzał osiągnąć za wszelką cenę.

Najpierw należało zatrzymać Twambę, planował Gunther. Z Sammym nie powinno być trudności. Ten głupiec popełnił poważny błąd taktyczny, zbyt wcześnie zatrzymując mikrobus. Powinien był dojechać do samego jeepa, zamiast liczyć na pomoc Twamby. Frank przysiągł w duchu, że drugi raz nie pozwoli uciec żyrafie.

Krzyknął do Dingo, żeby trochę zwolnił, i wskazał na Kathy i doganiającą ją żyrafę.

- Zastrzelę to zwierzę, Dingo. Trzymaj mocno kierownicę!

Nie patrzył już na kierowcę, tylko przyłożył oko do celownika sztucera. Ze spokojem doświadczonego myśliwego przesuwiał lufę tak, by zwierzę cały czas znajdowało się na muszce, jednocześnie odbezpieczając kciukiem broń. Nie przestając wodzić za ruchomym celem, pociągnął spust. Huknął strzał i biegnąca daleko w przedzie żyrafa potknęła się i upadła. Gunther nie zmienił pozycji strzeleckiej, nie triumfując z powodu trafienia.

- Dobra, Dingo - zawołał. - Dodaj gazu. Mam Masaja na muszce.

Jedźmy bliżej.

- Już się robi - krzyknął Dingo. Roześmiany od ucha do ucha, wcisnął sprzęgło i wrzucił wyższy bieg. Volkswagen szarpnął.

- Ostrożniej, do jasnej cholery - warknął Frank, przytrzymując się ramy okna.

- Patrz, *Bwana!* Twamba wstaje! - krzyknął Dingo, ściskając mocniej kierownicę.

Frank przesunął lufę nieco w prawo, patrząc przez celownik na nieruchomą Kathy, którą Masaj brał właśnie na ręce.

- Tak, mam go. Obserwuj mikrobus. Wychodzą z niego. Daj mi znać, jeśli zaczną iść w jej stronę, to postrzelam, żeby ich nastraszyć. Jedź równo, Dingo. Trzymaj mocno kierownicę. Mam Twambę na muszce. Postrzele go w nogę. Kiedy się przewróci, zawiesz mnie tam, otworzysz drzwi, a ja złapię dziewczynę. Wpakuję ją tu do środka, a wtedy z tamtymi z mikrobusu koniec.

Myśliwy położył palec na spuście i patrzył przez celownik na mocne, żylaste nogi sadzącego susami Twamby.

- Proszę bardzo - mruknął Frank i nacisnął spust.

Kiedy Braxton zobaczył nadjeżdżającego na żyrafie Twambę, przeszedł przez tylne siedzenie do okna, żeby zorientować się, dlaczego Masaj wydaje ostrzegawcze okrzyki. Z ulgą stwierdził, że pokonywanie przeszkody nie sprawiło mu bólu, a zatem mikstura Twamby zaczęła już działać.

Nagle wszyscy wyciągnęli ręce i zaczęli krzyczeć. Na polecenie

Sammy'ego prowadzący mikrobus Injai wykręcił bokiem i wtedy Braxton też zobaczył to, co widzieli już inni. Pędził ku nim jeep. Taki sam jeep Cherokee, jakim jeździł Gunther. Ale to nie on siedział za kierownicą. To był ktoś drobniejszy, z dłuższymi włosami. Kiedy rozpoznał znajomą sylwetkę, poczuł wielki przypływ energii. Kathy! Za kierownicą siedziała Kathy!

- To ona! - zawołał Braxton. Zapiszczały hamulce i jeep zatrzymał się nie opodal.

- Widzę - odparł Sammy. - Ale nie jest sama. Spójrz dalej!

Braxton spojrział za jeepa i zobaczył pędzący po sawannie turystyczny mikrobus. Twamba zawrócił swojego wierzchowca z długą szyją i galopował do Kathy, a Sammy chwyciwszy broń otworzył drzwi i krzyknął coś do niego w suahili. Potem zawołał w głąb pojazdu:

- Zostańcie tutaj! Twamba ją przywiezie!

- Przepraszam, Sammy, idę z tobą - powiedział Braxton, który już stał gotów do wyjścia, ściskając w ręku strzelbę.

Sammy chciał zaprotestować, ale przerwał mu dramatyczny krzyk Zeldy. Żyrafa Twamby potknęła się, szyja załamała jej się do tyłu, a wysoki tułów runął do przodu. Biegnąca w stronę żyrafy Kathy cofnęła się przerażona. Bryznęła na nią krew rannego zwierzęcia, które padło jak podcięte.

Widząc, jak żyrafa przewraca się na ziemię, Braxton zareagował bez zastanowienia. Kobieta, którą kochał, znalazła się w niebezpieczeństwie, więc nie miał żadnego wyboru.

Wszystko rozgrywało się bardzo szybko. Braxton zdawał sobie

sprawę z tego, co się dzieje, a jednocześnie wydawało mu się, że to, co ogląda, jest jakby niezależne od jego własnych działań. Z rozmysłem odwrócił się i wysadził lufę przez boczne okno, odbezpieczając mechanizm spustowy. Twamba jakimś cudem podniósł się z ziemi i podbiegał do Kathy. Sammy wraz z Eddiem wypadli przez drzwi mikrobusu i pędzili naprzód, do Kathy. Od przeciwnej strony zbliżał się do niej szybko volkswagen.

Braxton przyłożył kolbę do ramienia i spojrzał przez celownik na nadjeżdżający pojazd. Volkswagen był na tyle blisko, że widział jego pasażerów. Siedzący za kierowcą mężczyzna też trzymał uniesioną broń, jakby szykował się do strzału.

Twamba znalazł się u boku Kathy. Olbrzymi wojownik niemal w biegu porwał ją w ramiona i zawrócił do mikrobusu takim samym wydłużonym, prężnym krokiem. Sammy i Eddie zatrzymali się, wykrzykując do Twamby słowa ponaglenia i zachęty.

Z policzkiem przy lufie Braxton skupiał całą uwagę na tym, żeby utrzymać jadący pojazd w celowniku. Znacznie wyraźniej widział teraz pasażerów volkswagena. Widział z całą pewnością, że mężczyzna w kapeluszu safari, siedzący za kierowcą, wystawił strzelbę przez okno mikrobusu. Gunther! Wodził lufą za ruchomym celem i przymierzał się do strzału. Chciał powalić Twambę, zanim ten schroni się w bezpieczne miejsce.

- Przepraszam, Ed - wymamrotał Braxton. Oparł mocniej kolbę w zagłębieniu ramienia i nacisnął wygięty metalowy języczek, na którym zahaczył palec. Poczł odrzut jak uderzenie i zaczął strzelać raz po raz.

Nie po raz pierwszy trzymał w ręku broń. Nie był jednak doborowym strzelcem i najpierw haniebnie chybił. Podobnie stało się za drugim i za trzecim razem. Prawdopodobieństwo, że w końcu trafi w ruchomy cel, rosło, i rzeczywiście, czwarty wystrzał okazał się celny.

Właśnie dlatego Frank Gunther nie trafił Masaja. Gdy pociągał za spust, czwarta kula wystrzelona przez Braxtona przebiła przednią szybę volkswagena po stronie kierowcy. Klejone szkło nie roztrzaskało się w kawałki, lecz popękało nieregularnie, tworząc siateczkę w kształcie gwiazdy wokół okrągłej dziury po kuli. Nie czyniąc nikomu krzywdy, pocisk wyleciał przez dach, ale głośny huk tuż przed twarzą Dingo tak go przestraszył, że instynktownie uchylił się i szarpnął kierownicę. Volkswagen skręcił w bok i Frank wystrzelił w powietrze.

- Jedź równo, do cholery! - ryczał Frank, wymierzając broń w Twambę.

Ale Braxton wciąż strzelał, kule odbijały się rykoszetem od karoserii i ogarnięty paniką Dingo nie słuchał swojego pracodawcy. Z oczami wytrzeszczonymi z przerażenia wcisnął pedał gazu do oporu i wparł się rękoma w kierownicę.

Mikrobus popędził naprzód z rykiem silnika i Frank natychmiast spostrzegł, co im grozi. Kierowca pod wpływem szoku jechał prosto na stojącego przed nimi jeepa.

- Dingo, skręcaj! - wrzasnął Frank, czepiając się rękoma oparcia i sięgając do przodu. - Skręcaj! Zaraz nas rozbijesz, durniu!

Czas mijał nieubłaganie, a volkswagen w szaleńczym pędzie zbliżał się do jeepa. Na kilka sekund przed nieuchronnym, jak się

zdawało, zderzeniem, Frank upuścił sztucer na podłogę i rzucił się do kierownicy.

Zamaszystym ruchem jednej ręki odtrącił Dingo na bok, a drugą chwycił kierownicę. Dingo jednak ją trzymał, jakby mu ręce przyrosły. Widząc przez popękana szybę ogromniejącego jeepa, Frank złapał oburącz kierownicę i szarpnął w prawo.

Frank Gunther jeździł z wycieczkami na safari mikrobusem marki Volkswagen z dwóch powodów. Po pierwsze, wysokie podwozie ułatwiało klientom jadącym przez sawannę obserwowanie zwierzyny, po drugie, pojazd ten miał wtrysk paliwa. Frank z doświadczenia wiedział, że podczas jazdy przez sawannę do komory silnika dostaje się tyle błota i kurzu, że każdy gaźnik musi się zapchać. System wtrysku paliwa w volkswagenie eliminował ten problem. Niestety, obie te cechy, korzystne w normalnych okolicznościach, okazały się zgubne w krytycznej chwili, gdy Frank chwycił za kierownicę.

Przy dużej szybkości wysokie podwozie uniemożliwiło wykonanie tak ostrego skrętu, jaki dyktowała kolumna kierownicy. Raptowne wykręcenie przednich kół zapobiegło wprawdzie zderzeniu czołowemu, ale jednocześnie poderwało z ziemi lewy bok volkswagena, który pojechał na dwóch kołach, zdumiewając swoimi zdolnościami utrzymania równowagi. Przechylony przedni zderzak ze zgrzytem zarysował na karoserii jeepa długą krechę. Potem, minawszy jeepa, lecz wciąż balansując na dwóch prawych kołach, mikrobus zatoczył szeroki łuk i siłą rozpędu wyrzuciła go w powietrze. Przekoziołkował trzy razy, aż legł z trzaskiem na boku.

Dingo nie mógłby się ruszyć, nawet gdyby chciał. Nadział się klatką piersiową na kolumnę kierownicy, a w przedniej szybie wybił głową dziurę najeżoną szklanymi kolcami. Odłamki szkła tkwiły w wysuniętej na zewnątrz twarzy, bezzębnych teraz ustach i szyi.

Gdy mikrobus znieruchomiał, Gunther jeszcze żył. Choć ranny i zdezorientowany, natychmiast zmusił się do działania.

Ponaglała go nie tylko chęć jak najszybszego wydostania się z wraku. Warkot nieprzerwanie pracującego silnika sygnalizował, że system wtrysku paliwa cały czas działa. W takiej kraksie z pewnością pozrywały się przewody i pompa lała benzynę prosto na rozgrzany silnik.

Myśląc gorączkowo o tym, że siedzi zamknięty w tykającej bombie zegarowej, Frank chwycił jedną ręką sztucer, a drugą pchnął znajdujące się bezpośrednio nad jego głową drzwiczki. Nawet nie drgnęły. Nie tracąc ani chwili wyprostował się, przesunął nogi szukając dla nich jakiegoś oparcia i kolbą sztucera uderzył w okno drzwiczek. Zmieniając pozycję, przypadkiem stanął prawą nogą na karku kierowcy. Gdy zaparł się mocniej, coś chrupnęło - kręgosłup Dingo nie wytrzymał dodatkowego obciążenia i pękł. Frank nawet tego nie zauważył. Z rozbitej szyby wytłukł co większe kawałki ostrego szkła, podciągnął się na rękach i zaczął wydostawać na zewnątrz przez wąski otwór.

Frank słusznie ocenił zagrożenie, gdy bowiem wysunął się do połowy z przewróconego mikrobusu, nastąpił wybuch. Języki ognia wyskoczyły od spodu wzdłuż przewodów paliwowych, a skierowany

do środka impet wybuchu rozsadził wewnątrz. W blasku eksplozji Frank Gunther wyleciał w powietrze wraz z kawałkami metalu, innymi odłamkami i rozerwanymi szczątkami Dingo.

Przed chwilą Kathy, bezpieczna koło mikrobusu Sammy'ego, wraz z przyjaciółmi patrzyła zdumiona, jak rozpędzony volkswagen nagle skręca, przechyla się na bok i koziółkuje. Teraz przyglądali się w milczeniu ostatnim strzępom opadającym na ziemię po wybuchu. Kłęby dymu uniosły się, odsłaniając roztrzaskany wrak.

- Hiii! - wykrzyknął radośnie Injai i zeskoczył z fotela kierowcy, aby pogratulować przechodzącemu Braxtonowi. - To dopiero był strzał, Buddy! Zatrzymałeś ich na dobre. Dalej nie pojedą!

Eddie popatrzył na Braxtona, który wypadł z mikrobusu i chwycił w objęcia Kathy. Potem spojrział na Injaia.

- Braxton?

- A jakże - powiedział z uśmiechem Injai. - Buddy trafił w sam środek przedniej szyby i dlatego się rozbili.

Słuchając Injaia Sammy zerknął na Braxtona, ale szybko przeniósł wzrok z powrotem na Twambę. Po wybuchu Masaj podbiegł do wyciągniętej na ziemi, znieruchomiałej żyrafy. Teraz potężny wojownik klęczał przy niej z pochyloną głową i gładził po długiej szyi.

- Biedny człowiek, biedne zwierzę - powiedziała cicho Kathy, unosząc głowę z ramienia Braxtona.

- Ta żyrafa znaczy dla Twamby więcej niż zwykłe zwierzę - rzekł Sammy, tłumiąc wzruszenie. - Twiga była jego wierną towarzyszką i przyjacielem. Twamba kochał Twigę bardziej niż

kogokolwiek na świecie.

Zelda wybiegła z mikrobusu, żeby uściskać Kathy, zanim jednak odezwała się, Injai powiedział coś, co zwróciło uwagę wszystkich na dopalający się wrak.

- Ktoś się tam jeszcze rusza, Sammy - rzekł Injai, wskazując nieco bardziej na lewo i bliżej nich. - Wygląda potężnie. To chyba Gunther.

Sammy odbezpieczył broń.

- Zostańcie tu - polecił. - Pójdę sprawdzić.

- Sammy - powiedział ostrzegawczo Eddie. Przewodnik spojrzął twardo na księdza. Twarz mu

stężała. Bez słowa odwrócił się i ruszył we wskazanym przez Injaia kierunku.

Zanim Sammy dotarł na miejsce, stwierdził, że Injai miał rację. Gunther. Przewodnik rozluźnił zaciśnięte na strzelbie palce. Leżący człowiek nie stwarzał zagrożenia. Poruszał się trawiony bólem.

Gunther jakimś cudem zachował przytomność i kiedy Sammy podszedł dostatecznie blisko, rozpoznał go i usiłował podnieść się z ziemi. Ale pokiereszowane ciało odmówiło mu posłuszeństwa, więc leżał, zakrwawiony i poparzony. Twarz zapłonęła mu nienawiścią, gdy Sammy spojrzął na niego z góry.

- Mówiłem, że ten cholerny Dingo jest kierowcą do dupy - wychrypiął Gunther. - Nie byłoby tej kraksy, gdybyś ty siedział za kółkiem.

Sammy zaciskał zęby, aż drżał mu policzek. Nic nie mówiąc,

zwierał i rozwierał palce na kolbie strzelby.

- No i co, myślisz, że mnie zastrzelisz? - szydził Gunther parszcząc śmiechem, ale atak kaszlu wykrzywił mu twarz grymasem bólu. - Akurat! Daj sobie spokój, chłopaczku. Nie jesteś dość twardy, żeby strzelać do bezbronnego, nawet jeśli nienawidzisz tego skurwysyna tak jak mnie.

Sammy przełożył broń z ręki do ręki, kierując wylot lufy na czoło Gunthera.

Myśliwy znów się roześmiał.

- W porządku, snajperze. Pokaż, co potrafisz. Dzisiaj prawie wszystko spieprzyłem. Pasowałby taki koniec.

- Sammy, nie - odezwał się Eddie, stając koło przewodnika. - Nie wolno ci tego zrobić.

- Powiedziałem, żebyś został przy mikrobusie - odparł Sammy, nie spuszczając Gunthera z oka.

- Sammy, nie możesz zabić człowieka z zimną krwią.

Sammy obejrzał się na księdza.

- Wracaj do mikrobusu, Eddie. To nie twoja sprawa.

- No, dalej, czarnuchu - warknął Gunther. - Jeśli masz mnie zastrzelić, to pokaż jaja i zrób to. A jeśli nie, to wynoś się i zostaw mnie w spokoju.

Sammy patrzył z góry na okrutnego szydercę i głos mu zadrżał z wściekłości, gdy mówił:

- Nie chcę więcej o tobie słyszeć, Gunther.

Z mściwym błyskiem w oku, raptownie uniósł broń do góry,

wziął szeroki zamach i rąbnął Franka Gunthera stalową lufą w głowę.

Z ust Gunthera wyrwał się głośny jęk. Z rany na czole wypłynęła powoli krew i pociekła po twarzy. Trzęsąc się z wściekłości, Sammy poderwał strzelbę do góry z zamiarem zadania drugiego ciosu, ale Eddie pomieszał mu szyki, chwytając obiema rękami za lufę i mocno przytrzymując.

- Dość tego! - krzyknął Eddie.

Z dzikim, gniewnym rykiem Sammy odwrócił się do księdza. Eddie zdecydowanym ruchem wyrwał mu strzelbę i rzucił jak najdalej od siebie. Sammy zacisnął pięści.

- Wystarczy, Sammy - rzekł cicho Eddie, patrząc mu w oczy. - Zostaw go. Jeżeli będziesz go dalej bić, większą krzywdę wyrządzisz sobie.

Sammy przez chwilę stał całkiem nieruchomo, po czym wściekle zawył, okręcił się i z całych sił kopnął Gunthera w brzuch. Nie oglądając się na rzeżącego i zwijającego się z bólu myśliwego, Sammy minął księdza i poszedł po strzelbę.

- Teraz wystarczy - powiedział. Odzyskawszy broń, Sammy wrócił szybko do czekającej koło mikrobusu gromadki. Kathy stała za Braxtonem, obmacując mu dół pleców.

- Bardzo cię boli? - spytała.

- Nic mu nie będzie - odparł zamiast Braxtona Sammy. -

Twamba dał mu lekarstwo. Martwimy się o ciebie. Nic ci nie zrobili?

Kathy potrząsnęła głową. Było widać, że stara się zbagatelizować to, co zaszło.

- Nie. Przeżyłam kilka przykrych chwil, ale... nic mi nie jest.

- Bogu dzięki, że nic ci się nie stało - powiedział Braxton, objął Kathy ramieniem, ujął ją pod brodę i zajrzał w oczy. - Wariowałem z niepokoju o ciebie. Nie wiem, co bym z sobą zrobił, gdybyśmy cię nie odnaleźli.

Nie mogąc dobyć głosu, Kathy przygryzła wargi i z oczami pełnymi łez przytuliła się do Braxtona, w którego ramionach czuła się bezpiecznie. Po chwili Braxton wskazał Twambę. Znów dzierżąc groźną włócznię, masajski wojownik odwrócił się od martwej żyrafy i szedł w kierunku grupy turystów.

- Lista długów, jakie zaciągnęliśmy wobec twojego przyjaciela, Sammy, stale rośnie. Bez jego pomocy nigdy nie dotarlibyśmy do Kathy. Poza tym ten jego czarodziejski napój, w którym nie wiadomo co jest, naprawdę skutkuje. Zdecydowanie mniej dokucza mi ból. Widziałem, Sammy, że coś tam zaszło między tobą a Eddiem. Czy już wszystko w porządku?

- Tak - odparł Sammy, zwracając się do wszystkich, nie tylko do Braxtona. - Ale chciałbym jeszcze uzyskać odpowiedź na kilka pytań. Nie widzę Doga Bassetta.

- Zraniłam go dość poważnie śledziem do namiotu

- wyjaśniła Kathy. - Gunther pewnie na niego nie czekał.

- Ale żyje?

- Będzie żył... niestety - odparła, wstrząsając się na wspomnienie napastującego ją brutala.

Sammy pokiwał głową.

- Gunther też przeżyje. Musimy szybko zdecydować, co teraz zrobimy.

- Czy nie powinniśmy zgłosić tego, co się stało?

- spytała Zelda. - Ktoś na pewno natknie się na wrak, nawet jeśli nikt do tej pory nie zauważył dymu. Przecież zginął kierowca i Gunther wciąż tam leży.

Sammy wzruszył ramionami.

- To był nieszczęśliwy wypadek. Gunther polował na zwierzynę łamiąc prawo. Niech się tłumaczy, jeśli ktoś go znajdzie. Mówię wam, jeżeli nie chcecie być przetrzymywani na długich przesłuchiowaniach, to musimy szybko stąd jechać.

- Tak strasznie mi przykro z powodu tej żyrafy, Sammy - powiedziała Kathy patrząc na Twambę, który podszedł właśnie do przewodnika. - Powiedz mu to.

Sammy odwrócił się i przetłumaczył Masajowi słowa Kathy. Gdy skończył mówić, Twamba zwrócił się do Kathy i powiedział coś gardłowo.

- Co on mówi? - spytał Eddie.

Sammy porozmawiał chwilę z Twambą, po czym wyjaśnił:

- Twamba mówi, że nie trzeba się smucić. Twiga zginęła bohaterską śmiercią, a to jest dobra śmierć. Twamba spytał, czy Kathy jest tą kobietą, która ma wizje, o czym już mu kiedyś wspomniałem. Powiedziałem, że tak.

Gdy Sammy relacjonował rozmowę, Twamba podszedł do Kathy i przez chwilę po prostu na nią patrzył. Potem uniósł rękę do jej twarzy

i odwrócił głowę Kathy raz w jedną, raz w drugą stronę, przypatrując się uważnie i w skupieniu. Wreszcie puścił ją, wypowiedział kilka słów do Sammy'ego i podszedł do mikrobusu. Przytrzymując się drabinki, wdrapał się na bagażnik na górze i usiadł, opierając włócznie o metalowy dach. Obejrzał się na stojących na dole, wypowiedział komendę i popatrzył znów przed siebie.

- Wszyscy wsiadamy do mikrobusu - rzekł Sammy, zaganiając podopiecznych do drzwi. - Twamba każe ruszać w drogę.

- Czekajcie - krzyknęła Zelda i zagroziła drogę do wejścia. Odwróciła się do Braxtona, który chciał pomóc Kathy wsiąść, i uniosła rękę w geście protestu. - Proszę was, uważam, że powinniśmy... to rozważyć. Naprawdę nie... nie przypuszczałam, że dojdzie do takich wydarzeń. - Wskazała Eddiego, który klęczał nie opodal wraka volkswagena. - Powinniśmy byli słuchać ciebie, Braxton, przyznaję to z przykrością. Z przykrością, bo Kathy tyle wycierpiała, zginęli ludzie i można było tego wszystkiego uniknąć. I choć bardzo bym pragnęła doprowadzić te poszukiwania do końca, to przeżycia Kathy i tragiczne wypadki każą mi powiedzieć: stop.

Kathy zrobiła krok w jej stronę.

- Chcesz powiedzieć, Zeldo, że powinniśmy zrezygnować? Chyba nie mówisz tego poważnie.

Zelda niespokojnie przestąpiła z nogi na nogę i skinęła głową.

- Tak. Uważam, że nikt nie powinien być narażony na takie przeżycia, przez jakie przesłaś. Skończmy z tym, Kathy. Z pewnością Braxton zgodzi się ze mną.

Kathy odwróciła się do swojego towarzysza i spytała cicho:

- Braxton?

- A co ty o tym myślisz, Kathy? - odpowiedział pytaniem. - Sama najlepiej wiesz, ile wycierpiałas. Czy nadal uważasz, że ta wyprawa jest tego warta?

Kathy nie odpowiedziała od razu. Rozejrzała się po stojących wokół niej przyjaciółach i przeniosła spojrzenie na dach mikrobusu, gdzie siedział Masaj. Twamba patrzył na nią z góry badawczym, przenikliwym wzrokiem. Wielki wojownik spoglądał na Kathy przez dłuższą chwilę, a potem machnął energicznie włącznią, dając znak do odjazdu.

- Jedziemy - odpowiedziała spokojnie Kathy. - Wsiadajcie, słyszeliście, co mówił Sammy. Twamba każe nam jechać.

- Kathy... - zaczęła z powątpiewaniem Zeld.

- Nie, Zeld - rzekła Kathy. - Nie przerwiemy wyprawy. Wiem, że dzięki tobie tu dotarliśmy, ale to ja naprowadziłam was na tę drogę, więc ostateczna decyzja należy do mnie. Przeszłam o wiele więcej, niż się spodziewałam, ale nie zrezygnuję, Zeld. Nie mogę.

- Braxton. - Zeld szukała poparcia u dziennikarza. - Przedtem tak nalegałeś. Powiedz Kathy, że podzielasz moje zdanie.

Braxton postąpił naprzód i wziął Kathy za rękę.

- Jeżeli Kathy mówi, że jedziemy, to powinniśmy jej słuchać. - Nie czekając na odpowiedź Zeldy, odwrócił się i zawołał: - Chodź, Eddie. Jedziemy.

Książ, który klęczał przed dopalającym się wrakiem, wstał i

pospieszył do mikrobusu. Sammy czekał na niego w drzwiach.

Pozostali już wsiedli.

- Co z Guntherem, Sammy? - spytał Eddie. - On tam leży i jeszcze żyje. Nie możesz go tak zostawić.

- Gunther zostaje - oznajmił Sammy.

- Może umrzeć.

- Posłuchaj, Eddie - rzekł cicho Sammy. - Gunther zostawił mnie na sawannie i przeżyłem. On też przeżyje, nie mam co do tego wątpliwości. Przyjedzie po niego Bassett albo zjawią się wkrótce inni. Tak czy owak, mało mnie to obchodzi. Skończyłem z nim. Odjeżdżamy zgodnie z życzeniem Twamby. Podjąłem się być waszym przewodnikiem, a Twamba zgodził się pomóc nam odszukać to, co objawia się Kathy w wizjach. - Sammy skinął na kierowcę, żeby ruszał, ale Injai czekał, co powie ksiądz.

- Wsiadaj, Ed, jak pragnę zdrowia - ponaglił siedzący koło Kathy Braxton. - Gunther chciał zastrzelić Twambę i zapewne także Kathy. Tylko szczęśliwym zrządzeniem losu udało nam się udaremnić te plany. Jak sam mówiłeś, jakaś siła pcha nas do przodu i decyduje o naszym życiu. Poza tym Zelda słusznie przypuszcza, że ktoś już na pewno spostrzegł dym i jedzie w tę stronę.

- Chyba nie uważasz, Zeldo, że powinniśmy okazać obojętność i po prostu odjechać? - spytał z niedowierzaniem Eddie.

Hipnotyzerka zaczerpnęła głęboko powietrza i kiwnęła głową.

- Nie mamy wielkiego wyboru, Ed. Zwłaszcza jeśli zamierzamy kontynuować wyprawę. A Kathy tego chce.

- Słyszałeś, co powiedział Sammy, Eddie - rzekł Braxton. - Masaj nam pomoże. Pamiętasz, jak mówiłeś, żebym nie upadał na duchu? Niech będzie, co ma być, przyjacielu. Chcesz się dowiedzieć, dlaczego dzieje się tak, a nie inaczej? No to dowiedzmy się wreszcie, wóz albo przewóz. Jesteśmy na tropie wielkiego odkrycia. Dlatego tu przyjechałeś, Ed, więc wsiadaj i jedźmy odnaleźć ten grób!

Eddie z powątpiewaniem obejrzał się za siebie. Nie odzywając się więcej wsiadł do mikrobusu, minął Sammy'ego i poszedł dalej. Gdy zajął miejsce z tyłu, przewodnik skinął na kierowcę. Ten zamknął drzwi i wrzucił bieg.

ROZDZIAŁ 22

- Dokąd jedziemy, Sammy? - zawołał Braxton, gdy zaczęli się oddalać od porzuconego jeepa i leżącego nie opodal wraka.

- Będziemy się posuwać dalej na południe, ponieważ ten kierunek wskazała na początku Kathy - odparł Sammy. - Zbliżymy się do granicy z Tanzanią. Jeżeli zajdzie konieczność, przekroczyć granicę i wrócę do Kenii inną trasą.

- Chyba nie przypuszczasz, że ktoś nas może jeszcze śledzić - niepokoił się Eddie.

- No, nie wiem - odparł Sammy, zwracając się z poważną miną do księdza. - Uważam, że powinniśmy wziąć pod uwagę taką

możliwość.

- Widziałeś przecież, w jakim stanie był Gunther. A Kathy mówi, że Dog Bassett też nieźle oberwał.

- Nie lekceważ Gunthera, Eddie. Gdybym to ja decydował, już by nie żył. Ale ty tego nie chciałeś, więc należy cały czas pamiętać, że jest niebezpieczny. Powiem wam jedno: Gunther będzie próbował zemścić się na nas, póki żyje. - Sammy minął księdza, żeby zadać pytanie Kathy. - Jak długo jechałaś jeepem, zanim się spotkaliśmy? Kathy zmarszczyła brwi.

- Nie dłużej niż kilka minut. Sammy pokiwał głową.

- A więc Bassett jest niedaleko. Mówiłaś, że jest ranny. Jak poważnie go zraniłaś?

- Nie jestem pewna. Chyba trafiłam w oko, ale nie wiem, jak mocno go zraniłam.

- Jak udało ci się uciec, Kathy? - spytała Zelda nachylając się do niej z troską.

- Zaczniemy może od tego, jak im się udało porwać cię z obozu tak, że nikt się nie spostrzegł - dorzucił Braxton.

Kathy spojrzała najpierw na Braxtona.

- Wyszłam na chwilę z namiotu do toalety, a wtedy mnie złapali i zrobili zastrzyk usypiający. To stało się tak szybko, że nic nie mogłam zrobić. - Spojrzała na Zeldę, do której dosiadł się Eddie. - A z tą ucieczką... po prostu miałam szczęście. Kiedy Gunthera nie było w namiocie, Dog Bassett próbował... próbował mnie zaatakować. Zanim wszedł, wyciągnęłam z ziemi ten szpikulec. Kiedy się na mnie rzucił,

zaczęłam walić go nim po twarzy. Wrzasnął, złapał się za oko, a ja przeczołgałam się pod tylną ścianą namiotu i wskoczyłam do jeepa, Niewiele brakowało, a Gunther byłby mnie zatrzymał Cudem udało mi się odjechać.

- Zdaje się, że wydostałaś się z okropnych tarapatów - rzekła z podziwem Zelda.

Kathy westchnęła.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że uciekłam i jestem bezpieczna. - Raptem zmarszczyła brwi i spojrzała na przód mikrobusu. - Dopiero teraz się zorientowałam. Nie ma Chegee.

- Tak - potwierdził Braxton. - Dopadły go lwy.

- Lwy? To straszne.

- Niestety, przeżyliśmy niejedno w ciągu tych ostatnich godzin - powiedział Eddie, unikając spojrzenia Braxtona. - Rozmawiali z tobą, kiedy tam byłaś?

- Tak - odparła Kathy, chmurząc się na to wspomnienie. - Chcą dostać się do grobu. Są przekonani, że sprzedając jego zawartość na czarnym rynku, zdobędą fortunę. Nie miałam pojęcia, co robić, bo przecież nawet nie wiemy, gdzie jest ten grób. Powiedziałam o tym Guntherowi, ale nie uwierzył, że zajechaliśmy tak daleko, nie znając dokładnie celu podróży.

- Wcale mu się nie dziwię - rzekł Braxton z gorzkim uśmiechem.

- Sam byłem tym nieco zdziwiony.

Nad ich głowami rozległ się metaliczny łomot - trzy mocne uderzenia - a potem głośny okrzyk.

- To Masaj - powiedział Eddie, zadzierając głowę do góry. -
Stuka włócznią w dach.

Injai spojrział na Sammy'ego i na jego polecenie zaczął zwalniać.

- Bardzo źle cię traktowali... Gunther i Bassett? - spytał cicho
Braxton, gdy pozostali wypatrywali przez okna przyczyn alarmu
podniesionego przez Masaja.

- Źle - odpowiedziała Kathy, opierając głowę na jego ramieniu.

- Kiedy się obudziłem - rzekł Braxton obejmując ją- i
zobaczyłem, że cię nie ma, to... W życiu tak się nie bałem. Nie wiem,
co bym zrobił, gdybym cię stracił. Kathy uniosła głowę i pocałowała
go.

- Ale wróciłam. I jadę dalej, na przekór temu, co się stało... a
może właśnie po to, żeby znaleźć uzasadnienie tego, co przeszłam. I
nie zamierzam tracić cię z oczu, Brax. Jesteś pewien, że nie chcesz się
ze mną rozstawać?

- Niczego nie byłem tak pewien w całym swoim życiu - odparł z
uśmiechem.

Injai otworzył drzwi. Sammy wyszedł na spotkanie z Twambą,
który zeskoczył na ziemię przed zatrzymaniem się mikrobusu. Wszyscy
patrzyli na Sammy'ego i Twambę. Odezwała się tylko Zelda.

- Nic dziwnego, że Twamba tak się ożywił. Spójrzcie sami.

Przed nimi, w obie strony, rozciągało się bardzo szerokie jezioro.
Twamba mówił coś do przewodnika, zakreślając włócznią łuk
naśladujący linię brzegową. Jednakże uwagę wszystkich przykuł kolor
jeziora, nie jego rozmiary. Rozległa płaszczyna wody połyskiwała

czerwonawo.

Gdy Masaj skończył mówić, Sammy wszedł do mikrobusu.

- Zatrzymamy się tu na chwilę - oznajmił.

- Dlaczego akurat tutaj? - spytał Eddie. - Gdzie jesteśmy?

- Blisko granicy - wyjaśnił Sammy. - Macie przed sobą jezioro Natron. W większości położone w Tanzanii.

- Żebyś nie wiem jak namawiał, Eddie, nie przekonasz mnie do kąpieli w tej wodzie - zastrzegła się Zelda.

- Nie byłoby to rozsądne - przyznał Sammy. - Temperatura wody na powierzchni przekracza sześćdziesiąt stopni. Natron to słone jezioro zasobne w węglan sodu.

- Ale dlaczego zatrzymaliśmy się tutaj? - powtórzył Eddie i wskazał Twambę, który szedł w stronę brzegu.

- Co ten Masaj zamierza zrobić?

- Jak już mówiłem, Twamba to *Laibon* i ma dar przewidywania - wyjaśnił Sammy. - Kiedy w porze suchej spadnie deszcz, jak to się ostatnio zdarzyło, na cienkiej, krystalicznej powłoce jeziora gromadzi się słodka woda, dając życie mikroorganizmom, które zabarwiają całą powierzchnię na czerwono. - Wskazał Masaja, który przystanął na skraju rdzawej płaszczyzny.

- W przeciwieństwie do nas, Twamba nie rozumie tych zjawisk. Krwawy kolor jest dla niego ostrzeżeniem przed niebezpieczeństwem. Musi rzucić święte kamienie, żeby dowiedzieć się, przed czym ostrzega go czerwień i, jeśli się uda, co przyniesie przyszłość.

Eddie w skupieniu słuchał wyjaśnień przewodnika.

- Wiem, Eddie, że ty i pozostali nie wierzycie zapewne w umiejętności wróżbitów takich jak Twamba - ciągnął Sammy - ale muszę pozwolić na ten rytuał, zanim pojedziemy dalej.

- Zaczynam wierzyć, że wszystko jest możliwe, Sammy - rzekł ksiądz. - Czy możemy popatrzeć?

- Tak - odparł Sammy, zachęcając ich gestem do wyjścia. - Przy okazji rozprostujecie nogi.

- Świetnie - powiedział Braxton. - Chodźmy, Kathy. Przekonajmy się, czego dokona Twamba.

Turyści zatrzymali się nie opodal siedzącego na ziemi wojownika. Zelda, Eddie, Sammy i Injai stanęli razem po jednej stronie Twamby, natomiast Braxton, obejmując troskliwie ramieniem Kathy, przeszedł na drugą stronę. Wszyscy czekali w milczeniu, aż masajski uzdrowiciel dopełni rytuału nad brzegiem jeziora.

Wysoki wojownik siedział wyprostowany, ze skrzyżowanymi nogami. Z lewej strony miał tarczę, a z prawej leżała ozdobna włócznia. Przed sobą rozłożył brązowo-białą skórę.

Intonując jakąś dziwną melodię, Masaj odwiązał od pasa skórzany woreczek i uniósł go do góry, śpiewając coraz głośniejsze. Sięgnął palcami do woreczka i wyciągnął kilka gładkich kamieni, które także uniósł nad głowę nie przerywając żarliwych, melodyjnych modłów. Nagle przerwał pieśń i rzucił kamienie na leżącą przed sobą skórę zwierzęcą. Oparłszy ręce na kolanach wpatrywał się w kamienie, sam nieruchomy jak głaz.

Siedział tak zapatrzony i zastygły w bezruchu przez kilka minut.

Potem nagle wstał. Bez słowa odwrócił się do czekających obok. Podniósł z ziemi tarczę oraz włócznie i podszedł do nich.

Wszyscy spostrzegli zmianę, jaka w nim zaszła. Zwykle spokojna twarz Twamby wyrażała napięcie i podekscytowanie, oczy mu błyszczały. Zatrzymał się przed nimi, ale nie zwrócił się od razu do Sammy'ego, tylko przesunął wzrokiem po wszystkich, zatrzymując go na ostatku na Kathy. Potem uniósł włócznie do góry i przemówił. Wyrzucał z siebie po kilka słów, donośnie i wysokim głosem, żywo przy tym gestykulując. Robił częste przerwy, żeby Sammy mógł tłumaczyć.

- Twamba chce, żebyśmy przekazali wam jego słowa. Mówi o dawnych czasach - powiedział Sammy. - O czasach tak dawnych, że plemiona Masajów nie panowały jeszcze wtedy na wielkich równinach. O czasach, gdy żyło tylko jedno plemię. O czasach przodków. Legendy mówią, że plemieniem przodków rządziło dwoje ludzi najstarszych ze wszystkich. Dwoje, którzy byli pierwsi. Minęły setki lat i wielki przywódca przodków wyzionął ducha. Z sercami ściśniętymi żałobą, przodkowie odprowadzili otaczanego czią i szacunkiem starca do miejsca jego narodzin, aby jego dusza mogła odejść do krainy duchów.

Gdy Sammy przemawiał, Braxton poczuł, że ciało Kathy tężeje, więc pochylił się ku niej i zajrzał pytająco w twarz. Kathy też słuchała słów przewodnika, ale przestała przyglądać się plastycznym gestom Masaja. Obejrzała się na zdumioną Zeldę i obie porozumiały się wzrokiem.

- Podobno w czasach przodków ta ziemia wyglądała inaczej,

płynęła przez nią wielka rzeka. Rzeka jak opiekunka za rękę doprowadziła przodków do celu. Tam, gdzie nieśli starca.

- O Boże - szepnęła Kathy.

Wszyscy na nią spojrzeli i Sammy umilkł.

- Co się stało, Kathy? - spytał z troską Braxton.

- To jej sen, Braxton - wyjaśniła zdumiona Zelda. - Legenda, którą opowiada Masaj, bardzo przypomina sen Kathy, powtarzający się, odkąd zaczęliśmy przeprowadzać regresje hipnotyczne.

Twamba przestał opowiadać i spojrział chmurnie na Sammy'ego. Gdy przewodnik przetłumaczył mu słowa hipnotyzerki, Masaj z jeszcze większym ożywieniem ciągnął swoją opowieść.

- Twamba mówi, że zna miejsce, do którego według legendy dotarli przodkowie. To tajemnicze i święte miejsce, gdzie od najdawniejszych czasów przybywają na wieczny spoczynek szykujący się na śmierć. Do dziś jest to przystań przyciągająca słabych i chorych z sawanny. Twamba zauważył tam... jakąś rozpadlinę... która nie wiadomo skąd się wzięła. Nie jest pewien, ale przypuszcza, że może to być miejsce, którego szukacie.

Kathy pokręciła głową w zdumieniu i odezwała się ledwie słyszalnym szeptem:

- Co za ironia losu. Odpowiedź na nasze rozpaczliwe pytania zdobywamy nie w czasie seansu hipnotycznego, lecz od tubylca. Człowieka, który widzi i słyszy to, co przed innymi pozostaje ukryte. Powiedz mu, Sammy, że chcielibyśmy zobaczyć to miejsce. Czy może nas tam zaprowadzić?

Sammy zwrócił się do Twamby. Wskazując Kathy, tłumaczył powoli jej słowa, a potem wysłuchał odpowiedzi Masaja.

- Święte miejsce, o którym mówił Twamba, jest położone w pobliżu Oldoinjo Sambu, jak nazywają to biali. Wiem, gdzie to jest. To pasmo lawy wokół wygasłego wulkanu.

- Oczywiście - rzekł Eddie głosem załamującym się z wrażenia. - Idealne miejsce. Lawa. Po wybuchu wulkanu lawa zalała szczątki i dzięki temu zachowały się w idealnym stanie przez tysiące lat. Kathy ma rację, Zeldo. To może być tam! To naprawdę może być tam!

Hipnotyzerka pokiwała głową, przyglądając się uważnie Kathy.

- Jak myślisz, Kathy? - spytała. - Ta opowieść bardzo przypomina twój sen, ale to może być zbieg okoliczności. Większość legend i mitów o początkach świata mówi o dwojgu ludziach, od których pochodzą wszyscy inni. Czy to miejsce, o którym wspomniał Twamba, budzi w tobie jakieś uczucia? Czy może powinniśmy urządzić seans?

Kathy potrząsnęła głową.

- Mieliliśmy seans i nic z niego nie wynikło. Nie wiem ani nie czuję więcej niż ty, ale myślę, że powinniśmy wierzyć w to, co zostało nam dane. Jeżeli dawane są ludziom znaki, to z pewnością ten do nich należy.

- Nie wiem, czy moje słowa wpłyną na waszą decyzję, ale słyszałem o tym miejscu, o którym opowiada Twamba - rzekł Sammy.
- Rzeczywiście to miejsce śmierci. Wielu zna pradawne cmentarzysko, które z dziwną siłą przyciąga umierające zwierzęta. Kłusownicy

bezprawnie zakradają się na tę świętą ziemię tubylców w poszukiwaniu zwierzęcych skór i innych części ciała, które sprzedają turystom. Po raz pierwszy jednak usłyszałem legendę o przodkach.

Nagle Twamba podszedł do nich bliżej i, głośno coś mówiąc, wskazał włócznią kamienie, które rzucił.

- Twamba mówi, że musicie wiedzieć o czymś jeszcze - powiedział Sammy do skupionych wokół słuchaczy. Głos miał spokojny i opanowany. - Twamba widzi w tym miejscu śmierć. Niejedną śmierć. Święte kamienie mówią, że poleje się dużo krwi, jeżeli tam pojedziecie. Wszyscy, jak tu stoimy, możemy zginąć! Ale jeżeli czujecie, że musicie jechać, Twamba postara się wam pomóc. Jest wielkim wojownikiem i przygotowuje się, by wam służyć.

Sammy urwał, gdyż Twamba przestał mówić. Masaj opuścił włócznię i stanął przed Eddiem. Patrząc mu prosto w oczy, jak to zwykle czynił, znów przemówił trzymając włócznię, jakby chciał ją ofiarować księdzu.

- Twamba mówi, że masz przyjąć od niego włócznię, Eddie. Wiele dni temu duchy kazały mu ją wykuć, ale do tej chwili nie znał jej przeznaczenia. Została zrobiona dla ciebie. Masz jej użyć, gdy nadejdzie krwawy czas.

Eddie aż otworzył usta ze zdziwienia. Spojrzał na Sammy'ego, a potem znów na Masaja.

- Co takiego?!
- Włócznia jest twoja, Eddie - powtórzył słowa Masaja Sammy.
- Nie żartuj sobie - wykrztusił Eddie. - Nie chcę jej. Podziękuj

Twambie w moim imieniu i powiedz, że nie umiem walczyć. Nie jestem wojownikiem. Jestem człowiekiem spokojnym i miłującym pokój.

Sammy przetłumaczył słowa księdza. Masaj skinął głową Eddiemu, zabrał włócznię i ponownie przemówił, tym razem jednak ostrzejszym tonem.

- Twamba mówi, że włócznia jest twoja, Eddie. On to przewidział. Nadejdzie chwila, że jej użyjesz. Jeżeli tego nie zrobisz, na pewno wszyscy zginą!

Gdy Sammy skończył tłumaczyć, Twamba odwrócił się i podszedł do świętych kamieni rozrzuconych na kawałku futra. Z głośnym okrzykiem uniósł włócznię, wbił w ziemię, puścił drgające drzewce i stanął obok. Zręcznym ruchem odwiązał węzeł materii, którą był przepasany, i zrzucił z ramion luźną szatę, zostając w przepasce na biodrach. Wyrężył się, wysoki i żyłasty, w łagodnych promieniach popołudniowego słońca.

- Co on robi? - spytał zaniepokojony Eddie. - Czy go obraziłem?

- Nie - odparł Sammy. - Musi przygotować się do czekającej go wielkiej bitwy. Jest pewien, że weźmie w niej udział. Wywróżył to sobie z kamieni.

- Ale właściwie dlaczego ma nam pomagać, jeżeli ryzykuje przez to życiem? Przecież nie musi.

- On uważa to za swój obowiązek. Musicie zrozumieć, że dla masajskiego wojownika nie ma ważniejszego powołania niż niesienie pomocy tym, którzy jej potrzebują.

Eddie spojrzał na Masaja. Z jednego ze swoich woreczków Twamba dobył czerwony proszek, którym posypał włosy i twarz. Potem wsunął palce do drugiego woreczka i zaczął smarować ręce, nogi i tors jakimś mazidłem.

- Ten proszek to ochra - wyjaśnił Sammy, widząc skierowane na siebie pytające spojrzenia. - Odstrasza złe duchy. Całe ciało Twamba smaruje tłuszczem z masajskiego byka, żeby groźnie wyglądać i przerazić wrogów.

Gdy Sammy udzielał tych wyjaśnień, połyskujący w słońcu Twamba obrócił się dokoła, spluwając soczyście na cztery strony świata. Intonując nową, bojową pieśń, Masaj rozpoczął rytualny taniec. Podrygując i wyginając się okrążał wbitą w ziemię włócznię, a po każdym okrążeniu wykonywał imponujący skok.

- Plując Twamba oczyszcza powietrze ze złych myśli - objaśniał dalej Sammy. - Teraz śpiewa „*Eng Kidzuka*”, bojową pieśń masajskich wojowników. Śpiewając i tańcząc, oczyszcza się z lenistwa.

- Wielki Boże, jak on wysoko skacze - wykrzyknęła Zelda. - Omal nie przeskoczy przez włócznię.

- Taniec służy nie tylko rozbudzeniu odwagi, ale także rozwija gibkość i giętkość ciała potrzebne w walce - ciągnął Sammy.

- I co teraz, Sammy? - spytała Zelda, oderwawszy wzrok od wojennego tańca Twamby. - Mówisz, że znasz to święte miejsce, tak?

Przewodnik skinął głową, wyjął z kieszeni mapę i rozpostarł ją na ziemi.

- Dla jasności pokażę, gdzie teraz jesteśmy - powiedział, gdy

wszyscy nachylili się nad mapą. Dotknął punktu tuż nad biegnącą u dołu kropkowaną linią oznaczającą granicę. Potem przesunął palec bliżej środka mapy i tam zatrzymał. - Tu jest Nairobi.

Kathy, pochylona najniżej ze wszystkich, uniosła niepewnie palec i przytknęła go do czarnej kropki w pobliżu miejsca, które Sammy wskazał na początku.

- Czy to jest Oldoinjo Sambu, o którym wspomniałeś? - spytała cicho, odczytując nazwę przy kropce.

- Tak - odparł Sammy, przesuwając rękę po mapie. - Jak widać, leży na jednej linii z wulkanami Szambole, tutaj, i Lengai, o tu. Kilimandżaro znajduje się dalej na południe, o tu.

- A więc to blisko, prawda? - spytała Kathy z przejęciem.

- Tak - rzekł Sammy. - Niedaleko jeziora Natron. Również bardzo blisko tego miejsca, które wskazałaś na samym początku, w Westwood. Jest tam wielki masyw skalny, przepołowiony przez uskoki tektoniczne. Niezwykle piękny i dziki.

- Co o tym myślisz, Kathy? - spytała Zelda. Przysunęła się do Kathy i pomogła jej wstać. - Czy czujesz, że właśnie tam trzeba jechać?

- Tak, jesteśmy blisko, Zelda - odparła Kathy nieswoim głosem.

- Nie pytaj mnie, skąd wiem, po prostu wiem. Musimy skierować się tutaj. W stronę Oldoinjo Sambu.

Eddie też się wyprostował i stanął koło swojego starego przyjaciela i Kathy.

- A ty co myślisz, Brax? Krwawe przepowiednie Twamby nie brzmią ani trochę zachęcająco.

Braxton uśmiechnął się blado i pokręcił głową.

- Moje myśli, stary druhu? Pomieszanie z poplątaniem, niepokój, zdumienie, a na dodatek mocne przekonanie, że cała ta historia przekracza wszelkie ludzkie pojęcie. Ale może tak właśnie było od samego początku. Wciąż nie jestem przekonany, że znajdziemy grób Ewy, ale zbliżyłem się do was i wierzę, że dzieje się coś niewytłumaczalnego. Co mi tam. Nie będę przeciwstawiał się temu, czego najwyraźniej nie można powstrzymać. Niech Kathy decyduje, pójdę za nią. Taka jest moja wola. Przedtem też tak sądziłem - dodał i odwrócił się do Kathy. - Jestem i będę zawsze przy tobie. W zdrowiu i w chorobie. Na dobre i złe.

- Nie rzuca się takich słów na wiatr, Brax - rzekła Kathy. - Jesteś pewien, że wiesz, co mówisz?

- Nigdy nie byłem bardziej pewien - odpowiedział Braxton i wyciągnął do niej rękę. - Jak to było dalej? Póki śmierć nas nie rozłączy.

Kathy wzięła go za rękę i lekko uścisnęła.

- Dziękuję, że zjawileś się w moim życiu, Brax.

- A więc na przekór krwawym prorocstwom Twamby, jedziemy dalej, czy tak? - spytał ze śmiertelną powagą.

- Tak - odparła cicho Kathy. Podeszła do Zeldy i wzięła ją za rękę. - Muszę jechać dalej. Rozumiesz to, Zeldo, prawda?

Hipnotyzerka uśmiechnęła się, położyła drugą dłoń na dłoni Kathy i czule pogłaskała.

- Oczywiście, że rozumiem, Kathy. Staram się myśleć o tym, co

byłoby najlepsze dla ciebie, i wiem, że powstrzymanie cię nie wyszłoby na dobre. Wątpię, czy gdybym była na twoim miejscu, udałoby się mnie powstrzymać. Nie zaznałabym spokoju, gdybyśmy nie doprowadzili tego do końca. Kathy pokiwała głową.

- To wszystko dzieje się z jakiejś przyczyny. Nie mam co do tego wątpliwości. Tak samo jestem pewna, że nie mam wyboru, muszę doprowadzić te poszukiwania do końca.

- W porządku, słyszeliście, co powiedziała Kathy - rzekł stanowczo Braxton. - Wsiadamy do mikrobusu i jedziemy.

- Chwileczkę - powstrzymał go Eddie i zwrócił się do Sammy'ego. - Biorąc pod uwagę ostrzeżenia Twamby, nie masz obowiązku z nami jechać, Sammy. - Ksiądz spojrział na oddanego przyjaciela Injaia, stojącego w drzwiach mikrobusu. - To dotyczy również ciebie, Injai. Nie ma powodu, żebyście narażali się na dalsze niebezpieczeństwa.

- Co ty na to, Injai? - spytał Sammy. - Chcesz zrezygnować z pracy u mnie?

Injai jak zwykle promiennie się uśmiechnął.

- Nie, jesteś dobrym szefem, Sammy. Będę kierowcą do końca safari, ojcze - dodał w stronę Eddiego. Wzruszył ramionami, szykując się do zajęcia miejsca na fotelu kierowcy. - Tak czy owak muszę jechać. Dałem przecież słowo Buddy'emu, że wypatrzę parę gepardów.

- Nie ma więc potrzeby dalej dyskutować - rzekł Sammy i uśmiechnął się do swoich podopiecznych. - Jesteście dzielni i odważni. Mimo ostrzeżeń Twamby chcecie jechać dalej, bo uważacie, że tak

trzeba. Jesteście też dobrymi ludźmi. Napawa mnie dumą to, że jestem waszym przewodnikiem. A zatem, ponieważ nadal ja wydaję polecenia, proszę wsiadać do mikrobusu. Musimy stąd odjechać. Za długo tu stoimy. Injai zapalił silnik.

- A Twamba? - spytała Zelda. - Nie wygląda na to, żeby miał zamiar wkrótce skończyć.

- Przygotowania Twamby będą trwały tak długo, aż poczuje, że jest gotów - rzekł Sammy, zachęcając pasażerów do wsiadania. - Wy tłumaczył mi, jak znaleźć tę skałę w Oldoinjo Sambu. Nie obawiajcie się. Na pewno nas dogoni. Masaj jest szybki jak wiatr.

Kiedy wszyscy zajęli miejsca, Injai wrzucił bieg, a Sammy przeszedł środkiem mikrobusu, rozdając cienkie płyty pożywienia przypominającego wyprawioną skórę.

- Co to jest? - spytała Zelda, biorąc kawałek i oglądając ze wszystkich stron.

- Suszone mięso - powiedział Sammy. - Jedzcie. Musicie nabrać sił i energii.

- Jakie to mięso? - spytała Zelda niepewnym głosem.

- Jadalne - odparł Sammy z uśmiechem i poszedł dalej.

Pasażerowie z ociąganiem zaczęli żuć twarde i włókniste porcje mięsa, wyglądając jednocześnie przez okno, gdzie w oddali wciąż jeszcze widać było skaczącą Twambę. W ten sposób Twamba przygotowywał się, aby chronić ich w czasie rozlewu krwi, który miał nastąpić, albowiem przepowiedziały to duchy, gdy rzucił święte kamienie.

W swojej wizji Twamba nie zobaczył jednak Franka Gunthera i dlatego nie mógł nikogo przed nim ostrzec. Gunther, w poplamionych krwią bandażach, podskakiwał za kierownicą jeepa pędzącego śladem turystycznego mikrobusu.

Gunther czuł nieznośny ból w całym ciele i zdawał sobie sprawę, że taki upór może źle się dla niego skończyć, a mimo to zmuszał się do dalszej jazdy. Z takim samym uporem doczołgał się do porzuconego jeepa, gdzie odkrył pozostawione w stacyjce kluczyki.

Żelazny upór i determinacja pozwoliły mu wrócić do obozu, skąd zabrał Doga. Teraz też z determinacją zaciskał zęby i nie zamierzał rezygnować, choć ból przeszywał go przy każdym wstrząsie. Gdyby zabrakło mu sił, miał jeszcze w zapasie dość nienawiści i gniewu, by dogonić swych nieprzyjaciół.

Spojrzał z ukosa na swojego pasażera i mimo bólu wykrzywił twarz w okrutnym uśmiechu. Dog Bassett miał niedbale zabandażowane oko i pół policzka. Jego twarz, pobrudzona zaschlą krwią, jak zwykle nie wyrażała żadnych uczuć. Stoicki spokój Doga wcale nie wywołał uśmiechu Franka, lecz to, co leżało u niego na kolanach.

Najcenniejsze przedmioty, jakie znajdowały się w posiadaniu Gunthera - dwa pistolety maszynowe uzi.

Frank kochał je najbardziej ze wszystkich rodzajów broni palnej, jakich kiedykolwiek używał. Ładowało się je jednym ruchem, były wygodne do noszenia i lekkie. Dzięki prostej obsłudze, strzelając z nich, rzadko się chybiało.

Nie miało znaczenia, czy będzie strzelał on sam, czy też Dog Bassett, korzystając z jednego całego oka. Tak czy owak Gunther zamierzał rozprawić się ze wszystkimi, których tak zawzięcie tropił. Ze wszystkimi co do jednego.

Dlatego właśnie udało mu się pokonać ból i nie przerwać jazdy. Dla Franka Gunthera ważne było teraz jedno: dogonić Sammy'ego i jego zasranych turystów. Zamierzał przy pomocy swoich ślicznotek o stalowych lufach wydusić z nich informacje o grobie, a potem bezlitośnie uśmiercić.

ROZDZIAŁ 23

- Zatrzymać mikrobus!

Kathy od dłuższego czasu wyglądała pilnie przez okno i raptem poderwała się na równe nogi i stanęła w przejściu. Jej okrzyk wyrwał pasażerów mikrobusu z sennego zamyślenia wywołanego monotonią jazdy.

- Co się stało? - spytała Zelda i podbiegła do Kathy. Injai gwałtownie zahamował.

- Przecież jesteśmy na miejscu. - Kathy wypowiedziała to zdanie, jakby stwierdzała fakt, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Stała nieruchomo, wyprostowana, z głową uniesioną do góry. Z rozpromienioną twarzą powtórzyła: - Jesteśmy na miejscu!

- Rzeczywiście, jesteśmy na miejscu - potwierdził Sammy i pociągnął dźwignię, otwierając z hukiem drzwi. Wskazał przez okno. - Przed nami jest wielka skała, o której mówiłem,

Braxton stanął w przejściu obok Kathy.

- No to chodźmy - powiedział.

- Dobrze, Braxton - rzekł Sammy. - Ale zaczekajcie chwilę, aż się rozejrzę. Musimy zachować ostrożność.

Sammy wziął strzelbę, wysiadł i szybko zlustrował okolicę. Uznawszy, że chwilowo nic im nie zagraża, pomachał na pasażerów. Kathy wyszła pierwsza, a inni gęsiego za nią, zachowując pełne wyczekiwania milczenie. Eddie wprawdzie zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział, widząc, że Braxton też niesie broń.

- Robi się coraz ciemniej - bąknął Braxton spoglądając w niebo. - Niezbyt dobrze widać.

- To chmury - rzekł Sammy. - Znow zbliża się burza. A my jesteśmy bardzo nisko. W szerokim parowie

- Wskazał otaczające ich smugi mgły. - Pod wpływem gorącego powietrza spadające krople deszczu zamieniają się w mgłę wiszącą nad nisko położonymi obszarami tak jak tutaj. Zjawisko to nazywa się pozornym deszczem.

- W takim razie ulegamy złudzeniu, że mgły wydobywają się również spod ziemi - powiedziała Zelda.

- Wcale nie, Zeldo, słusznie zwróciłaś na to uwagę

- rzekł Sammy. - Opary wydobywają się również spod ziemi.

Tam, gdzie są stare wulkany, ziemia jest popękana, a z niektórych

szczelin wypływają gorące źródła, Trzeba iść bardzo ostrożnie.

- Czy są tu jakieś zwierzęta?
- Naturalnie. Zwłaszcza drapieżniki czyhające na słabsze sztuki, które tu przyszły, żeby umrzeć. To jeszcze jeden powód, żeby zachować ostrożność. W zastygłej lawie jest pełno jaskiń i zakamarków, gdzie zwierzę może się znakomicie ukryć, nie tylko dla własnego bezpieczeństwa, ale szykując się do zaatakowania przechodzącej ofiary.

- Na przykład nas.
- Należy zachować ostrożność - odparł wymijająco Sammy.
- Żałuję, że spytałam - powiedziała wzdrygając się Zelda.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na Kathy. Kathy nawet nie słuchała rozmowy. Oddaliła się od reszty towarzystwa i stanęła zapatrzona w mgły.

Braxton stał przy drzwiach mikrobusu. Zmarszczył nos.

- Co to za fetor? - spytał.
- To odór padliny - powiedział Sammy.
- Odór śmierci - odezwała się nagle Kathy. Cały czas patrzyła w dal, nie oglądając się na nikogo, odkąd wysiadła z mikrobusu. - Tu panuje śmierć.

Eddie i Zelda spojrzeli szybko po sobie. Hipnotyzerka podeszła ostrożnie do Kathy.

- Powinniśmy odjechać? - spytała. - To chciałaś powiedzieć?

Wreszcie Kathy odwróciła się do nich. Braxton tak jak wszyscy spostrzegł zmianę, jaka w niej zaszła. Chciał do niej podejść, ale coś go

powstrzymało i nie ruszył się z miejsca.

To te oczy. Nawet mimo słabego światła zorientował się, że patrzy w te same dziwne oczy, które spojrzały na niego pierwszego wieczoru przy ognisku. Obudził się w nim lęk.

- Nie ma ucieczki od śmierci - przemówiła Kathy nieswoim głosem. - Czeka na nas w każdej godzinie. Czeka na wszystkich, którzy tu przybędą. Nie, nie odjedziemy stąd. To jest miejsce, którego szukaliśmy.

Sammy przyglądał się Kathy zdumiony i znacznie mniej pewny siebie. Wydał szybko jakieś polecenie Injaiowi, który zawrócił do mikrobusu.

- Co się dzieje, Sammy? - spytał Eddie.

- Nie jestem pewien. Mam złe przeczucia. Ale nic więcej. Injai wykręci mikrobus. Jesteśmy w parowie, zamknięci ze wszystkich stron jak w pułapce. Musimy mieć zapewnioną możliwość szybkiego odjazdu, na wypadek...

Injai skinął głową uśmiechając się do Braxtona i już trzymał nogę na stopniu, gdy trafiła go salwa z broni maszynowej. Pociski porozrywały mu kwiecistą koszulę na piersi, a siła rażenia była taka, że oderwała go od ziemi i rzuciła tyłem przez drzwi na metalową podstawę fotela kierowcy.

Braxton wykrzyknął imię Injaia i doskoczył do rannego kierowcy. Druga seria kul zaświszczała Braxtonowi tuż nad głową, roztrzaskując długą, wąską szybę w drzwiach mikrobusu. Braxton rozpląszczył się na krwawiącej piersi Injaia.

Ogień ustał. Z mroku dobiegł donośny, ochrypły głos wydający rozkazy. Mimo zmienionego brzmienia nikt nie miał wątpliwości, do kogo należy.

- Trzymaj się z dala od kierownicy, Hicks! - zażądał głos. - Niech nikt się nie rusza. Z góry też jesteście obstawieni. Pokaż im, Dog, że to nie żarty!

W ciemnościach nad głowami turystów zadudnił drugi pistolet maszynowy. Kule nadleciały z prawej strony, siekąc ziemię tuż przed ich nogami i odbijając się rykoszetem we wszystkie strony. Jedna z nich przypadkiem trafiła Zeldę w udo. Zelda upadła z krzykiem. Eddie chciał do niej podbiec, ale nieprzejednany głos powstrzymał go.

- Nie ruszaj się, Eddie! Hicks, rzuć broń na ziemię tak, żebym ją widział!

- Postrzeliłeś bezbronną kobietę - krzyknął Eddie.

Braxton zawahał się, przystając w drzwiach mikrobusu. W chwilę potem wokół Eddiego i Zeldy podniósł się pył wzbijany przez kolejną serię z automatu.

- Hicks! Oni zginą, jeżeli będę musiał dwa razy powtarzać. Ja nie żartuję!

- Masz, weź sobie tę cholerną broń! - krzyknął Braxton i rzucił strzelbę przed siebie, po czym odwrócił się do rannego.

- Dobra. Teraz ty, Sammy - rozkazał głos. - Rzuć te pukawki jak najdalej od siebie. I nie myśl o tym, żeby zgrywać się na bohatera, ty parszywy zdrajco. Z największą przyjemnością podziurawiłbym ci tyłek jak rzeszoto!

Sammy, miotając wściekle spojrzenia na ciemną sylwetkę widniejącą za mikrobusem, rozluźnił uchwyt, aż strzelba omal nie wysliznęła mu się z ręki, i cisnął ją w mrok. Wyciągnął z pochwy pistolet i rzucił go w tę samą stronę.

- Grzeczny chłopczyk! - pochwalił szyderczo głos.
- Braxton? - zawołał pytająco Eddie.
- Tak? - odezwał się Braxton, unosząc nieco głowę.
- Co z Injajem?

Gdy rozległ się głos Eddiego, Braxton zorientował się, że Injai próbuje odpowiedzieć. Nachylił się nad nim i objął dłońmi jego głowę. Przez dolną wargę Injaia wypływała krew.

- Jestem przy tobie, Injai - szepnął Braxton. - To ja, Buddy. - Następnie zawołał do Eddiego: - Jest ciężko ranny. Niewiele widzę. Co z Zeldą?

- Przestańcie gadać. Wiecie, czego chcemy.

Nie zważając na ryki Gunthera, Eddie znów zrobił krok w kierunku skulonej na ziemi Zeldy.

- Mówiłem, żebyś się nie ruszał, czy nie, do jasnej cholery!
- Jestem księdzem, Gunther. Będziesz mnie musiał zastrzelić i wziąć to na swoje sumienie. Ci ludzie są ranni i będę próbował im pomóc.

- Niiieee! Jeżeli jeszcze kogoś zranisz, nic ci nie powiem! - Głos Kathy rozniósł się echem. Był to wrzask wściekłości. - Słyszysz mnie, Gunther? Nic ci nie powiem! Nic z tego nie będzie. Nigdy nie znajdziesz grobu!

Odpowiedziało jej milczenie. Eddie podszedł do Zeldy i ukląkł. Po chwili znów rozległ się głos łowcy, nabierając ugodowych tonów.

- Możemy porozmawiać!

Sammy zerknął na Kathy. Stała wyprostowana, z włosami rozwianymi wokół głowy, w prostej szacie tubylców, wydymającej się w porywach wiatru zapowiadającego nadchodzącą burzę. Korzystając ze zmienionej sytuacji, krzyknął w kierunku mikrobusu:

- Zapal światła, Braxton! Wszystkie. Długie z przodu i wewnętrzne oświetlenie, żebyśmy się wszyscy widzieli. Wtedy porozmawiamy!

Braxton wyciągnął rękę w stronę przełącznika światła na tablicy rozdzielczej. Kiedy go przekręcił, wewnątrz mikrobusu załała bladozielona poświata. Potem nacisnął przycisk na podłodze koło sprzęgła, włączając reflektory. W silniejszym świetle widział wyraźnie pełne krwi usta Injaia. Usłyszał ciche bełkotliwe słowa, które udało mu się zrozumieć.

- Widzisz je, Buddy? Gepardy... Prawda, że piękne? Widzisz je tam?

Braxton wyjrzał i zobaczył swoich przyjaciół. Kathy, która stała najdalej, potem Sammy'ego, a w odbitym od skalnej ściany świetle reflektorów Eddiego obejmującego leżącą na ziemi Zeldę.

Wyżej i nieco w prawo dojrzał zwałistą sylwetkę Doga Bassetta. Miał prowizorycznie zabandażowaną głowę i w rozpraszającym ciemność blasku wyglądał trochę jak mumia, niestety uzbrojona w pistolet maszynowy. Celował w dwoje ludzi oświetlonych reflektorami.

Za mikrobusem widać teraz było Franka Gunthera, w podartym i poplamionym krwią stroju myśliwego na wyprawie safari. Głowę miał opatrzoną pospiesznie nałożonym bandażem i podpierał się na kijku odciążającym złamaną nogę. Mimo tak oczywistych obrażeń, nadal był bardzo niebezpieczny. Uzbrojony w pistolet maszynowy, trzymał palec na spuście.

Braxtonowi serce ścisnęło się z żalu. Próbując pocieszyć Injaia, przytulił go do siebie.

- Tak, Injai, widzę je - szepnął. - Gepardy są piękne. A ty jesteś wspaniałym tropicielem. Najlepszym w Kenii... Dziękuję ci.

Ciało, które podtrzymywał, zwisło nagle bezwładnie. Braxton delikatnie oparł je o fotel i zamknął nieboszczykowi oczy. Ucisk w piersiach ustąpił, gdy Braxton rozpaczliwie, na całe gardło zawołał:

- Injai nie żyje, Eddie. Zabili go!

Twarz księdza okryła się głębokim smutkiem. Pochylił głowę i zaczął się modlić. Sammy zadrżał i mimo woli postąpił naprzód.

Niezwykle sprawnie jak na tak poturbowanego człowieka, Gunther wyszedł mu naprzeciw wspierając się kijem. Idąc przekreślił pistolet w bok, a kiedy zbliżył się do Sammy'ego, który rzucił się na niego z wściekłym okrzykiem, uderzył go od dołu w szczękę metalową kolbą. Potem zadał jeszcze jeden cios, z boku w głowę, i niewysoki przewodnik padł nieprzytomny na ziemię.

- Ledwo żyję, a i tak nie masz się co ze mną mierzyć, gnojku! - warknął Gunther, pochylony nad rozpostartym u jego nóg ciałem. Kuśtykając i wspierając się kijem, doszedł do smugi światła

padającego na uczestników safari. - Słuchaj, Kathy, dotrzymałem słowa. Mogłem zabić Sammy'ego, ale tego nie zrobiłem. Zgadza się? Bardzo mi przykro z powodu kierowcy, ale nie mogłem pozwolić, żeby zawrócił mikrobus. Ta kobieta została postrzelona przypadkiem. Wszyscy to widzieliście. Zgadza się? Pokazałem, że dotrzymuję słowa. Porozmawiajmy więc, a obiecuję, że nikomu nie stanie się żadna krzywda.

W ciszy, która zapadła po przemowie Gunthera, słychać było tylko stłumiony szloch Zeldy. Eddie obwiązywał jej nogę oddartym kawałkiem koszuli, żeby zatamować krwawienie. Cały czas jednak obserwował Kathy, podobnie jak tkwiący w drzwiach mikrobusu Braxton. Od momentu, gdy wykrzyczała swoją groźbę pod adresem Gunthera, stała nieporuszona, zawzięta, nie spuszczać myśliwego z oka.

Braxton obserwował stojących naprzeciw siebie Gunthera i Kathy i wydawało mu się przez chwilę, że słyszy dźwięczenie dzwoneczka niesione przez wiatr. Przekrzywił głowę, ale cichy dźwięk ustał. Trwał tak krótko, że Braxton wcale nie był pewien, Czy w ogóle go słyszał.

- No, Kathy, umowa jest umową - dopominał się Gunther. - Co masz mi do powiedzenia?

- Najpierw odłóż broń - zażądała Kathy. Gunther uniósł brwi.

- A co to za różnica? Nie zapominaj, że tam na górze stoi Dog. Zapewniam cię, moja pani, że on o tobie nie zapomniał.

- Nie będę z tobą rozmawiać, Gunther, dopóki celujesz do nas z

pistoletu.

Braxton ze zmarszczonym czołem patrzył na podejmującego decyzję Gunthera. Miał rację wspominając o Dogu, więc jaki sens miała prośba Kathy? Czyżby tliła się w niej jakaś nadzieja? Czyżby ona także usłyszała ciche dzwonięcie?

Frank Gunther błysnął zębami w popisowym uśmiechu i wypuścił z rąk pistolet, który zaklekotał głośno na skalistej ziemi.

- W porządku. Co szanowna pani każe. Ale na tym koniec, moja mała. Ostatnie ustępstwo. A teraz powiedz: gdzie jest grób?

Niebo nad ich głowami rozjaśniła błyskawica. Kathy nie odpowiedziała na zadane pytanie.

- Gdzie jest grób, Kathy? Powiedz wreszcie, chcę usłyszeć. Nie wykręcisz się więcej. Już po wszystkim.

- Tutaj - odparła po prostu Kathy. - Grób jest gdzieś tutaj. Ale nie mamy pewności gdzie. Nadal musimy go szukać.

Gunther pokręcił głową.

- Niestety, Kathy, moja droga, to mi nie wystarczy. W tych ciemnościach ni cholery nie da się znaleźć. Dobrze o tym wiesz. - Nagle uniósł kij i rozwścieczony zaczął nim potrząsać. - Mam już dość tego mydlenia mi oczu, moja pani. Koniec gadki szmatki. Wszystko mnie boli jak jasna cholera, i nie mam cierpliwości rozmawiać. Zrobimy tak: każę Dogowi zastrzelić jednego z twoich przyjaciół. Będziemy do nich strzelać po kolei, aż zdecydujesz się wyjawić nam położenie grobu. Już dawno złamaliśmy prawo. Ile osób jeszcze zginie, to dla mnie bez różnicy. A jeśli myślisz, że się z tego nie wywinę, to

przyjechałaś w niewłaściwe miejsce. Stoimy na cmentarzu. Tubylcy omijają to miejsce z daleka, obawiając się złych duchów. A dla turystów to żadna atrakcja, jeśli nie liczyć hien. Nikt nie znajdzie waszych ciał, hieny obedną was ze skóry i rozwłoką wasze kości. Więc lepiej zacznij gadać, moja pani, i to już... bo wszyscy zginą. A jeśli twoja pamięć dalej będzie szwankować, pozwolę Dogowi skorzystać z jednego oka, które mu zostawiłaś, i jeszcze raz przyjrzeć się z bliska twoim niewątpliwym wdziękom. A teraz mów: gdzie jest grób?

Po tych słowach Kathy zmiękła, opuściła ją uprzednia śmiałość. Jakby chwyciwszy się ostatniej deski ratunku, raptem straciła wszelką nadzieję. Przedtem dumnie wyprostowana, teraz skuliła się i przykładając rękę to do ust, to do czoła, w zupełnym zagubieniu.

- Powiedziałam wszystko, co wiem - wyznała słabym głosem. - Nic więcej... nie wiem. Błagam, musisz mi uwierzyć.

- Gunther, na litość boską. - zawołał Eddie. - Ona mówi prawdę. My nie wiemy.

- Dog! - krzyknął Frank Gunther, nie zważając na wstawiennictwo księdza i wymachując ze złością kijem. - Strzelaj do Hicksa, byle celnie!

- Nie! - krzyknęła Kathy, wyciągając błagalnie rękę. - Nie...

Braxton przez cały czas stał w drzwiach mikrobusu, słuchając i podziwiając odwagę Kathy przeciwstawiającej się Guntherowi. Gdy jednak spostrzegł, że zaczyna się łamać pod groźbami Gunthera, ruszył w jej stronę. Okrzyk Gunthera zatrzymał go w pół kroku.

Braxton cofnął się nagle i dał nura pod tablicę rozdzielczą, obok

ciała Injaia. Wystawały mu jeszcze stopy, więc chwycił się podpory fotela, którą miał koło głowy, i podciągnął nogi. Czekał. Nic się nie działo.

- Dog! Strzelaj do tego skurwysyna! - wrzasnął znów Frank.

A wtedy...

Mrożący krew w żyłach krzyk przeszył ciemności, z pistoletu maszynowego Doga Bassetta poszła seria strzałów, a kule wylatujące z uniesionej do góry lufy trafiały w szczyt pionowej skały i z jazgotem odbijały się od niej. Plująca ogniem broń kierowała się cały czas ku niebu, gdy Dog zsunął się ze skalnej półki i spadł na ziemię w kręgu światła. Podskoczył jak zrzucony worek niedaleko Gunthera i zastygł w takiej pozycji, do której ludzkie ciało wydawało się niezdolne.

Włócznia, którą wcześniej Twamba ofiarowywał Eddiemu, stała znów sztorcem, jak ostatnio widział ją Braxton, ale teraz jej lśniący koniec tkwił wbity w czoło Doga nad zakrzepłą krwią, wyzierającą spod rozdartego bandaża na prawym oku.

- Twamba! - krzyknął Braxton. Gdy poruszył się, żeby wyjrzeć, otarł rękę o jakiś przedmiot wystający spod fotela kierowcy. Zerknął w dół i zobaczył rękojeść maczety Sammy'ego. Zacisnął dłoń na kości słoniowej i wyciągnął wielki nóż.

Wiedziony instynktem wyskoczył przez drzwi mikrobusu i spostrzegł, że Gunther upuścił kij i sięga po pistolet maszynowy.

Ale Braxton ruszał się szybciej. Z uniesioną nad głową maczetą biegł co sił w nogach, wydając dzikie okrzyki. Patrząc, jak Gunther przewraca się, wymacuje ręką pistolet i zaczepia palec o spust,

rozpędzony Braxton skoczył na niego.

Prostujący się właśnie Gunther zatoczył się pod wpływem zderzenia. Miał już jednak w ręku broń i skierował ją na Braxtona. Braxton, który też się zachwiał, wziął zamach szeroką maczetą, żeby odtrącić pistolet w bok. Jednak łapiący równowagę Gunther zrobił unik i maczeta przecięła powietrze chybiając celu.

Stanąwszy pewniej na nogach, Gunther ścisnął w rękach pistolet i wycelował do strzału. W tym momencie przeszył powietrze przeraźliwy okrzyk i Gunther odwrócił się, otwierając usta z przerażenia.

Z ciemności wypadł olbrzym z uniesionym nad głową mieczem, błyskając natłuszczonym ciałem. Twamba!

Gdyby Frank Gunther był w formie, zapewne nacisnąłby spust posyłając serię kul w stronę atakującego Masaja. Ale widok szarżującego wojownika sparaliżował rannego myśliwego do tego stopnia, że tylko jęknął ze strachu.

Zanim rozległ się wojenny okrzyk Twamby, Braxton w obronnym odruchu uniósł maczetę na wysokość piersi, ostrzem w stronę Gunthera. W tej samej chwili Gunther, popchnięty przez Twambę, wpadł na niego, raniąc się w plecy. Gdy upadli obaj na ziemię, długie ostrze wbiło się głęboko w plecy myśliwego.

Gunther zarzęził, a Braxton przekręcił się na bok. Poczul, że jakaś siła wyrywa mu z ręki uchwyt maczety. To Twamba schwycił Gunthera za koszulę i podniósł do góry.

Masaj trzymał uniesiony miecz gotów w każdej chwili uderzyć,

ale powstrzymał cios widząc, że jest zbyt ciężki. Guntherem wstrząsnęły śmiertelne drgawki i jego ciało zwisło bezwładnie. Masaj wydał ostatni bitewny okrzyk i cisnął trupa na ziemię. Ciało uderzyło twardą powierzchnię z takim impetem, że ostrze maczety mlasnęło, przebijając na wylot klatkę piersiową Gunthera.

Braxton wstał dysząc ciężko. W okolicach krzyża czuł pulsujący ból. Spojrzał oszołomiony na nieruchome ciało Gunthera i dopiero teraz pojął, że już po wszystkim. Twamba podszedł do rozciągniętego na ziemi Sammy'ego. Braxton ocknął się i pobiegł do Kathy, biorąc ją w drżące ramiona. Długo tulił ją do siebie, aż serce zaczęło mu bić spokojniej i nagromadzone napięcie zelżało. Wówczas odsunął ją nieco.

- Nic ci nie jest? - spytał patrząc na nią. Kiwnęła głową, ale Braxton widział, że wcale nie

doszła do siebie. Wciąż była jakby nieobecna, patrzyła błędnym wzrokiem. Obejrzał się na Eddiego, który obejmował hipnotyzerkę.

- Co z Zeldą?

- Nic jej nie będzie, Brax - powiedział Eddie. - Kula drasnęła nogę, ale udało mi się zatamować krwawienie. - Uśmiechnął się do Braxtona. - Brawurowo się spisałeś. Nie wyglądało na to, że Twamba zdąży dopaść Gunthera. Uratowałeś nam życie. Jak mogłeś tak szybko biec z bolącym krzyżem?

- Ze strachu - odparł Braxton. - Odkryłem rewelacyjny środek uśmierzający ból, nie gorszy od napoju Twamby. Przejmujący strach zabija ból.

- A ty, Kathy? - spytała siedząca na ziemi Zelda, trzymając się za nogę. - Tak dzielnie stawiałaś czoło Guntherowi. Zmusiłaś go nawet do odłożenia broni na ziemię. To było genialne posunięcie. Słyszałaś dzwoneczek?

- Tak - odpowiedziała Kathy niezbyt przytomnie. - Nie byłam pewna, ale uznałam, że warto zaryzykować.

Braxton objął ją mocno.

- Świetnie się spisałaś. A teraz jest już po wszystkim.

Wiatr nasilał się, szarpiąc ich za ubranie. Niebo nad nimi zamruczało groźnie, ciemności rozświetliła najpierw jedna, potem druga błyskawica. Sammy, któremu Twamba pomagał wstać, jęknął cicho i trzymając się za twarz zawołał:

- Burza!

- Sammy, nic ci nie jest? - krzyknął Braxton. Przewodnik pomachał ręką.

- Trochę mnie boli, ale to nic. Twamba mówi, że wszystko w porządku?

- Tak, jemu to zawdzięczamy. On nas uratował.

- Cieszę się, Braxton. A teraz powinniśmy wsiąść do mikrobusu, żeby uciec przed burzą.

- Nie! - powiedziała Kathy i odsunęła się od Braxtona.

- Kathy?

- To jeszcze nie koniec. Nie mogę się teraz zatrzymać. Nie teraz!

- Mówiąc to Kathy odwróciła się i zaczęła iść w stronę skalnej ściany, do której wiodła świetlista droga wyznaczona przez zapalone reflektory

mikrobusu.

- Eddie! - odezwał się Braxton z lekkim zdziwieniem. - Ona idzie przed siebie. Spójrz, zupełnie jakby... Nie myślisz chyba, że wie...

- Ależ tak - odparł Eddie, pospiesznie wstając i nie odrywając wzroku od kroczącej w strudze światła kobiety w luźnej szacie. - Tak właśnie myślę.

- Eddie! - krzyknęła Zelda. - Co robi Kathy? Gdzie ona jest?

- Wpadła na trop, Zeldo. Spójrz na nią. Chyba wie, gdzie jest grób!

- Pomóż mi wstać - zaczęła domagać się Zelda. - Pomóż mi wstać.

- Zeldo, jesteś ranna.

- Nieważne. Pomóż mi wstać! - Chwyciła Eddiego za rękę i podciągnęła się do góry. Stała niezgrabnie i objęła księdza w pasie. - Dobrze. Podaj mi kij Gunthera. Idę z Kathy. Nie po to pokonałam taki szmat drogi, żeby teraz niczego nie zobaczyć. Pójdę, choćbym się miała czołgać.

Upewniwszy się, że Zelda ustanie przez chwilę o własnych siłach, Eddie pobiegł po gruby kij leżący przy zwłokach Gunthera, przyniósł go hipnotyzerce i odwrócił się do mikrobusu. Sammy dotarł tam już z pomocą Twamby i nachylał się właśnie nad ciałem Injaia, wyniesionym i ułożonym na ziemi przez Masaja.

- Czy możemy dostać pochodnie? - zawołał Eddie. Przewodnik obejrzał się półprzytomnie.

- Eddie, burza...

- Wiem. Musimy zaryzykować - odparł Eddie podbiegając do mikrobusu. Na widok martwego Injaia zatrzymał się, potrząsnął głową i ujął bezwładną dłoń w swoje ręce. - Ta śmierć jest dla mnie bardzo bolesna, Sammy. To jeden z najbliższych mi ludzi, prawdziwy przyjaciel. Będę się za niego modlił. Przyjdzie pora, że pomodłę się za wszystkich, którzy zginęli. - Łagodnym ruchem ułożył rękę Injaia na jego piersi i odwrócił się do przewodnika. - Ale teraz trzeba zająć się pilniejszymi sprawami. Wierzę, że przywiódł nas tu Bóg. Inaczej być nie może. Kathy jest na tropie grobu i wątpię, czy udałoby nam się ją powstrzymać. Potrzebujemy Twamby, żeby pokazywał nam drogę, i potrzeba nam więcej światła.

- Przyniosę pochodnie - zaofiarował się Sammy i powiedział coś szybko do Twamby w języku suahili. Masaj oddalił się w stronę skalnej ściany i zniknął w zaroślach.

- Nie, Sammy, zostań przy mikrobusie - polecił Eddie. - Nie musisz z nami iść.

Sammy potrząsnął głową, krzywiąc się z bólu.

- Odkąd zgodziłem się was poprowadzić, stale narażam się na niebezpieczeństwa. I niech już tak zostanie.

Braxton zostawił wszystkich w tyle i pobiegł za Kathy, która nie bacząc na nic posuwała się naprzód.

- Zaczekaj, Kathy - zawołał doganiając ją. Kiedy się zatrzymała, wziął ją za rękę. - Zaczekaj na nas. Twamba pokaże nam drogę. Nie jesteś sama, Kathy. Pójdziemy wszyscy razem.

Kathy odwróciła ku niemu twarz. Uścisnęła go za rękę i oparła

głowę na jego ramieniu.

- Kocham cię, Braxton - powiedziała cicho.

- Ja też cię kocham - odparł.

Mgły nieco się rozproszyły, a oni stali trzymając się za ręce i czekali na pozostałych. Huczały grzmoty, a błyskawicę przecinały ciemności, kłując wysokie skały wyrastające na niezmiernych równinach sawanny.

Sammy zapalił prymitywne pochodnie sporządzone przez Twambę i obaj rozdali pozostałym suche, omszałe polana. Gdy dołączyli do Braxtona i Kathy, zatrzymał się, spoglądając na ogromną skałę. Po chwili ruszył naprzód, z Twambą na czele.

ROZDZIAŁ 24

Kiedy podeszli bliżej, nie wiedzieli jeszcze, że cały czas patrzyli nie na główny masyw skalny, lecz zewnętrzną ścianę, zasłaniającą widok na nieco niższe, rozległe wypiętrzenie skał w głębi. W skamieniałej lawie, która wypłynęła przed wiekami z głębin ziemi, dostrzegli wiele pęknięć i szczelin o przedziwnych kształtach. Twamba wskazał ciemny otwór, widniejący z prawej strony olbrzymiej skały, i wszyscy ruszyli za Kathy w tym kierunku.

W ostatniej chwili Braxton wyprzedził Kathy, jakby chciał ją obronić przed jakimś niebezpieczeństwem, i schyliwszy się wszedł do

wąskiego korytarzyka. Było tam tak ciasno, że nie mogłyby się minąć dwie osoby. Korytarzyk przypominał małą, krętą jaskinię z ograniczoną widocznością.

Dlatego właśnie Braxton pierwszy ujrzał drzewo. Gdy wyszedł po drugiej stronie ściany i uniósł pochodnię, zobaczył przed sobą otwartą przestrzeń, naturalny szeroki komin wyrzeźbiony przed wiekami przez wulkaniczną lawę. Dookoła wystawały skalne półki i ciemniały szczeliny podobne do tej, z której sam się przed chwilą wynurzył.

Światło reflektorów mikrobusu przenikało przez liczne szpary i otwory w skalnej ścianie, tworząc w zamglonym powietrzu przedziwną siatkę krzyżujących się jasnych smug. Świetlna pajęczyna przydawała blasku pochodni Braxtona i tylko na chwilę utonęła w rozbłysku potężnej błyskawicy, która rozplątała niebo nad skałami.

Twamba stał z uniesioną włócznią, czekając, aż pozostali uczestnicy wyprawy przedostaną się przez skalne przejście, a za nim, w pewnej odległości po lewej stronie, rosło drzewo. Przypominało kształtem rozłożyste parasolowate akacje, tak charakterystyczne dla równin Kenii, było jednak wyższe od zarośli, które Braxton widział przed skałą. Stało zupełnie samotnie pośród rozrzuconych na ziemi kamieni i kęp przesuszanej, brunatnej trawy. Wyróżniało się też jeszcze jednym. Wprawdzie gałęzie jeżyły się zwykłymi obronnymi kolcami, ale kora miała niezwykle, jaskrawożółty odcień zamiast jasnobrązowego.

Braxton zaczekał, aż wszyscy do niego dołączą, wraz z

zamykającym przeprawę Sammym. Odczekał chwilę, aż się rozejrzą i przywykną do nowego otoczenia, po czym wskazał samotne drzewo.

- Czy to akacja? - spytał.

- Tak - odparł Sammy. W jednym ręku trzymał strzelbę, a w drugim pochodnię, którą teraz uniósł do góry. - Ten gatunek wyrasta większy, ma potężniejsze kolce, twarde i ostre. Można się mocno skaleczyć, kiedy się na nie nadeptnie albo o nie zaczepi.

- Czy jest coś niezwykłego w tym, że tu rośnie?

- Nie. Niezwykłe jest to, że nie rośnie tu żadne inne drzewo ani krzew.

- Chyba wiem dlaczego - powiedziała Zelda, pochylając się i opierając mocniej na kiju. - Widzę przed nim jakąś rozpadlinę. Jeśli nie zwodzą mnie oczy.

- Rzeczywiście, Zeldo - potwierdził jej obserwacje Eddie. - Widzicie to podłużne pęknięcie? Po stronie drzewa grunt leży nieco wyżej. Widocznie mały uskok tektoniczny spowodował rozerwanie ziemi.

- Teraz widzę - rzekł Braxton. - Czy to opary?

- Tak, Braxton - odparł Eddie. - Obserwuj rozpadlinę. Z ziemi u stóp drzewa wydobywają się opary, prawda, Sammy?

- Tak. Może tam płynąć jakieś podziemne źródło. To by wyjaśniało, dlaczego drzewo rośnie tu samotnie. Jeśli uważniej się przyjrzeć, korzenie wrastają prosto w tę rozpadlinę. - Stojący nieopodal Twamba powiedział coś radosnym tonem, wskazując wólczną drzewo. - Twamba mówi, że chciał nam właśnie pokazać tę szczelinę

przed drzewem. Twierdzi, że powiększyła się, odkąd widział ją po raz ostatni.

- "...i postawił przed rajem rozkoszy cherubiny i miecz ognisty i obrotny, ku strzeżeniu drogi drzewa żywota" - zacytował Eddie.

- Z czego to, z Biblii? - spytał Braxton.

- Tak, z Księgi Rodzaju. Koniec rozdziału trzeciego.

Przypomniałem sobie te słowa patrząc na drzewo. Czyż nie o tym pragniemy się czegoś dowiedzieć? O drzewie żywota. O tajemnicy odradzania się życia, o związkach z przeszłością.

- Od początku byłeś siłą napędową tej wyprawy. Co chcesz teraz powiedzieć? Uznałeś nagle, że popełniłeś błąd? Wydaje ci się, że wkroczyliśmy na świętą ziemię?

- Nie wiem. Po prostu przyszła mi do głowy taka myśl.

- Widzę mgliste opary, przyjacielu, ale żadnych mieczy. -

Braxton odwrócił się do Kathy. - A ty co myślisz, Kathy? Idziemy dalej?

Kathy, która razem z innymi przyglądała się drzewu, nie odwracając głowy odpowiedziała cicho:

- Tak.

- W porządku. To co, pójdźmy przyjrzeć się z bliska - zaproponował Braxton i rozejrzał się wokoło.

- Tak - powiedziała znów Kathy i ruszyła przed siebie, na środek otoczonej skałami polany.

Zelda zadrżała i Eddie odwrócił się do niej.

- Nic ci nie jest? - spytał.

- Ależ skąd - odparła Zelda prostując plecy. -Chodźmy zobaczyć, co jest w tej rozpadlinie.

Nikt więcej się nie odezwał. Nie wyprzedzając Kathy, wszyscy ruszyli za nią. Nawet towarzyszący im Twamba nie wysunął się naprzód.

Idąc kilka kroków przed nimi, Kathy przebyła trzy czwarte drogi, gdy wtem rozległy się straszne odgłosy.

- Wielkie nieba - wymamrotała Zelda i stanęła jak wryta. - Słyszeliście? Braxton wraz z innymi zatrzymał się i wbił wzrok w mgliste ciemności, rozjaśnione refleksami światła.

- Wszyscy słyszeliśmy, Zeldo.

Z cienia zalegającego pod skalnymi ścianami, najpierw z jednej strony, a potem zewsząd, dobiegło warczenie. Warczenie dzikich zwierząt.

- *Fisi!* - syknął Twamba i wyciągnął zza pasa miecz.

Sammy przesunął się tak, żeby osłaniać grupę z drugiej strony. Odbezpieczył broń. Oczy miał szeroko otwarte.

- Słuchajcie uważnie - rzekł głosem pełnym napięcia. - Twamba powiedział: *fisi*. Kryją się w cieniu przed światłem.

- *Fisi?* - powtórzyła pytająco Zelda.

- W języku suahili hiena. To jedyne zwierzę, którego nie szanują Masajowie, ponieważ żywi się padliną. Nazywają hieny bestiami bez serca. *Fisi* czają się dokoła nas w ciemnościach, chowając przed światłem. Jest ich za dużo. Kiedy wędrują stadem, są zawsze głodne i atakują żywe stworzenia tak długo, aż ofiara padnie i stanie się ich

pożywieniem.

Warczenie nie ustawało, przeplatając się z chrapliwym zwierzęcym śmiechem. Ludziom słyszającym drapieżne głosy przeszedł po plecach dreszcz przerażenia.

Sammy kręcił głową i rozglądał się na wszystkie strony, a Twamba prostując się uniósł wyżej tarczę i znów wypowiedział słowo *fisi* z pogardliwym prychnięciem.

- Słuchajcie tylko - krzyknął Sammy. - Niech Enkai ma nas w opiece, bo wszędzie ich pełno. Musimy wracać. Musimy schronić się w skalnym przejściu, przez które tu się dostaliśmy. A stamtąd spróbujemy dotrzeć do mikrobusu. Stańcie blisko siebie i osłaniajcie się pochodniami. Płomienie powinny powstrzymać hieny, aż dojdziemy do skał.

Zelda pokiwała posłusznie i stanęła bliżej przewodnika.

- Eddie - szepnęła drżącym ze strachu głosem. - Jeśli coś znaczyś tam na górze, to skorzystaj ze swoich wpływów, bardzo cię proszę.

Jednakże ksiądz jej nie słuchał. Sammy nawoływał do skupienia się w ciasną gromadkę, lecz spostrzegł, że nie uda się zrealizować tego zamiaru.

Eddie z Braxtonem zaczęli oddalać się od przyjaciół, goniąc Kathy. Braxton w biegu wykrzykiwał jej imię. Kathy zaś, pozbawiona jakiegokolwiek obrony przed grożącym niebezpieczeństwem, szła prosto do samotnego drzewa.

- Twamba! - zawołał Sammy, wskazując oddalającą się postać w

luźnej szacie tubylców. - *Haraka!* Szybko!

Sammy zobaczył, że Twamba odwraca się i rusza biegiem, ale niemal w tej samej chwili krzyk Zeldy zmusił go do spojrzenia w inną stronę.

Spostrzegł hieny. Przemykały się grupkami, zbliżając do ludzi. Sammy przewidywał, co się teraz stanie. Wiele razy widział głodującą bandę padlinożerców uganiającą się za żywą istotą. Będą teraz krążyć w koło, doskakiwać i kłapać szczękami, aż wreszcie którejs się poszczęści i dosięgnie zębami ofiarę. Potem z oszalamiającą szybkością kilka innych rzuci się na zdobycz i odciągnie dalej, by dokonać mordu. A przy tak licznym stadzie na pewno nie skończyłoby się na tym. Powracałyby wciąż od nowa, zabijając wszystkich po kolei. Jedynym ratunkiem było wycofać się pod skały.

- Zeldo! Idź za mną! - powiedział Sammy unosząc strzelbę. - Będę strzelał do tych, które zabiegną nam drogę do skały! Kiedy strzełę, ruszaj naprzód. Weź moją pochodnię! Stań za mną i trzymaj pochodnie jak najdalej od siebie. Jeżeli hieny podejną bliżej, machaj im pochodniami przed pyskiem. Gotowa?

Zelda stanęła z dwiema pochodniami za przewodnikiem.

- Sammy! - zaprotestowała. - Przecież nie możemy zostawić tamtych!

Dwie niezgrabne hieny, które znalazły się najbliżej, doskoczyły kłapiąc szczękami. Zelda krzyknęła przeraźliwie i dźgnęła pochodnią powietrze.

- Jest z nimi Twamba! - krzyknął Sammy. - A teraz rób, co

mówię, bo zginiemy! - Dostrzegł jeszcze jedną hienę podkradającą się z prawej strony, odwrócił się i wystrzelił.

Braxton odniósł wrażenie, że żarłoczne hieny są wszędzie. Wstrętne zwierzęta wypadały z mroku, biegały dokoła w bezpiecznej odległości ochryple rechocząc, a potem niespodziewanie rzucały się na ludzi z wyszczerzonymi zębami. Braxton i Eddie posuwali się naprzód odwróceniem do siebie tyłem, wymachując cały czas pochodniami. Chwilowo zdawało to egzamin. Ale hieny atakowały coraz śmielej, zacieśniając krąg za każdym okrążeniem.

Braxton obejrzał się i zobaczył Sammy'ego, a za jego plecami Zeldę, która odstraszała hieny w ten sam sposób. Przewodnik wycelował do tyłu i strzelił. Wtem Zelda pośliznęła się i jedna pochodnia wypadła jej z ręki. Zelda krzyknęła, wyciągnęła spod pachy kij, którym się podpierała jak kulą i, naprężając masywne ciało, wymierzyła potężny cios doskakującej bestii. Kij trafił hienę z boku w pysk i zwierzę wycofało się, skowycząc z bólu. Zelda podniosła upuszczoną pochodnię i pokuśtykała za Sammym, który strzelał w mgłę.

Tymczasem Braxton i Eddie posuwali się powoli naprzód. Kathy dotarła już do rozpadliny pod drzewem. Hieny też, ale Braxton nie tracił nadziei, bo Kathy nie była sama.

Bronił jej Twamba. Nie mieli pochodni, więc hieny krążyły bliżej i atakowały częściej. Masaj stawiał im czoło, osłaniając się tarczą i tnąc zakrzywionym mieczem.

- Musimy dojść do nich z pochodniami! - krzyknął Braxton. -

Nie wiem, jak długo Twamba zdoła się bronić bez ognia.

- Dobrze - odparł zdyszany Eddie. - Cały czas odwracaj się do mnie plecami. Trzymaj pochodnię poziomo i zataczaj szerokie łuki. Pobiegnijmy najszybciej, jak się da. Gotów?

- Jestem przy tobie, ojczu. Powodzenia!

Pobiegli bokiem, potykając się niezręcznie. Obaj wiedzieli, że upadek mógłby źle się skończyć. Oblegany Twamba nie pospieszyłby im na ratunek. Właśnie oddał Kathy swój miecz, żeby broniła się przed atakującymi hienami, a sam wymachiwał wielką włócznią jak kijem.

Tuż przed rozpadliną Braxton potknął się. Nie patrzył, gdzie stąpa, tylko ze zdumieniem obserwował Kathy, która broniła się dzielnie mieczem przed kłapiącymi szczękami. Jeden nieuważny krok i padł jak długi, lądując boleśnie na samym skraju ziejącej dziury w ziemi.

Przewracając się, wyciągnął przed siebie rękę z pochodnią, żeby złagodzić upadek. Teraz spoglądał poprzez skaczące płomienie w głąb przepastnego otworu, czując rosnące podniecenie z dokonanego odkrycia.

Tam coś jest!

Wychylił się do przodu i wyteżył wzrok. Nie widział wyraźnie przez szczypiący w oczy dym, ale nie miał wątpliwości, że coś tam jest.

Jakiś zarys. Kształt. Coś cienkiego... kości... Ale nie zwierzęce. To przypominało kształtem szkielet istoty ludzkiej.

Wsunął pochodnię głębiej w otwór, ogarnięty przemożnym pragnieniem przyjrzenia się znalezisku. A więc to prawda, myślał. O

Boże, najprawdziwsza prawda!

Chciał widzieć wyraźniej, ale nie mógł. Obraz, jaki miał przed oczami, rozpływał się w tańczących płomieniach, zmieniał kształt, poruszał się i drżał, jakby żył własnym życiem.

Nad tym, co wtedy zrobił, w ogóle się nie zastanawiał. Działał nad ślepo, pod wpływem impulsu. Zawładnęła nim nieprzeparta chęć, której po prostu uległ. Braxton Hicks, człowiek nie znający własnej przeszłości i niedowiarek, czuł, że musi przyjrzeć się swoim prapoczątkom. Musi poznać prawdę.

Poruszył się, wysunął do przodu wolną rękę i sięgnął w głąb rozpadliny, starając się wymacać coś, co falowało mu przed oczami w świetle płomieni. Wreszcie czegoś dotknął. Rozgorączkowany, chciwie zacisnął palce i w tym momencie usłyszał krzyk Kathy.

- Obejrzyj się! O Boże, Braxton! Obejrzyj się za siebie!

Kathy! Kathy woła do niego! Gdy sens jej słów dotarł do jego świadomości, Braxton zadarł głowę do góry i obejrzał się przez ramię. W oślepiającym blasku błyskawicy, zamieniającej noc w dzień, przerażony zobaczył hieny przystępujące do ostatecznej, bezlitosnej rozprawy z ludźmi.

Dwie atakowały Eddiego, którego przyparły do pnia drzewa. Niewysoki ksiądz chwycił jedno zwierzę za kark, pchając mu do rozwartej paszczy płonąca pochodnię. Kilka hien pędziło prosto na Braxtona i skoczyło na niego w chwili, gdy stękając przekręcał się na skraju rozpadliny.

Jedna hiena szarpnęła go, gdy siadał, i odrzuciła na plecy. Druga

doskoczyła z boku i zatopiła ostre kły w ramieniu. Potem zjawiła się trzecia, rozdarła na nim koszulę i skaleczyła, usiłując go pociągnąć. Braxton zacisnął pięść i walnął w uczepony ramienia pysk, usiłując jednocześnie przewrócić się na bok. Ale szczęki nie puszczały, a drugi komplet kłów wtopił mu się w nogę.

Kopiąc i wrywając się zapamiętale, spostrzegł nagle szczupłą dłoń dźwigającą połyskliwy miecz, który przeciął powietrze i rozplątał łeb bestii wiszącej u jego ramienia. Miecz spadał raz po raz, aż hiena rozwarła szczęki i padła bezwładnie na ziemię. Następnie miecz dobrał się do hieny przy nodze i Braxton potężnym kopnięciem uwolnił się od napastnika.

- Kathy! - wykrzyknął i poderwał się na nogi. Prawą ręką chwycił upuszczoną pochodnię i stanął za

kobietą, która uratowała mu życie. Z poczerwieniałą twarzą, okoloną płomiennorudymi włosami, Kathy wymachiwała stalowym ostrzem i wydawała okrzyki niczym wojownicza Amazonka, siekąc krążące wokół zwierzęta.

Nie opodal zawzięcie stawiał opór zakrwawiony Twamba, łomocąc i tłukąc wielką włócznią jak maszyna. Wywalczona krwawo przestrzeń stopniowo zaczęła się powiększać. Nie zbudziło to jednak nadziei Braxtona, przejętego trwogą o życie przyjaciela. Banda hien otaczająca Eddiego pod drzewem szarpała go z rosnącą zawziętością, usiłując obalić broniącego się księdza na ziemię.

- Twamba... Eddie - ryknął Braxton, chwytając Masaja za rękę i wskazując drzewo. - Musimy ratować Eddiego!

Masaj kiwnął głową na znak, że zrozumiał, uniósł głowę i wydał potężny, rozdzierający uszy okrzyk.

Eddie instynktownie odwrócił się, a wtedy Twamba krzyknął jeszcze raz. Trzymając zakrwawioną włócznię na sztorc, Masaj zamachnął się i rzucił ją księdzu.

Przy drugim okrzyku Masaja Eddie odnalazł w sobie świeże siły, naprężył wężkie ciało i wyciągnąwszy rękę złapał włócznię w locie. Tak uzbrojony zdobył się na wojowniczy okrzyk i zaczął obdzielać razami otaczające go zwierzęta.

Plecami opierał się o pień drzewa i cały był zakrwawiony. Ciemne plamy na koszuli wskazywały miejsca, gdzie dosięgły go kły napastników. Czerwona krew sączyła się z pokłutej przez twarde ciernie głowy i ściekała po twarzy.

Ksiądz wprawdzie walczył, jakby odzyskał siły, ale hieny posmakowały krwi i doskakiwały z zaciekłą furją, przed którą nie sposób było się obronić. Przeczuwając nadchodzący koniec, ksiądz stał pośród szalejącej burzy z włócznią w rękę, jak zapowiedział Twamba. Wyjące hieny przykuły go do drzewa nad rozpadliną, do której dążył z tak rozpaczliwym zapalem. Ojciec Eddie Fitzsimmons zwrócił twarz ku niebu, zawołał o pomoc do swojego Boga i uniósł wysoko włócznię.

Niebo się rozwarło.

Strzelił piorun, trafiając w metalowy koniec włóczni. Przez mgnienie oka Eddie i jego broń zajaśnili niesamowitym blaskiem, a potem drzewo, o które się opierał, stanęło w płomieniach i przerażone hieny rozbiegły się z wyciem.

Mimo woli wydając okrzyk, ksiądz odrzucił od siebie włócznię, która poszybowała w powietrzu i wbiła się w ziemię za rozpadliną. Eddie zatoczył się w tył, uderzył o pień i padł na twarz u stóp płonącego drzewa.

Jedna za drugą rozbłyskiwały błyskawice. Lunał deszcz. Raz za razem ogniste pioruny trafiały w drżący koniec włóczni. W powietrzu rozszedł się smród przypalonej sierści i mięsa. Wyjące hieny biegały wśród płomieni roznoszonych przez wiatr po szerokiej polanie. A z góry wciąż spadały języki ognia uderzając w ziemię i skały, aż w powietrzu fruwały kamienie.

Braxton objął mocniej Kathy, osłaniając ją swoim ciałem, i spojrzał tam, gdzie padł Eddie. Ale teraz widział już tylko płonące drzewo. Szerokie płomienie łopotały pod nocnym niebem niczym skrzydła imponującego ptaka, podrywającego się do lotu z rozjarzonej, ognistej kuli.

Braxton zajrzał w twarz Kathy, która wpatrywała się w płomienie za rozpadliną. Spozrzegł, że ma takie same oczy jak w hipnozie - oczy należące nie do niej, lecz do Ewy z hipnotycznego transu; oczy wypatrujące odpowiedzi w pulsującym płomiennym embrionie, jaśniejącym przed nimi.

Wpatrując się w ścianę światła Kathy Sullivan zrozumiała, że jej poszukiwania dobiegły kresu. Wyzwolili się spod wpływu hipnozy i sennych widziadeł. Dotykała namacalnej rzeczywistości. Mgła ustąpiła, jakby uniosła się zasłona chmur, i Kathy mogła wreszcie spojrzeć pro-

sto w ogień.

Migoczący w płomieniach obraz nie był wizją poszukiwanej od tak dawna matki. Nie zobaczyła też szkieletu trawionego ogniem śmierci i zniszczenia.

Nie, ku swojemu zdumieniu Kathy zobaczyła coś, od czego rozspiewało jej się serce. Wypełniła ją instynktowna radość. W tym momencie pojęła ponad wszelką wątpliwość, że poszukiwania się skończyły, bowiem jej reakcja była reakcją matki, nie dziecka.

Przed oczami Kathy stanęła wizja życiodajnego łona. W łonie tym spoczywał maleńki płód. Małe, idealnie ukształtowane dziecko wyciągające do niej rączki i wołające tęsknym głosem - tak jak ona wołała matkę, która nigdy nie odpowiadała; matkę, której nie znała.

Wrywała się z uścisku rąk, które ją przytrzymywały. Chciała się uwolnić i pójść w stronę ognia.

- Puść mnie, proszę - wołała. - Muszę tam iść.

Ale Braxton z całych sił trzymał w ramionach kobietę, którą pokochał. Raz już ją utracił i nie zamierzał dopuścić, by to się powtórzyło.

- Nie... Kathy - tłumaczył. - Tam nie trzeba. To droga śmierci. A my żyjemy. Wróć do mnie, Kathy. Błagam... wróć do mnie.

Przemawiając do Kathy, Braxton odwrócił jej twarz ku sobie i zmusił, by na niego spojrzała.

- Błagam, Kathy - zawołał pragnąc dotrzeć do tej, którą znał. - Błagam... kocham cię. Potrzebuję cię, Kathy. Usłysz mnie, Kathy.

Błagam! Wróc do mnie!

Kathy wrywała się coraz słabiej i słabiej, aż w końcu przestała. Spojrzała przytomniej i rozpoznając Braxtona, przyłgnęła do niego z cichym jękiem.

Wyczerpany do ostateczności Braxton zachwiał się. Kathy tak mocno się w niego wtuliła, że razem, jak jedno nierozdzielne ciało, runęli w rozwartą paszczę rozpadliny u stóp płonącego drzewa.

ROZDZIAŁ 25

Głos Zeldy uprzytomnił Braxtonowi, że jeszcze nie przyszła po niego śmierć.

- Braxton - przywoływała go hipnotyzerka. Zamrugał powiekami, chroniąc oczy przed dziennym światłem.

- Przyrowadź Twambę, Sammy - mówił dalej głos Zeldy. - Przytomnieje.

- Kathy? - wymamrotał Braxton i uniósł zabandażowane ręce.

- Nic jej nie będzie, Braxton. Tylko spokojnie.

Widział już Zeldę. Klęczała przy nim na ziemi w podartym ubraniu. Zorientował się, że jest rano. Słońce odbywało właśnie codzienną wspinaczkę po nieboskłonie ku zenitowi.

- Leży koło ciebie - dodała Zelda.

Braxton wyciągnął szyję we wskazanym skinieniem głowy kierunku. Kathy leżała na ziemi z prawej strony. Głowę odwróciła na bok i patrzyła na niego. Twarz miała usmoloną, z plamami zaschłej krwi i oparzelinami, ale uśmiechnęła się do niego słabo i ścisnęła za rękę.

- Nic ci nie jest? - spytał chrapliwie Braxton.

Skinęła głową.

- Dzięki lekowi Twamby nie czuję bólu od oparzeń. Mówią mi, że z tego wyjdę. A ty? Dobrze się czujesz?

Braxton spróbował ocenić swe obrażenia i zorientował się, że w znacznych partiach ciała nie ma czucia. Widocznie jemu także Twamba zaaplikował środek przeciwbólowy.

- Nie jestem pewien, co mi jest, ale myślę, że to coś więcej niż zwykły ból krzyża.

Kathy patrzyła mu w oczy.

- Poszłabym przed siebie... w ogień, gdyby nie było przy mnie ciebie, Brax.

- Wiem - odparł. - Poznałem to po twojej twarzy. Ale nie mogłem znów cię stracić.

Kathy zmarszczyła brwi, przypominając sobie minione wydarzenia.

- Czy... spojrzaleś w płomienie? W ten ogień na polanie? Przyciągał mnie jak magnes. Ale kiedy zmusiłeś mnie, żebym spojrzała na ciebie, znów poczułam więź z rzeczywistością.

- Co zobaczyłaś w płomieniach, Kathy? Czy...? Kathy

potrząsnęła głową. Na jej twarzy malowało się silne wzruszenie, ale łzy nie popłynęły. Koniec z płaczem.

- Nie, jej tam nie było. Ale poczułam się dzięki temu dziwnie wyzwolona. Nareszcie wiem, że mogę przestać uganiać się za majakami z przeszłości. Pora zacząć od nowa. Coś jednak widziałam w tych płomieniach. Wiem na pewno. Widziałam... dziecko.

Mówiąc o tym Kathy rozplakała się, choć przyrzekła sobie, że już więcej tego nie zrobi. Ale ten szloch był inny. To były łzy cichej radości.

- Wiem, że to się wydaje niemożliwe, ale ja widziałam. Widziałam... nasze dziecko, Braxton - powiedziała Kathy i uśmiechnęła się przez łzy. - Chyba będziemy mieli dziecko.

Braxton patrzył zdumiony na leżącą obok kobietę i nie wiedział, co odpowiedzieć, a ona uśmiechała się coraz szerzej, aż parsknęła cichym śmiechem, od którego widocznie coś ją zabolalo, bo trochę się skrzywiła.

- Mowę panu odjęło, panie Hicks? Nie wiem, czy cię to pocieszy, ale ja też się tego nie spodziewałam.

Braxton przechylił głowę i zastanawiał się na słowami Kathy, a potem też się uśmiechnął i uściśnął jej rękę.

- Przyznaję, nie brałem czegoś takiego pod uwagę, ale chyba nie mam nic przeciwko temu, jeżeli to prawda. Mówię szczerze, Kathy. Nie mam nic a nic przeciwko temu.

- Nie byłoby to możliwe, gdybym dzięki tobie nie odzyskała zmysłów. Chociaż nadal nie pojmuję, jak udało nam się uratować.

Pamiętam, że wpadliśmy prosto do rozpadliny u stóp drzewa. Co nas zatrzymało? Dlaczego nie zginęliśmy?

- Chyba potrafię to wyjaśnić - odezwała się Zelda, podchodząc bliżej. Przyklękła koło Kathy pojękując cicho, bo jej też nie ominął ból.

- Kiedy Twamba was wyciągnął i mieliśmy pewność, że przeżyjecie, obejrzałam dokładniej tę dziurę, do której wpadliście. Jakies pół metra niżej rozpadlina kończyła się skalną półką. Po oparach ani śladu. Tylko ciągnące się z boku pęknięcie wskazywało, że szczelina mogła być kiedyś głębsza. Według mnie sprawił to piorun. Kamienna półka, na której leżeliście, była dość mocno rozgrzana, kiedy do was dotarliśmy. Stąd się wzięła część oparzeń. Widocznie piorun uderzył z taką siłą, że ziemia i skały wpadły do środka i zamknęły rozpadlinę. Cokolwiek tam było, zostało pogrzebane pod litą skałą, co ni mniej ni więcej oznacza koniec poszukiwań.

- A Eddie? - spytał cicho Braxton.

Zelda spoważniała i na chwilę odwróciła wzrok.

- Chyba nie przeżyje, Braxton. Twamba był przy nim, kiedy się ocknąłeś.

- Twamba niewiele może zrobić, tylko przynieść ulgę Eddiemu uśmierzając ból - powiedział Sammy, podchodząc do nich z Masajem.

- Zabierzcie mnie do niego - poprosił Braxton, puścił rękę Kathy i usiłował się podnieść.

Twamba natychmiast znalazł się przy Braxtonie i mocno go przytrzymał, kręcąc zdecydowanie głową. Masaj także nosił ślady po przebytej niedawno walce, ale sprawiał wrażenie, jakby miał jeszcze w

zapasie sporo sił.

- Braxton, nie wolno ci się ruszać - przestrzegł Sammy. - Jeszcze nie możesz. Proszę cię, nie rób tego. Ziola Twamby zwalczają ból i nie pozwalają ci się zorientować, jakie poniosłeś obrażenia.

- Więc mnie zanieście - rzekł Braxton. - Bo inaczej sam do niego dotrę. Zabierzcie mnie, proszę. Muszę się z nim zobaczyć.

Sammy spojrzał pytająco na Zeldę, która jedynie wzruszyła ramionami. Niezbyt chętnie przewodnik porozmawiał z Twambą. Zachowując ostrożność, Masaj wsunął ręce pod Braxtona i podniósł go z ziemi.

Dopiero z tej pozycji Braxton zobaczył spustoszenia po wypadkach minionego dnia. Wszystko się wypaliło i zamieniło w czarny pył. Gdzieś wyrastały z ziemi kolumny dymu. Ale zmieniło się coś jeszcze. Braxton spojrzał na wygasły wulkan piętrzący się ku kenijskiemu niebu, potem w drugą stronę i od razu rozpoznał różnicę w stosunku do tego, co było przedtem: nie było już skalnej zapory, przez którą się przedostawali.

- Zniknęła cała ściana! - wykrzyknął.

- Tak - potwierdził Sammy, idąc obok Twamby po wypalonej ziemi. - Sprawiała to ostatnia seria piorunów. Przypadliśmy do ziemi po tej stronie skał i mieliśmy wiele szczęścia. Przede wszystkim dlatego, że udało nam się przycupnąć tak blisko ściany, bo inaczej byśmy nie przeżyli. Grad kamieni i odłamków skał zasypał wszystko od ściany aż daleko poza mikrobus. - Sammy wskazał horyzont. - Mój mikrobus był tam - dodał pokazując najeżony ostrymi odłamkami pagórek na kamie-

nistej równinie. - Teraz kryje się w środku tego wzniesienia.

- A więc wszyscy zniknęli - wymamrotał Braxton patrząc w dal.
- Gunther i Bassett?

- Tak - odparł Sammy. - Także Injai. Na zawsze zostali pogrzebani pod tym skalnym rumowiskiem. A razem z nimi wiele uciekających zwierząt, które zginęły, gdy rozerwała się skała. Zostaliśmy tylko my.

Braxton zamrugał, ogarniając wzrokiem spustoszony krajobraz.

- Wierzyć się nie chce. Sammy pokiwał głową.
- Włócznia ściągnęła pierwszy piorun i utworzyła się ścieżka, po której popłynęły kolejne wyładowania, gromadząc się w jednej jaskini.

Sammy przystanął. Twamba ostrożnie położył Braxtona na ziemi tam, gdzie przedtem rosło samotne drzewo. Potwierdziła się obserwacja Zeldy. Zniknęła ziejąca przepaść, w którą zaglądał, a pozostało jedynie wąskie zagłębienie na około pół metra, długości trumny.

Eddie leżał tuż obok. Twarz i partie ciała widoczne przez dziury w osmolonym ubraniu miał poparzone i zmienione nie do poznania. Z brwi, rzęs, włosów na rękach i głowie nie zostało ani śladu. Pokrywały go pęcherze, rany od oparzeń i zeskorupiała krew. Gdyby nie oddech podnoszący klatkę piersiową, Braxton nie uwierzyłby, że jego przyjaciel jeszcze żyje.

Twamba położył Braxtona blisko Eddiego. Sammy przyklęknął i pomógł Braxtonowi, który odepchnął się od ziemi i pochylił nad księdzem, szepcząc jego imię.

- Eddie... Eddie, to ja, Braxton. Słyszysz mnie?

Eddie zadrżał, przekręcił głowę w stronę Braxtona i poruszył spękkanymi, pokrwawionymi wargami. Nie udało mu się wymówić słowa, tylko nieartykułowany dźwięk:- Baaaa...

- Nic nie mów, Ed - rzekł Braxton. - Chcę, żebyś wiedział, że jesteśmy i zaopiekujemy się tobą. Uratowałeś nas, Eddie. Uniesiona przez ciebie włócznia zamieniła się w odgromnik i ogień błyskawicy powstrzymał atakujące hieny. Wszystkich nas uratowałeś, ojczu. Wyjdziemy z tego cało. I ty też.

Eddie powoli potoczył głową w obie strony, zaprzeczając słowom Braxtona. Otworzył oczy i spojrzał spokojnie na przyjaciela. Znow poruszył wargami i z wielkim wysiłkiem, słabym głosem spytał:

- Widziałeś, Braxton? Zajrzałeś do grobu?

- Tak - odparł Braxton. - Widziałem, Eddie.

- Dobrze. Więc wiesz. Nie jesteś już człowiekiem bez przeszłości. Zobaczyłeś, skąd się wywodzisz i kim jesteś. Musisz napisać o tym, co widziałeś.

Książd zamknął oczy i Braxton pochylił się nad nim niżej.

- Eddie? - spytał z troską.

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, gdy Eddie znow poruszył ustami, tym razem uśmiechając się. Otworzył przymknięte oczy i mówił dalej:

- Napisz o tym, Braxton. Dobrze?

- Tak, Eddie - obiecał Braxton. - Daję ci moje słowo. A teraz już nic nie mów, proszę cię. Nie trzeba. Odpoczywaj.

- Nie, muszę ci jeszcze coś powiedzieć, Braxton -odparł ksiądz. Mówił z mniejszym wysiłkiem, słowa płynęły same. - Och, Braxton, widziałem. Widziałem i zrozumiałem! Powiedz Kathy. Niech się nie zadrecza. Ból, cierpienia, tęsknota, to wszystko jest skorupą, którą się zrzuca. Gdy przychodzi śmierć, dusza zrzuca starą powłokę i zaczyna nowe życie. Widzę to teraz i wstyd mi, że wątpiłem. Wszystkie wysiłki są przygotowaniem. To nie koniec. Jest coś potem. Jest wiele, wiele więcej. Tutaj przeżywamy zaledwie zapowiedź wielkiego wysiłku, który poprzedzi nowe narodziny. Błądzimy jak ślepi na skraju Ogrodu, przedzieramy się przez zaporę z cierni, szukając drogi powrotu. A to jest tak blisko, Braxton. Bardzo blisko. Przed nami nie ma końca, jest początek.

Ksiądz przestał poruszać wargami i Braxton nachylił się z obawą, że wysiłek mówienia wyczerpał go do reszty. Eddie uśmiechnął się jednak, jakby przepelniała go niewysłowiona radość.

- Jest nadzieja, Braxton - szepnął. Niebieskie oczy błyszczały mu mocno. - Wiedziałem to zawsze. Wkrótce znajdziemy przejście przez ciernie i zobaczymy, że nasze poszukiwania doprowadziły nas do miejsca początku. Och, Braxton, znamy drogę, a błądzimy w ciemnościach. Ale teraz już wiem, co nadejdzie, i rozumiem. Nie wolno rozpaczać. Cykl narodzin i śmierci sprowadza nas z powrotem, a dusza wędruje po wielkiej spirali prowadzącej ku niebu. Nadzieja śpiewa pod oknem duszy. Nauczymy się. Narodzimy się ponownie. Czas przygotowań prowadzi do nowego początku. Powrót do początku. Moje zwątpienie zaciemniło znaczenie słów, tylekroć wypowiedzianych.

Powiedz im, Braxton. Powiedz im, że to jest... powrót do początku.

- Zaczekaj, Ed - powiedział Braxton, gdy ksiądz znów zamknął oczy. - Nie możesz mnie zostawić. Potrzebuję cię. Nie mam nikogo oprócz ciebie.

- Nieprawda - rzekł Eddie powoli, zacinając się. Oczy miał wciąż zamknięte. - Wiesz o tym dobrze, Braxton, bo ty też ujrzałeś światło. Tyle jeszcze przed nami.

- Eddie, nie rób mi tego - szepnął Braxton. - Nie umieraj. - Łzy spływały mu po twarzy. Ksiądz oddychał nierówno i coraz płycej.

- Wcale tego nie zrobię, Braxton - odparł Eddie ledwie słyszalnym szeptem. - Nie umrę.

Resztką sił Eddie złączył ręce i skrzyżował je na piersi. Spękane wargi ułożyły się w lekki uśmiech. I wówczas zanikł oddech poruszający drobne, zmaltretowane ciało.

Płacząc jak dziecko Braxton namówił przyjaciół, żeby pochować Eddiego w rozpadlinie, koło której leżał. Sammy sporządził prosty krzyż, a Twamba zasypał ciało ziemią. Zelda pomogła usiąść Kathy, żeby wszystko widziała. Na prośbę Braxtona Twamba wbił krzyż w to samo miejsce, gdzie przedtem rosło drzewo. Na koniec Braxton odmówił krótką modlitwę nad grobem swojego przyjaciela, księdza.

O zmierzchu, gdy siedzieli razem przy małym ognisku rozpalonym przez Twambę, Sammy podsumował ich sytuację.

- Twamba mówi, że dotrzemy w bezpieczne miejsce - poinformował. - Będzie naszym przewodnikiem i pomoże nam zdobyć

pożywienie.

Wojownik nazbierał większych i mniejszych gałęzi i razem z Sammym przygotowywał z nich długie, wąskie nosze. Związali pędami pnący dwie grube gałęzie równoległe do siebie, a teraz między nimi mocowali mniejsze.

- Kathy da radę iść - ciągnął Sammy nie przerywając pracy - a Braxton na razie pojedzie na noszach. Na tej kratce z gałęzi ułożymy skóry. Nie najlepsze, ale będą musiały wystarczyć.

- Nie żartuj sobie - rzekł Braxton. - Pójdę o własnych siłach.

- Niedługo zapewne tak - przyznał Sammy, rozkładając podane przez Twambę skóry na długich noszach, które miały być jednym końcem wleczone po ziemi. - Ale na razie nie. Twamba powie, kiedy będziesz mógł iść. Chwilowo pojedziesz na tym. Przymierz się.

Mówiąc to Sammy oparł koniec prymitywnych noszy na dużym kamieniu, ustawiając je skośnie do ziemi. Nie zwracając uwagi na protesty Braxtona, Twamba wziął go na ręce i położył na noszach. Sammy uśmiechnął się, gdy Braxton z westchnieniem rezygnacji ułożył się wygodnie na skórkach.

- Nie chcę wiedzieć, skąd Twamba wytrzasnął te futerka - rzekł Braxton.

- Futro hien jest tak samo wygodne jak każde inne

- rzekł Sammy z szerokim uśmiechem. - Świetnie się nada.

Twamba przywiąże dla nas dwóch coś w rodzaju lin do ciągnięcia.

Damy radę.

- A co powiemy, kiedy kogoś spotkamy? Jeżeli w ogóle kogoś

spotkamy - spytała Zelda.

- Opowiemy, co się stało, chociaż nie wszystko -odparł Sammy bez wahania. - Rozpętała się straszna burza. Straciliśmy ludzi, a ksiądz zginął od pioruna. Bardzo nas to zasmuciło, ale nic nie mogliśmy zrobić.

- Daj spokój, Sammy - rzekł Braxton i zmarszczył brwi z niedowierzaniem. - A co z Guntherem? To może się wydać.

- Nic się nie wyda, Braxton - odparł Sammy. - Pamiętaj, że nie ma ciał. Wierz mi, nikt ich nie odnajdzie. Gunther i Bassett nie jechali z nami. Nic o nich nie wiemy. Niezamieszkałe połacie Afryki są niebezpieczne. Różne rzeczy tu się zdarzają. Tak się mówi, kiedy zaginą uczestnicy jakiejś wyprawy safari. Wiele razy spotkałem się z taką reakcją na policji i gdzie indziej. To, co się tu wydarzyło, na zawsze pozostanie tajemnicą tej ziemi.

- A co się tu właściwie wydarzyło? - spytała Zelda. - Mam takie dziwne wrażenie, że wiemy niewiele więcej niż w momencie wyruszania na wyprawę.

- Niejedno się zmieniło - powiedziała Kathy siedząca na ziemi koło noszy, na których Twamba umieścił Braxtona. - Uwolniłam się przynajmniej od niektórych dręczących mnie koszmarów. - Spojrzała z uśmiechem na Braxtona. - Chyba wreszcie do mnie dotarło, że pora przestać zamartwiać się przeszłością i zacząć żyć dniem dzisiejszym.

- Rozumiem to, Kathy, i cieszę się, że udało ci się częściowo wyzwolić od trosk - odrzekła Zelda. - Wciąż jednak odczuwam niedosyt. Nie dotarłam do tej rozpadliny. Czy myśmy znaleźli ten

grób? Wy byliście najbliżej. Czy to był grób Ewy?

- Eddie umierał w przekonaniu, że go znalazł - odparł Braxton.

- A ty co myślisz, Braxton?

Milczał przez chwilę. Usiłował sobie przypomnieć. Co takiego właściwie zobaczył? Nie widział tego, co Kathy, ale jednak coś widział. Gdy wyciągał rękę sięgając w głąb rozpadliny, w rozbłysku jasności wydało mu się, że kogoś dostrzega, i bardzo go to poruszyło. Co najdziwniejsze bowiem, nie dostrzegł nikogo obcego, lecz samego siebie.

Wspomnienie to skłoniło go na nowo do postawienia sobie pytań. Wyciągnął rękę i nakrył nią delikatne palce Kathy. Pomyślał o dziecku, które ujrzała Kathy, i uświadomił sobie, że chciałby, aby ta wizja stała się rzeczywistością. Myśl o dziecku, które mogliby oboje kochać, napełniła go głębokim uczuciem spokoju. I... spełnienia.

Czy właśnie to pociąga ku sobie mężczyznę i kobietę i prowadzi do bolesnej radości nowych narodzin? Zwykle pragnienie odrodzenia się pod postacią dziecka?

Czy też może to, co widział, było częścią, której każdemu brakuje? Adamem lub Ewą? Nie odbiciem samego siebie, lecz dopełniającym całości uzupełnieniem.

Czy dlatego wszyscy pragną uniknąć samotności? Być kochanymi? Ponieważ potężny instynkt nieodwołalnie pcha ich do kresu, który był początkiem? Ponieważ instynktownie pragną scalić to, co zostało rozdzielone na początku dziejów? Czy to jest wyjaśnienie tajemnicy, którą Eddie nazwał „powrotem do początku”?

Ciężkie myśli rannego, leżącego na noszach w środku afrykańskiego buszu. Zbyt trudne, by się z nimi uporać w takim stanie. Wiedział jednak, że postara się je uporządkować. Obiecał przecież Eddiemu, że wszystko opíše jasno i dokładnie, jak tylko potrafi. Może wtedy, gdy zaczną z Kathy nowe życie, będą w stanie rozmawiać i zrozumieć nie tylko, co czuli i widzieli, ale dlaczego to wszystko się zdarzyło.

Nie miał oczywiście całkowitej pewności, że cokolwiek widział. Tyle się wówczas dokoła działo. A wizja trwała krótką chwilę. Pewien był jednego: przeżycie to jakoś go zmieniło, intuicyjnie zaś wyczuwał, że na lepsze.

- No więc jak, Braxton? - wyrwała go z zadumy Zelda.

Braxton oparł głowę na noszach.

- Wydaje mi się, że nie znajdziemy wielu odpowiedzi na nasze wątpliwości szukając skarbów w głębi ziemi, Zeldo. Ty też tam byłaś, Kathy. Co o tym myślisz?

Kathy utopiła jasny wzrok w jego oczach.

- Chyba dojrzałam do tego, żeby przestać uganiać się za mrzonkami i zająć się prawdziwym życiem - odpowiedziała. Spojrzała w górę, na rozmigotane kenijskie niebo. - Braxton ma rację, Zeldo. Dość zagładania do dziur w ziemi, pora podnieść wzrok.

Wysoko nad ich głowami, w ciemnych przestworzach afrykańskiego nieba, rozkwitła białym światłem spadająca gwiazda. Ciągnąc za sobą krótki, migotliwy ogon, przecięła nieboskłon i zapadła się w nicość.